ISSN 1897-1083

ECHA POLESIA

№ 2(62)2019 KWARTALNIK POLAKÓW NA POLESIU



JÓZEFA SWARCEWICZ- OSTATNI KOMENDANT OKRĘGU POLESKIEGO WZW-AK

WŁADYSŁAW SWARCEWICZ – BOHATER AK Z BRZEŚCIA



Angelina Sawka

z Kobrynia – tegoroczna absolwentka Polskiej Szkoły Społecznej im.I.Domeyki, laureatka licznych konkursów wokalnych.

SPIS TREŚCI







'ECHA POLESIA'
Kwartalnik Polaków na Polesiu

Adres Redakcji:
Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 - 56
e-mail: klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
Kom. z RB MTS (33) 672 19 37
Kom. z RP 0-037533 672 19 37

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

Projekt współfinansowany w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2019 roku»

SENAT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

Adres korespondencyjny:
Eugeniusz Lickiewicz
Skr. poczt. 63
Plac Wolności 9
Biała Podlaska 1, 21-500

Skład i łamanie:
Olga Brazińska

Korekta
Helena Żmińko

Na okładce – foto Eugeniusza Lickiewicza

Zapraszamy do polubienia naszej strony na Facebooku
facebook.com/EchaPolesia

W BRZEŚCIU WYDANO PODRĘCZNIK «REGIONALNA HISTORIA I KULTURA POLESIA W NAUCZANIU JĘZYKA POLSKIEGO»



«Regionalna historia i kultura Polesia w nauczaniu języka polskiego» to nowy podręcznik, wydany przez wykładowców Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki w Brześciu. Podręcznik autorstwa dr Tamary Kabot i dr Julii Chodyniuk jest przeznaczony głównie dla uczniów polskich szkół społecznych oraz środowisk polskich na Białorusi, dla tych, którzy znają język polski na poziomie zaawansowanym (C1,C2) i pragną poznać bliżej historię i kulturę swojego kraju. Publikacja może służyć jako pomoc dydaktyczna zarówno dla nauczycieli, jak i dla osób indywidualnych. Podręcznik już jest stosowany w Polskiej Szkole Społecznej im. I. Domeyki.

We wstępie do podręcznika «Regionalna historia i kultura w nauczaniu języka polskiego autorki piszą: «Niniejsza publikacja stanowi próbę łączenia wiedzy o historii i kulturze Polesia i całego regionu brzeskiego z praktyczną nauką języka. Omawiany region jest miejscem urodzenia Stanisława Augusta Poniatowskiego, Adama Naruszewicza, Tadeusza Reytana, Tadeusza Kościuszki, Juliana Ursyna Niemcewicza, Romualda Traugutta, Napoleona Ordy, Adama Mickiewicza, Ryszarda Kapuścińskiego... Z Polesiem jest związana znaczna część życia Elizy Orzeszkowej i Marii Rodziewiczówny.

Podręcznik składa się z 11 bloków tematycznych, zawierających różnorodne teksty o życiu, działalności i twórczości wybitnych Polaków. Ułożone chronologicznie materiały pozwalają zapoznać się z dziejami regionu od końca XVIII do połowy XX wieku. Treść życiorysów sławnych Polaków daje możliwość przeglądu ważnych wydarzeń historycznych ze szczególnym uwzględnieniem historii regionu. Pozwala także przedstawić wielokulturową tradycję tych ziem, zabytki architektoniczne, dzieła sztuki i literaturę. Każdy z rozdziałów zawiera ćwiczenia, sprawdzające rozumienie tekstu pisanego, poszerzające zasób słownictwa, a także zachęcające do formułowania własnych wniosków, opinii, hipotez, opisów ilustracji dzieł sztuki i zabytków. Książka ma na celu, przede wszystkim, doskonalenie sprawności czytania i mówienia».

Polska Szkoła Społeczna im. I. Domeyki działa od 1988 roku, ukończyło ją ponad 7 tysięcy uczniów, z których ponad 5000 studiowało lub studiuje na wyższych polskich uczelniach. Szkoła wychowała kilka pokoleń młodych Polaków i miłośników Polski. Jest również organizatorem kursów metodycznych dla nauczycieli języka polskiego i przedmiotów ojczystych z Brześcia i obwodu brzeskiego, jest największym ośrodkiem edukacyjnym na Polesiu.

Podręcznik «Regionalna historia i kultura w nauczaniu języka polskiego», jak i większość projektów Szkoły, został dofinansowany przez Fundację «Pomoc Polakom na Wschodzie» w ramach sprawowania opieki Senatu RP nad Polonią i Polakami za Granicą.

ALINA JAROSZEWICZ



SZLAKIEM MICKIEWICZA PO ZIEMI NOWOGRÓDZKIEJ

Szlakiem Mickiewicza po Ziemi Nowogródzkiej wyruszyła z Brześcia w długi majowy weekend grupa nauczycieli Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki. Wyjazdy edukacyjne i krajoznawcze, organizowane od 31 lat, stały się dobrą tradycją Szkoły. W roku 2019 odbędzie się podróż do Gdańska pt. «Anna Solidarność», poświęcona życiu i działalności Anny Walentynowicz, a już za nami jest zwiedzanie Lublina i poznawanie historii Unii Lubelskiej, wyjazd w okolicy Lidy – śladami Ignacego Domeyki i Witolda Pileckiego.

Życie i twórczość A. Mickiewicza nierozerwalnie związane są z Nowogródczyzną. Stąd czerpał on natchnienie, »»»









»»» wkraczając na swój wspaniały poetycki szlak. Z tych stron pochodzili jego najbliżsi przyjaciele i tutaj przeżył wielką romantyczną miłość swego życia.

Pierwszym punktem podróży był folwark Zaosie – tu się narodził przyszły wieszcz narodowy, tu spędzał wakacje w latach 1801-1810. Realia tych okolic, Jezioro Kołdyczewskie oraz Góra Żarnowa, wznosząca się ponad folwarkiem, znalazły odzwierciedlenie w balladzie «Tukaj». Jeszcze dziś w okolicach Zaosia lub w pobliskich Baranowiczach można spotkać ludzi, noszących nazwisko «Tukaj».

Jadąc do Nowogródka zatrzymaliśmy się nad Świtezią, słynnym jeziorem, otoczonym pierścieniem lasów. Tradycje ludowe i legendy świteziańskie stały się inspiracją dla Mickiewicza do napisania kilku pięknych utworów, jak określił to Jan Czeczot: «Mickiewicz oplótł Świteź wiankiem sonetów» (ballady «Świteź», «Świtezianka», «Rybka»).

W Nowogródku zwiedziliśmy Kościół farny z XIV w. W tym właśnie kościele 12 lutego 1799 r. był ochrzczony Adam Mickiewicz. Rodzicami chrzestnymi zostali Anela Uzłowska z pobliskiego Czombrowa i Bernard Obuchowicz, sędzia ziemski mozyrski. Dom Mickiewiczów, wzniesiony w 1806 r., był wielokrotnie odbudowywany, obecnie tu mieści się Muzeum Adama Mickiewicza. Wśród przechowywanych zabytków zwracają uwagę autentyczne meble, pochodzące z domu wieszcza, a także z pałacu w Tuhanowiczach, domu rodzinnego Maryli. Nowogródek był szczególnie ukochany przez poetę, opiewany w wielu utworach: «Mieszko», «Pani Aniela», «Grażyna», «Pan Tadeusz». Zwaliska ruin starego zamku i krążące wokół nich legendy stawały się weną dla romantycznych utworów Mickiewicza. W 1924-1931 usypano w Nowogródku Kopiec Mickiewicza.

Następnie odwiedziliśmy jezioro Litówkę – w 5 km od Nowogródka, znane ze szkolnych zabaw na jego brzegach, opiewane w «Grażynie». Około 20 km od Świtezi, w dolinie rzeczki Serwiecz leżą Tuhanowicze, dawna własność Wiereszczaków. Idąc śladami miłości Adama i Maryli, odwiedziliśmy lipową «Altanę Maryli», ślady po Murowance. A w Korczewie, które jest w »»»





»»» kilometrze od Tuhanowicz – «Kamień Filaretów». Według tradycji przed kamieniem zbierali się wraz z Adamem Tomasz Zan, Jan Czeczot, Ignacy Domeyko, Franciszek Malewski i inni. Tu poeta czytał swoje wiersze i prowadził dysputy.

Podróż śladami Mickiewicza pozwoliła nam odczuć niepowtarzalny urok, siłę i magiczną energię tych miejsc, naszej ziemi, która dała światu wielkiego wieszcza.

TEKST I FOTO ANNA GODUNOWA

PREZENTACJA KSIĄŻKI HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO «INNY ŚWIAT» W 100. ROCZNICĘ URODZIN PISARZA

Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, w uznaniu słowa i czynu wielkiego pisarza, ustanowił rok 2019 Rokiem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. W uchwale Sejmu podkreślono, że losy i twórczość Herlinga-Grudzińskiego stanowią «świadectwo cierpień i czynów człowieka, któremu przyszło przeżyć czasy totalitarnej przemocy i kryzysu wartości». Gustaw Herling-Grudziński był więźniem sowieckiego łagru, żołnierzem Armii Andersa, brał udział w bitwie pod Monte Cassino, współpracował z «Kulturą» i Radiem Wolna Europa. Jako emigrant zaangażował się w pomoc polskiej opozycji antykomunistycznej, ale przede wszystkim ceniony był w ojczyźnie i na świecie jako autor książki «Inny świat».

W Polskiej Szkole Społecznej im. I. Domeyki w Brześciu w klasach 9-10 odbyły się prezentacje książki Herlinga-Grudzińskiego «Inny świat». Prezentacje poprzedziły wykłady z historii Polski, wprowadzające w tematykę sowietyzacji Białorusi, w specyfikę trzech deportacji, ich skutków. Zaprosiliśmy także uczniów do udziału w prezentacji rysunków o tematyce sybirackiej oraz recytacji wierszy o Sybirze.

Prezentacje multimedialne oraz czytanie fragmentów książki były przygotowane przez nauczycielkę Natalię Sołonienko. Jednocześnie odbyły się prezentacje rysunków uczniów, recytacja wierszy, a niektórzy uczniowie nawet przynieśli fotografie z archiwów rodzinnych, przedstawiające tułaczkę pradziadków i ich rodzin na wysyłce za kręgiem polarnym i na Workucie. Główną nicią przewodnią spotkań z uczniami było przesłanie o tym, że książka «Inny świat» jest «pierwszym w literaturze światowej, artystycznie doskonałym, pełnym miłosierdzia oraz nadziei świadectwem martyrologii więźniów sowieckiego łagru. Napisał ją zaledwie 30-letni autor, który sam doświadczył okrucieństwa komunistycznego miejsca kaźni. Tym większa była gorycz pisarza, gdy część intelektualnych elit Europy nie chciała przyjąć do wiadomości jego relacji».

Jako ciąg dalszy poznawania tematyki tragicznych losów ludności polskiej, stał się wyjazd edukacyjny uczniów z klas 9-10 do Lublina w dniu 24 maja, podczas którego odbyła się wędrówka po miejscach, związanych z martyrologią polską i tematyką sybiracką.

Wycieczka edukacyjna prowadzona przez Józefa Adamskiego, prezesa Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza, rozpoczęła się przy Pomniku Matki Sybiraczki i na placu Dzieci z Pahiatua. Józef Adamski opowiedział o deportacjach w Polsce i na Polesiu, odsłonił także przed uczniami mało znaną kartę naszej historii – losy 733 polskich dzieci, w większości z Kresów, z naszych ziem, które straciły podczas deportacji swoje rodziny i dostały się z Armią Andersa do Persji. Na apel Rządu Polskiego z Londynu o pomoc dla tych dzieci odezwało się niewiele krajów. Nowa Zelandia była jedynym krajem, który nie tylko przyjął dzieci bezwarunkowo, zapewniając im bieżącą opiekę, lecz także umożliwił kształcenie i pełną asymilację w nowej ojczyźnie.

Udział w prezentacji książki Herlinga-Grudzińskiego «Inny świat» oraz podróży edukacyjnej do Lublina sprzyjał poznawaniu nieznanych kart naszej historii, »»»





odsłonięciu kolejnych «białych plam», pozwolił obudzić zainteresowanie historią swoich rodzin. Prezentacja książki Herlinga-Grudzińskiego «Inny świat» – to początek poznawania historii Polski i swojej małej ojczyzny. Uczniowie i Nauczyciele Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki składają wyrazy wdzięczności Konsulatowi Generalnemu RP w Brześciu za umożliwienie wyjazdu edukacyjnego do Lublina.

ANNA GODUNOWA







KONKURS *«Bitwa Amorów»* W BRZEŚCIU

Po raz dziesiąty uczniowie Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki wzięli udział w konkursie recytatorskim poezji miłosnej, podjęli wyzwanie autorskiej interpretacji pięknych utworów polskiej poezji. Uczestnicy sięgnęli zarówno po klasyków gatunku, jak i po perełki poezji XX-wiecznej. Na sali zabrzmiał Asnyk i Mickiewicz, Szymborska i Osiecka, wiersze «Miłość mi wszystko wyjaśniła» Karola Wojtyły, «Rozmowa liryczna» K.I.Gałczyńskiego, «To może przypadek» Jonasza Kofty...Mimo to, że gatunek poezji miłosnej wymaga od każdego do niego sięgającego dużej wnikliwości i wewnętrznej dojrzałości, wszyscy uczestnicy, bez względu na wiek, przedstawili samoistne, oparte na własnym zrozumieniu wykonanie wierszy.

Członkowie Jury podczas ogłoszenia wyników podziękowali uczestnikom za odwagę w wyborze utworów poetyckich i chęć udziału w tym przedsięwzięciu. Zaznaczyli, że wystąpienia publiczne to jedna z kluczowych umiejętności współczesnego człowieka. Próbując własnych sił w konkursach recytatorskich uczestnicy zarówno kształtują swój gust, rozwijają zdolności artystyczne, jak i budują pewność siebie.

Pomysłodawczynią Konkursu była Lilia Potonia, nauczycielka Szkoły, która 10 lat temu zorganizowała Konkurs po raz pierwszy. Filmik o występach laureatów tegorocznego Konkursu «Bitwa Amorów» jest dostępny na stronie **www.echapolesia.pl**

ANNA JURKOWSKA



Oleg Jańczuk



Wiktoria Wołczek



Anastazja Wieczorko



Emilia Popowa





Dwór w Paulinowie obecnie

BOCHWICOWIE ODWIEDZILI RODZINNE STRONY



Od lewej: Michał Bochwic, Alina Ludkiewicz, Adam Ludkiewicz, Antonina Jabłońska, Krystyna Jabłońska, Tadeusz Tanona

Sześciu przedstawicieli znanego rodu Bochwiców przyjechało na Białoruś z Gdańska z pięciodniową wizytą. Głównym celem wycieczki było zwiedzanie «rodzinnych gniazd», położonych w rejonach baranowickim, lachowickim i wołkowyskim, oraz rodzinnych grobów.

Jak powiedziała Alina Ludkiewicz, praprawnuczka powstańca styczniowego, wybitnego badacza drzew owocowych Jana Ottona Bochwica, na Białoruś przybyli przedstawiciele trzech różnych gałęzi rodu. Najstarszą z gości była Krystyna Jabłońska, córka doktora chemii Brunona Bochwica. Jej ojciec przed wojną był właścicielem dworu w Paulinowie. Pani Krystyna spędziła sześć pierwszych lat swego życia w tym pięknym leśnym zakątku. Obecnie w wieku 88 lat nie tylko doskonale pamięta, jak wyglądał dwór w latach 30. i jakie meble były w pokojach domu, ale też opowiada ciekawe historie o »»»

»»» losach swoich krewnych. Wraz z panią Krystyną przyjechała zobaczyć dawne dwory Bochwiców jej córka Antonina.

Warto powiedzieć, że Bochwicowie z Gdańska bardzo się interesują historią swego rodu. Przywieźli ze sobą kopie unikatowych fotografii wykonanych na początku ubiegłego stulecia w Paulinowie, a także drzewo genealogiczne. Nawiasem mówiąc, rodowód Bochwitz można śledzić aż do XVI wieku!

Oprócz dworu w Paulinowie, przedstawiciele rodziny odwiedzili dwory w Waszkowcach i Florianowie, a także cmentarz w Darewie, gdzie spoczywają m.in. wybitny filozof XIX-wieczny Florian Bochwic z żoną Pauliną, powstaniec styczniowy Lucjusz Bochwic, który zmarł w więzieniu rosyjskim w 1864 roku, oraz Roman, syn Jana Ottona.



Krystyna Jabłońska wraz z ojcem w Paulinowie



W Paulinowie w latach 30. XX wieku



Alina Ludkiewicz i Antonina Jabłońska

Miłe wrażenie na gości sprawił pobyt w gospodarstwie państwa Onipczenków położonym kilkanaście metrów od dawnego dworu w Paulinowie. Bochwicowie byli też mile zaskoczeni, że w Paulinowie trwają prace konserwatorskie. Wszyscy wyrazili przekonanie, że to nie jest ich ostatnia wizyta na Białoruś.

Z rodu Bochwiców pochodzi kilka znanych na Kresach postaci. Już wspomniany wyżej, Florian Bochwitz był znany jako filozof moralista, pisarz, autor kilku książek wydanych w Wilnie. Jan Otto był wybitnym agronomem i ogrodnikiem, specjalistą w dziedzinie pomologii. Był również autorem książek, m.in. pracy pt. «Jak zakładać i pielęgnować ogrody». Jego syn Tadeusz był kolekcjonerem światowych periodyków, a także bliskim przyjacielem Elizy Orzeszkowej: ich korespondencja stanowi cały tom dzieł wybranych pisarki.

Autorka «Nad Niemnem» wraz z Władysławem Reymontem spędziła wakacje u państwa Bochwiców w roku 1908.

DYMITR ZAGACKI

W 200.ROCZNICĘ URODZIN STANISŁAWA MONIUSZKI

Uchwałą Sejmu i Senatu RP rok 2019 został ustanowiony Rokiem Stanisława Moniuszki – wybitnego kompozytora, dyrygenta, organisty, pedagoga, dyrektora Teatru Wielkiego w Warszawie, twórcy polskiej opery narodowej. Stowarzyszenie Kulturalno-Historyczne «Bieriestje», oddając hołd tej wybitnej postaci, 15 maja 2019 r. zorganizowało na sali College'u Muzycznego w Brześciu spotkanie z okazji 200. rocznicy urodzin kompozytora.

W wydarzeniu wzięło udział ponad 200 osób, uczestniczyli m.in.: Piotr Kozakiewicz, Konsul Generalny RP w Brześciu, ksiądz prałat Antoni Hej, proboszcz parafii pw. św. Józefa w Brześciu, Elita Michajłowa, wiceprezes Oddziału Brzeskiego Związku Polaków na Białorusi, przedstawiciele College'u Muzycznego, College'u Transportu Kolejowego na czele z dyrektorką Heleną Akberową, Ośrodka Pomocy Społecznej, a także Marina Waśko, wicedyrektor Gimnazjum nr 2 w Brześciu.

Podczas spotkania można było usłyszeć wybrane utwory wybitnego kompozytora w wykonaniu członków Stowarzyszenia, studentów College'u Muzycznego, obejrzeć fragmenty wielkich dzieł Moniuszki «Halka», «Straszny dwór», posłuchać pieśni «Złota rybka» oraz «Prząśniczka» i zapoznać się z ciekawymi informacjami dotyczącymi życia i twórczości Stanisława Moniuszki.

Na koniec spotkania Konsul Generalny RP w Brześciu Piotr Kozakiewicz podziękował organizatorom wydarzenia, wszystkim obecnym na sali i wyraził nadzieję, że tego typu przedsięwzięcia będą odbywały się częściej.

NATALIA SOŁONINKA, BRZEŚĆ









Zdjęcie z wernisażu wystawy – Muzeum Etnograficzne im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu

POLESIE W FOTOGRAFII Z LAT 20. I 30. XX WIEKU. KONTRASTY, GŁĘBIE, POWIĘKSZENIA

Wystawa «Polesie w fotografii z lat 20. i 30. XX wieku. Kontrasty, głębie, powiększenia» to próba przedstawienia kulturowego krajobrazu regionu na podstawie wybranych prac polskich fotografów działających w okresie dwudziestolecia międzywojennego. To dzięki tej, szczęśliwie zachowanej ikonografii, mamy możliwość szerokiego spojrzenia na krainę, która stanowiła bardzo osobliwą dzielnicę kresów II Rzeczypospolitej.

Wyjątkowość Polesia wypływała przede wszystkim z warunków fizjograficznych, charakteryzujących się obfitością wód, bagien i lasów, oraz niewielką powierzchnią gruntów nadających się pod uprawę. Gospodarka rolna stała tu na bardzo niskim poziomie, a miejscowa ludność w dużej części zajmowała się rybołówstwem, łowiectwem, zbieractwem i pszczelarstwem. Peryferyczne położenie i bliskość granicy z Rosją decydowała o izolacji kulturowej regionu. Wszystko to wpływało na kulturowy obraz Polesia, jego archaizm, zacofanie i biedę. Specyfiką bagiennego kraju był także jego niewielki stopień urbanizacji, słabo rozwinięta sieć drogowa i kolejowa, oraz komunikacja oparta o naturalną sieć rzeczną.

Osobliwość Polesia to także struktura narodowościowa i wyznaniowa. Ponad 60% ludności stanowili tu Poleszucy, tzw. «tutejsi», nie identyfikujący się z mieszkającymi obok Białorusinami i Ukraińcami wyznania prawosławnego, ani z polską ludnością katolicką. W nielicznych i niewielkich na ogół miastach przeważali Żydzi i Polacy. Na podziały narodowościowe nakładała się struktura społeczno-majątkowa. Poleszucy, Białorusini i Ukraińcy to przeważnie ubodzy chłopi, gdy Polacy reprezentowali warstwę urzędniczą, inteligencję i arystokrację. Żydzi zajmowali się handlem, rzemiosłem i pośrednictwem.Ten pełen barw i kontrastów region wzbudzał ogromne zainteresowanie naukowców, artystów, turystów i fotografów.

Wystawa w Muzeum Etnograficznym w Toruniu to panoramiczne ujęcie regionu w czterech podstawowych odsłonach: Krajobraz, Wieś, Miasto i Dwór. Układ taki umożliwia prezentację przyrody i kultury ludowej Polesia, a także kultury miejskiej i arystokratycznej, jakie współwystępowały tu do II wojny światowej. Zestawienie takie pozwala zwrócić uwagę na wyjątkowo ostre kontrasty regionu: kulturowe, majątkowe i cywilizacyjne.

Wśród autorów prezentowanych prac są wybitni i znani jeszcze w okresie międzywojennym fotograficy: Jan Bułhak, Stanisław Bochnig, Zofia Chomętowska, Adam Skoczycki, Stefan Plater-Zyberk, Henryk Poddębski i Włodzimierz Puchalski. Pokazujemy również zdjęcia prowadzących tu badania etnografów: Kazimierza Moszyńskiego, Józefa Obrębskiego, Stanisława Dworakowskiego i Dymitra Gieorgijewskiego. Dokumentację regionu zawdzięczamy także mieszkającym na Polesiu fotografom. Wśród nich znalazł się Józef Szymańczyk i nieznany z imienia S. Hochman.

Ostatnia część ekspozycji to osobny suplement z prezentacją prac Bogdana Przystupy, jednego ze współczesnych miłośników Polesia. Wypełniony kolorowymi kadrami obraz uświadamia nam jak bardzo na przestrzeni kilkudziesięciu lat zmieniła się fotografia i samo Polesie. Zdjęcia Przystupy są równocześnie dowodem, że mimo upływu lat, nie przeminął ani urok Polesia, ani fascynacja tą wciąż dziką krainą wód, bagien i lasów.

Czas otwarcia:
21.06.2019-31.10.2019
Muzeum Etnograficzne
w Toruniu

OSTATNI KOMENDANT OKRĘGU POLESKIEGO ZWZ-AK



Ksero rysunku «Mamy» wykonanego w Workucie przez współwięźniarkę (nazwisko nieznane) w 1951 r. z adnotacją z pozdrowieniami przesłaną synowi Jerzemu. Workuta 2 marca 1951 r.

«Mama» – taki pseudonim podczas okupacji w Brześciu n. Bugiem miała moja Mama, Józefa Swarcewicz, ostatni p.o. Komendant Okręgu Poleskiego ZWZ-AK.

Urodziła się 19.03.1895 r. w Kołomyi w rodzinie urzędniczej. Tam ukończyła gimnazjum i rozpoczęła pierwszą pracę na poczcie. Od młodych lat szkolnych związana była z patriotyczną organizacją Sokoła, a następnie z powstającym Związkiem Harcerstwa Polskiego oraz POW na terenie Huculszczyzny. W pierwszych latach po wojnie przeniesiona zostaje służbowo do Urzędu Pocztowego w Brześciu n. Bugiem i tam poznaje swego przyszłego męża Stanisława Swarcewicza, pracującego również w tym urzędzie.

W 1935 r. przeniesiona zostaje na wcześniejszą emeryturę w ramach zwolnień pracujących mężatek. Zajmuje się domem i wychowaniem dwóch synów (Władysław i Jerzy) oraz działalnością charytatywną przy kościele, gdzie proboszczem jest ks. prałat Iwicki, a następnie od 1940 r. ks. Urbanowicz. W tym czasie przechodzi szkolenie na kursie kwatermistrzowskim zorganizowanym przez władze wojskowe.

W pierwszych dniach wojny 1939 r. przy wsparciu parafii katolickiej organizuje wraz z innymi parafiami pomoc uciekinierom, poszkodowanym przez wojnę. Udziela w swoim domu zagubionym rodzinom noclegów i wsparcia. W późniejszych miesiącach przy wsparciu ks. Urbanowicza organizuje pomoc materialną (paczki) aresztowanym więźniom. Pomoc ta jest również udzielana wywożonym na wschód rodzinom jak np. p. Bułatowej z trójką małych dzieci (żona policjanta), pomagając w pakowaniu zaleca zabranie maszyny do szycia. Maszyna ta uratowała w Kazachstanie życie całej rodzinie, o czym po powrocie do kraju zawiadomił «Mamę» syn p. Bułatowej. Niezależnie od ww. działalności «Mama» wraz z mężem organizuje comiesięczną wysyłkę paczek swojej siedmioosobowej rodzinie wywiezionej z Antopola pod Archangielsk. W całym tym okresie od początku wojny aż do marca 1944 r. w domu jest prowadzony nasłuch radiowy, którym zajmuje się syn Władysław, «Duży».

Po zajęciu Brześcia przez Niemców (22.06.1941) na polecenie burmistrza p. Bronikowskiego «Mama» organizuje stołówkę dla uwolnionych ponad 5 tysięcy więźniów. Stołówka ta podległa Zarządowi Miasta przekształca się stopniowo w stałą pomoc dla ubogiej ludności miasta. Pomoc ta udzielana jest wszystkim »»»

Zdjęcie domu «Mamy» ul. Koszarowa 4 B (Grajewka), obecnie 3. Żeleznodorożnyj Piereułok 4, w którym mieściła się ostatnia kwatera Komendy Okręgu



»»» potrzebującym bez względu na wyznanie czy też narodowość. Dzięki tej stołówce może utrzymać się wiele rodzin z małymi dziećmi b. wojskowych.

Równocześnie z okupacją niemiecką zaczyna się rozwijać konspiracja ZWZ-AK. Powstaje wyodrębniony na Polesiu Okręg Poleski. «Mama» prowadzi początkowo skrzynkę kontaktową pomiędzy Komendą



Ostatnie zdjęcie «Mamy» 1985 r.

Główną w Warszawie (łącznik Bronek) a Komendą Okręgu Poleskiego, jak również dla Komendy «Wachlarza». Po licznych aresztowaniach członków konspiracji brzeskiej AK: ks. Urbanowicza, panów: Bronikowskiego, Porowskiego, Zelenaya i innych osób, kontakt z Komendą Główną ZWZ-AK przeniesiony zostaje ze stołówki do domu «Mamy» przy ul. Koszarowej, 4 B (Grajewka). Dojeżdża tutaj z Warszawy łącznik Komendy «Michał» oraz inni.

Wzrastająca fala aresztowań i wywózek na roboty do Niemiec uaktywnia działanie komórki legalizacyjnej Okręgu. «Mama» nadzoruje i ułatwia wydawanie lewych ukrywającym się, jak i przyszłym na teren Polesia nowym członkom konspiracji. Lewymi dokumentami wspierana jest młodzież przed wywozem na przymusowe roboty. W tym czasie «Mama» zostaje powołana przez Władze Polski Podziemnej na Pełnomocnika do Spraw Opieki Społecznej w Okręgu Poleskim. Dysponując niewielkimi środkami prowadzi starania w uwalnianiu z rąk niemieckich młodzieży polskiej przygotowywanej do wywózki na przymusowe roboty. Z zapamiętanych nazwisk uwolnionych można wymienić Adelę Lasotową z Lasot, Stanisławę Piwoni ze Skoków. Wiele innych

osób nie udało się zidentyfikować, gdyż nie wszyscy byli znani konspiracji.

W czasie likwidacji Getta brzeskiego w domu «Mamy» ukrywa się rodzina żydowska, lekarza brzeskiego dr Kagana, trzy osoby. Rodzina ta ocalała i po wojnie mieszkała we Lwowie.

Od stycznia 1944 r. w domu «Mamy» stacjonuje Komendant Okręgu Poleskiego ZWZ-AK ppłk «Żuk» Stanisław Dobrski wraz z zastępcą mjr «Zenonem», «Puchacz» Stanisławem Kowalskim (nazwisko lewe). W tym samym czasie w domu tym stacjonuje dowództwo węgierskiej baterii przeciwlotniczej. Ułatwia to Komendantowi Okręgu «Żukowi» bezpieczniejsze działanie.

W połowie kwietnia 1944 r. Komenda Okręgu wraz ze sztabem przenosi się na Kol. Skoki w celu rozpoczęcia przygotowań organizacyjnych do akcji «Burza» na Polesiu. Niespodziewana akcja niemiecka na Kol. Skoki (26.04.1944) i rozbicie Sztabu zmuszają ppłk «Żuka» do przejścia za Bug. «Mamie» jako swemu pełnomocnikowi poleca «Żuk» prowadzenie dalszej konspiracji na Polesiu. Nowo wyznaczony przez K. Główną Komendant Okręgu Poleskiego w maju 1944 r. c. c. ppłk «Trzaska» Henryk Krajewski przystępuje na Podlasiu (Tokary, Sarnaki) do organizowania w ramach akcji «Burza» 30. Poleskiej DP AK, «Mamie» zaś udziela dalszego pełnomocnictwa do prowadzenia konspiracji w Okręgu Poleskim.

W sierpniu 1944 r. «Mama» nawiązuje łączność i udziela pomocy materialnej uwięzionym w obozie w Brześciu oficerom polskim AK. Pomoc ta dotyczy również członków konspiracji pozostających na Polesiu jak i przemieszczających się za Bug.

W październiku (22.10.1944) «Mama» zostaje aresztowana wraz z członkami Sztabu (6 osób). Przebywa w więzieniu brzeskim przechodząc ciężkie śledztwo przez dwa lata. Jesienią Sąd Wojenny skazuje «Mamę» na 15 lat katorgi. Zostaje wywieziona do Workuty. Podczas rozprawy sądowej w Brześciu na korzyść «Mamy» zeznawało wielu świadków w tym i rodzin sowieckich, może dlatego nie otrzymała wyższego wyroku, jakiego domagał się prokurator wojskowy.

«Mama» zostaje zwolniona z Workuty po 11 latach (amnestia), może jedynie wrócić do Kobrynia, gdzie jest już po odbyciu 10 lat obozu mąż Stanisław, ps. «Tata», b. płatnik Okręgu oraz syn Jerzy po 5 latach obozu, ps. «Mały», b. łącznik Komendy.

Po długoletnich staraniach syna Władysława, ps. «Duży», zamieszkałego w Warszawie, po powrocie z internowania AK w ZSRR, «Mama» otrzymuje list gwarancyjny Rządu Polskiego do Władz Radzieckich z prośbą o przekazanie całej rodziny do Polski. W lipcu 1956 r. «Mama» z rodziną przyjeżdża do Kraju. Zamieszkuje w Szczecinie otrzymując od władz miejskich przygotowane dla repatriantów mieszkania. Odpoczywają po ciężkich przejściach okupacyjnych i oddychają wymarzoną wolnością.

Za swoją działalność społeczną i konspiracyjną na Polesiu «Mama» jeszcze w okresie okupacji odznaczona została Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, a po przyjeździe do Kraju – Krzyżem Armii Krajowej oraz Krzyżem Partyzanckim. W 1982 r. «Mama» zostaje odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W 1988 r. 15-go grudnia «Mama» umiera w Szczecinie mając prawie 94 lata. Pochowana zostaje w grobie rodzinnym w Szczecinie, gdzie wcześniej w 1969 r. został pochowany mąż Stanisław, ps. «Tata».

Warszawa, 19.04.2005

Wspomnienia opracował syn «Mamy», ps. «Duży», «Władysław»

WŁADYSŁAW SWARCEWICZ, WARSZAWA





Zdjęcie grobu rodzinnego «Mamy», «Taty» oraz matki mamy Karoliny Krzywa. Cmentarz w Szczecinie.

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

Drodzy Czytelnicy,

Z wielkim smutkiem 2 lutego odebraliśmy wiadomość o śmierci Władysława Swarcewicza, naszego wybitnego Rodaka, bohatera AK urodzonego w Brześciu, który wraz z Rodziną walczył w szeregach ZWZ-AK o wolność naszej Ojczyzny. Był wielkim przyjacielem «Ech Polesia» i Polskiej Szkoły Społecznej im.I.Domeyki, autorem wielu artykułów. W AK znany był pod ps. «Duży». Był to Człowiek naprawdę duży, przystojny, męski, o wielkim sercu, pełny szlachetności, ogromnej odwagi, miłości w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Odszedł jeden z ostatnich Kresowych Mohikanów...2 lata temu nasi redakcyjni koledzy odwiedzili Pana Władysława w Konstancinie, gdzie nagrali Jego wspomnienia. Film ze wspomnieniami Władysława Swarcewicza mogą Państwo obejrzeć na naszej stronie www.echapolesia.pl. Cześć Jego Pamięci!



Urodziłem się 9 sierpnia 1924 r. w Brześciu nad Bugiem – i tam zamieszkiwałem. Rodzice moi byli urzędnikami pocztowymi. Do 1939 r. ukończyłem dwie klasy gimnazjum im. R. Traugutta. Od czwartej klasy szkoły powszechnej należałem do harcerstwa. Na kilkanaście dni przed wybuchem wojny w 1-ej B.D.H. [Brzeska Drużyna Harcerska – przyp. red.] im. Tadeusza Kościuszki zostało zorganizowane pogotowie harcerskie, w ramach którego pełniłem dyżury nocne (do 10. IX. 1939 r.) przy osłonie mostu drogowego na rzece Muchawiec. Ojciec mój został w tym czasie powołany do Poczty Polowej. 11.IX. wraz z matką i młodszym bratem ewakuujemy się na południe. Docieramy pod Dubno, gdzie 17.IX. wkraczają wojska radzieckie. Nie mogąc powrócić do Brześcia, po wielu trudnościach, drogą okrężną poprzez Kowel, Chełm, Warszawę, Terespol, a następnie przeprawiając się łodzią przez Bug, wracamy dopiero na początku listopada do domu. Rozpoczynam naukę w polskiej szkole Nr 7 w Brześciu n. B., prowadzonej przez władze radzieckie (tzw. dziesięciolatka). W szkole wśród młodzieży, szczególnie byłych harcerzy, zaczyna działać konspiracja, która polega na rozmowach o konieczności przygotowania się do walki z okupantem, zbieraniu broni i amunicji na przedpolach Twierdzy Brzeskiej. Zalążki tej konspiracji zostają rozbite przez masowe aresztowania młodzieży i całych rodzin. Mając w domu radio, które pomimo wezwań nie zostało oddane nowej władzy, zajmuję się nasłuchem radiowym wiadomości przekazywanych przez radio francuskie (Tuluza), a następnie Londyn. W tym czasie w domu zdołałem wraz z ojcem zgromadzić 4 nagany z amunicją, zamek od karabinu – mauzer oraz dwie maski gazowe. W późniejszym czasie (1941 r.) doszła jeszcze dubeltówka oraz kilka granatów węgierskich. Dla potrzeb konspiracji zakupiliśmy od Węgrów (luty 1944 r.) 3 karabiny, przekazane później do oddziału partyzanckiego «Watra IV». Po wkroczeniu Niemców do Brześcia n. Bugiem. 22.VI.1941 zostałem wciągnięty wraz z matką, ps. «Mama» do konspiracji ZWZ AK. Moja matka prowadziła skrzynkę kontaktową przy stołówce miejskiej, dla Komendy Okręgu Poleskiego oraz dla Wachlarza III; ja natomiast zajmowałem się nasłuchem radiowym, początkowo jeszcze na naszym aparacie «Telefunken», ze względu na gabaryty trudnym do ukrycia, a następnie na dostarczonym z K.O. –O.S.B. Nr 75 [typ radiostacji – przyp. red.] W połowie roku 1943 rodzice moi przyjęli do naszego domu (ul. Koszarowa 4 B) rodzinę żydowską dr. Kagana (3 osoby), która uciekła z likwidowanego przez Niemców getta. Rodzina ta ukrywała się u nas do 1.X.43, tj. do dnia mego aresztowania przez Gestapo.

Aresztowanie nastąpiło w miejscu mojej pracy. Pracowałem w tym czasie w firmie budowlanej H. Kletke jako technik. Osadzony zostałem w więzieniu brzeskim. Kilkutygodniowe ciężkie przesłuchiwania przez Gestapo nie wykazały żadnych śladów mojej działalności w konspiracji. Po prawie trzymiesięcznym pobycie w więzieniu 23.XII.43

WŁADYSŁAWA SWARCEWICZA

zostałem wysłany wraz z większą grupą uwięzionych do obozu koncentracyjnego. Podczas załadunku kolejowego uciekam i ukrywam się u zaprzyjaźnionej rodziny. Ponieważ, jak sprawdził wywiad AK, dom mój jest bezpieczny, pomimo mojej ucieczki, gdyż raport niemiecki podał, że zostałem zastrzelony w transporcie, od stycznia 44 r. ukrywam się w naszym domu i zajmuję się dalej nasłuchem radiowym. W tym czasie (styczeń 44 r.) Komendant Okręgu Poleskiego «Twierdza» – ppłk «Żuk» Stanisław Dobrski przenosi swoją kwaterę do naszego domu, gdzie niezależnie od nasłuchu radiowego wchodzę w skład osłony Komendanta Okręgu. Matka moja w tym czasie, poza prowadzeniem skrzynki kontaktowej (stołówka magistracka) pełni funkcję szefa opieki społecznej oraz prowadzi komórkę legalizacyjną, którą przejęła od «Ireny» – Jadwigi Ostaniewicz. Ojciec mój, ps. «Tata» pełni natomiast funkcję płatnika Komendy Okręgu. W pierwszych dniach kwietnia 44 r. zostaję oddelegowany do pomocy przy pracy radiostacji K.O., która znajdowała się na kolonii Janowo u Bolesława Okły około 20 km na północny wschód od Brześcia. Pomoc moja polega na osłonie oraz uruchamianiu prądnicy zasilającej radiostację. W chwilach wolnych ppor. «Marek» NN kierujący radiostacją, poznaje mnie z jej budową i działaniem oraz szkoli w nadawaniu znaków Morse'a. 25 kwietnia 44 r. otrzymuję rozkaz przez łącznika udania się do kolonii Skoki (6 km na południe od Brześcia). Po przyjściu na miejsce dowiaduję się, że następnego dnia ma się tutaj odbyć odprawa sztabu Komendy Okręgu Poleskiego AK. Komendant Okręgu z zastępcą, adiutantem, płatnikiem i łącznikami jest już na miejscu. Pozostali członkowie sztabu mają jeszcze dotrzeć. O świcie 26.VI. Gestapo z żandarmerią na skutek denuncjacji, okrążają kolonię, aresztując część członków sztabu i miejscowej konspiracji (z-cę K.O. «Zenona», «Tatę», Komendanta Placówki i kilkanaście innych osób). Ponieważ Niemcom wydaje się, że mają nareszcie w swoich rękach «Żuka» – K. Okręgu, zaprzestają szczegółowych rewizji poszczególnych budynków gospodarczych i w ten sposób nie zostałem odkryty w słomie nad oborą, gdzie schowałem się wraz z łącznikiem «Kańskim». Przy aresztowaniu «Taty» – Niemcy wzięli go na skutek b. wielkiego podobieństwa za «Żuka» i dlatego zaprzestali dalszych poszukiwań.

Następnej nocy po skontaktowaniu się w Skokach z adiutantem K.O., uzyskuję hasło i zgodę na dołączenie do Oddziału partyzanckiego – «Watra IV» dowodzonego przez ppor. «Marka» – Stanisława Nabiałka. Oddział mój prowadzi akcje dywersyjne w rejonie Poliszcz, Prużan, Żabinki, a następnie otrzymuje rozkaz przejścia do Puszczy Białowieskiej w celu założenia bazy dla przyszłej działalności w ramach akcji «Burza»

W dniu 17 lipca wkraczają do Puszczy oddziały radzieckie, rozbrajają nas i kierują na miejsce postoju do Białowieży. W Białowieży stacjonujemy przez prawie dwa tygodnie i następnie pod kierownictwem 2-ch oficerów radzieckich zostajemy skierowani (piechotą) w kierunku na Lublin do tworzącej się Armii Polskiej. W trakcie przemarszu, na zachód od Wysokiego Litewskiego (k. lasów tokarskich), spotykamy koncentrujące się oddziały Zgrupowania 30 DP AK [Dywizji Piechoty Armii Krajowej – przyp. red.]. Dowództwo Zgrupowania przejmuje nas i włącza jako 3 Kompanię III bat. 82 p. p. AK. Wraz z całym Zgrupowaniem spieszymy na pomoc walczącej Warszawie.

Źródła: C1 – 461/p – 182132 (teczki personalne w Centrum Przechowywania Zbiorów Historyczno-Dokumentalnych w Moskwie;
C4 – 65-290.5 – 881 (listy imienne trzech transportów powrotnych z obozu nr 270, Centrum…);
K1 – 1563; K1 (lista repatriantów z Riazania i Borowicz 26 lutego 1946 w Archiwum Państwowym m. st. Warszawy); I – 19789 (ankiety ośrodka «Karta»).
C1 Swarcewicz – Adamski Zenon, ur. 1925, o. Adam.

»»»



»»» MOJE WSPOMNIENIA Z POBYTU W 270. OBOZIE DLA JEŃCÓW WOJENNYCH W ZSRR W 1944 – 1946 R.

W dniu 19 sierpnia 1944 r. w Wielkich Dębach k/W-wy Zgrupowanie zostaje rozbrojone, oficerowie zatrzymani a pozostali żołnierze w kilkunastu ciężarówkach pod konwojem sowieckim odwiezieni na Majdanek, przy zapewnieniu pułkownika sowieckiego (dał oficerskie słowo), że nasi oficerowie dołączą następnego dnia do nas. Po przyjeździe na Majdanek (niedziela – 20.08.44) okazuje się, że oficerów nie zobaczymy, gdyż są wywożeni na wschód, w związku z czym uciekam z obozu wraz z kilkoma kolegami. Po dwóch dniach docieram do Białej Podlaskiej, gdzie spotykam ppor. «Marka», który ze względu na stan zdrowia nie mógł iść z nami na pomoc Warszawie. Przechodzę powtórnie do konspiracji i melinuje się w Białej Podlaskiej. W tym czasie dowiaduję się, że nasi oficerowie przebywają w Brześciu n.Bugiem w byłym obozie po-cygańskim. 15 listopada 1944 r. zostaję aresztowany przez sowietów i osadzony w więzieniu w Białej Podlaskiej. W tym czasie posiadałem fałszywe warszawskie dokumenty na nazwisko Adamski Zenon i pod takim na – 26 Kwartalnik Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy AK Nr 1(80) zwiskiem przebywałem w obozie w ZSRR. Po dwóch tygodniach badań i bicia przez śledczych, w nocy z 29 na 30 listopada zostaję wywieziony wraz z liczną grupą aresztowanych (ok. 75 osób) trzema ciężarówkami i licznym konwojem do Sokołowa Podlaskiego. Znajduje się tutaj obóz przejściowy dla aresztowanych przez NKWD z różnych okolicznych miejscowości (w większości spod Warszawy). Jest nas w obozie około 2000 osób. 1-go grudnia załadowują nas, przy biciu i popychaniu do wagonów towarowych (małych), po 80 więźniów na każdy wagon. Wagony są odrutowane i całkowicie zamknięte z wpuszczoną rurą po jednej stronie drzwi do załatwiania czynności fizjologicznych. W takich warunkach w strasznej ciasnocie i zimnie, po 11 dniach podróży

wyładowują nas w Borowiczach, nowgorodzka obłaść. W czasie jazdy konwój rewidował nas dokładnie i bił dwukrotnie, rabując wszelkie kosztowności i lepszą odzież. Podczas całej jazdy otrzymaliśmy jedynie dwukrotnie wodę do picia i suchary chleba oraz po małej porcyjce gotowanej kaszy. Z braku wody, a pragnienie było straszne, lizaliśmy skraplającą się pod dachem wagonu parę wodną. Trasa przejazdu prowadziła przez Brześć n. Bugiem, Baranowicze, Ostaszków, Bałagoje do Borowicz. Nie wolno było podchodzić do zakratowanych okien podczas postoju, gdyż groziło zastrzelenie przez obstawiających wagony konwojentów NKWD. Po wyładowaniu z transportu formują nas piątkami w długą kolumnę marszową i pędzą (dosłownie) do obozu w Jogle, który znajduje się około 9 km na południe od miasta. Po przejściu mniej więcej połowy trasy odłączają tylną część kolumny (słabszych) i zatrzymują w obozie w Szepietowie, a ja wraz z resztą dochodzimy całkowicie wycieńczeni do obozu jeńców wojennych w Jogle w nocy z 11 na 12 grudnia. W obozie zastajemy przybyłych wcześniej naszych rodaków z transportu rzeszowskiego i lubelskiego. Jest nas w obozie, nie licząc Niemców około 5 – 6 tysięcy. Przechodzimy ścisłą rewizję przy której odbierają nam pozostałą jeszcze lepszą odzież, a dają łachy wojskowe przeważnie niemieckie i każą naszyć opaski z literą I (internowany). Lokują nas w barakach – ziemiankach po około 500 więźniów. Ziemlanki posiadają jedynie maleńkie okienka nad górnym rzędem prycz. Brak jest oświetlenia elektrycznego, używamy do tego celu łuczywa. Dowiaduję się, że wszystkie obozy w tym rejonie podlegają jednemu zarządowi i mają numer 270. Są one podzielone na tzw. uczastki (podobozy). Jednym z nich jest Jogła (Jegolsk). W Jegolsku przechodzimy tzw. kwarantannę, w zasadzie nie pracujemy, a jedynie walczymy z plagą wszy i głodujemy, gdyż władze obozowe sowieckie okradają nas permanentnie z należnych nam przydziałów żywności. Bardzo dają się we znaki codzienne apele (prowierki) na których rano i po kolacji sprawdzane są stany ilościowe więźniów. Ponieważ często na skutek nieumiejętności podliczenia i uzgodnienia stanu ilościowego przez dyżurnych oficerów sowieckich, zmuszeni jesteśmy wystawać, nieraz przez parę godzin w mrozie i deszczu, w szeregach piątkami przed swoimi barakami aż do uzgodnienia stanu ilościowego i odwołania apelu. W końcu lutego 1945 r. przenoszą nas do obozu miejskiego bliżej Borowicz (Sztadlager). Tutaj początkowo dostajemy komendantów baraków i innych funkcyjnych – Niemców, którzy próbują odgrywać się na nas jako na byłych «Polnische banditen». Stopniowo następuje wycofanie Niemców z niektórych stanowisk funkcyjnych (pozostają jedynie w kuchni i łaźni). W obozie tym następuje zmiana opasek na WP (wojenno plenni) i podział na brygady robocze. Zmuszają nas do ciężkich robót w kopalni glinki ceramicznej na tzw. «lesospławie» i przy innych fizycznych pracach. W pierwszym okresie pobytu w tym obozie (miejski) ze względu na ciężkie warunki, zimno i głód oraz nieprzystosowanie organizmu do zabójczego klimatu, wielu kolegów zapada na zdrowiu (płuca, biegunka) i umiera. W okresie zimowo-wiosennym zdarza się często, że śmierć zabiera do dwudziestu kilku kolegów na dobę. Chowani są w pobliżu obozu w zbiorowych mogiłach (dołach) z trudem wykopanych na skutek silnych mrozów przez specjalną brygadę roboczą. W drugiej połowie roku (zaraz na początku) obóz nasz został przeniesiony na drugą stronę miasta Borowicze do obozu «szachtowego», w którym gros z nas pracuje brygadami na «szachcie» przy wydobyciu węgla brunatnego czy też budowie kopalni. Ja początkowo pracuję w tym obozie na tzw. «awto dorodze» (budowa drogi), potem w brygadzie transportowej, a następnie na 103 szachcie (kopalni) w 33 brygadzie. Wszystkie funkcje obozowe przejmują od Niemców koledzy. Obóz ten jest cały zbudowany z baraków naziemnych, nie tak »»»

»»» jak poprzednie, z tym że zamiast trapiącej nas wcześniej plagi wszy, mamy jeszcze gorszą plagę pluskiew i to niesamowite ilości. Pomimo przeprowadzonej dezynfekcji (świece siarkowe) i parowania sprężoną parą, rezultaty zwalczania są niewielkie, pluskwy poruszają się jak mrówki przy mrowiskach leśnych. 28 Kwartalnik Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy AK Nr 1(80) W obozie tym po raz pierwszy wydano nam sienniki, gdyż dotychczas spaliśmy na drewnianych pryczach bez niczego, przykrywając się jedynie własną odzieżą. Praca w obozie jest obowiązkowa – władze sowieckie uważają nas za jeńców wojennych i tak samo traktują jak Niemców. Czasem odnoszę wrażenie, że tych ostatnich nawet nieco lepiej. Ludność miejscowa widząc nas przeważnie w łachach wojskowych traktuje nas wrogo. Trzeba wielu wyjaśnień i tłumaczeń, że zostaliśmy zabrani z domów, że nie jesteśmy Niemcami lecz Polakami, ażeby ten wrogi stosunek zmienił się. Za wykonane prace, niezależnie od otrzymanego wyżywienia, otrzymujemy dodatkowo 200 gr chleba, z tym że za pracę na dole w kopalni (straszne warunki pracy) – 400 gr chleba, co nie równoważy wysiłku, jaki trzeba włożyć – ażeby wykonać naznaczoną normę. Normalne wyżywienie w obozie wynosi 600 gr chleba, dwa razy dziennie otrzymujemy «czaj» oraz raz dziennie tzw. zupę (woda z kapustą, brukwią lub czasem z mąką czy też resztkami ziemniaków, ości po rybach). Należą nam się jakieś tłuszcze, cukier i inne dodatki, których poza cukrem otrzymanym od połowy 1945 roku w zasadzie nie widzimy, gdyż przydziały te giną u sowietów zarządzających obozem. W obozie kwitnie handel. Szczególnie cennym i poszukiwanym artykułem jest tytoń, który można zdobyć tylko za żywność lub też odzież. Stąd wielu nałogowych palaczy głoduje i traci zdrowie, na przykład za szczyptę tytoniu na jednego b. małego papierosa trzeba oddać pajdkę chleba (200 gr). Po przybyciu jeszcze w grudniu do obozu nie wydano nam żadnych naczyń do jedzenia posiłków, toteż musieliśmy zorganizować je sobie sami ze starych puszek wyrzuconych na śmietnisko, po różnych konserwach, które otrzymywali żołnierze sowieccy. Taką puszkę, po dorobieniu do niej kabłąka z drutu, każdy z nas nosił stale przy sobie. Posiłki w każdym z obozów, w których przebywałem, wydawane były w wiadrach na 10 osób i następnie dzielone w barakach. Często odbywało się to przy niezadowoleniu kolegów z powodu niesprawiedliwego podziału, w związku z czym dzielący byli stale zmieniani. Nastawienie władz sowieckich w początkowym okresie bardzo wrogie, w drugiej połowie roku 1945 ulega pewnemu złagodzeniu, gdyż możemy już naszywać na naszych czapkach (różnych wojskowych) biało-czerwone proporczyki, co było nawet początkowo surowo karane, jak również po apelu wieczornym śpiewanie zbiorowe przez osadzonych w obozie pieśni «Wszystkie nasze dzienne sprawy» i innych (np. «O Boże któryś jest na niebie»). W okresie przebywania w obozie szachtowym zdarzyło się w nim kilka ucieczek, ale wszystkie zostały zlikwidowane i uciekinierzy wrócili z powrotem, często bardzo mocno pobici przez konwój. W jednym przypadku (czerwiec 1945 r.), gdy dwaj uciekinierzy zostali złapani w wagonie z sianem na stacji w Borowiczach (wykrył ich pies), konwojenci doprowadzając więźniów do obozu, zastrzelili ich. Ponieważ byli z mojego baraku, jeszcze z jednym kolegą musieliśmy ich przenieść do obozu. Pamiętam, że obaj pochodzili z okolic podwarszawskich, może z Marek. Jeden nazywał się Król, a drugi Wróbel, imion nie pamiętam. W obozie występował całkowity brak papieru do prowadzenia ewidencji obozowej (pomimo, że w mieście tym była fabryka papieru), to cała ewidencję sporządzano na deseczkach (jak stolniczki domowe). Na nich pisało się, a w przypadku jakichś zmian czy pomyłek, wyskrobywało szkiełkiem. Tak sporządzona ewidencja ułożona była na stercie w komendzie obozu. Brak papieru odczuwali szczególnie palacze.

Każdy skrawek papieru czy też tektury oderwany np. z opakowania mimo przesiąknięcia smołą, stanowił dla nas cenny nabytek umożliwiający skręcenie papierosa. Na początku stycznia 1946 r. przeprowadzono w obozie selekcję, wysyłając część kolegów do nieznanych mi innych obozów. Pozostałą naszą część (około 500 osób) przeniesiono do obozu na tzw. «kawankę»[obóz nr 7 w Borowiczach – przyp. red.]. Zapowiedziano nam, że szykują się powroty do kraju, ale jakoś nie bardzo w to wierzyliśmy, gdyż takich zapowiedzi i przedtem było wiele. Do obozu «szachtowego» wprowadzono na nasze miejsce Niemców. W pierwszych dniach lutego 1946 r. załadowano nas do przygotowanego transportu, w którym znajdowały się prycze i piecyki, tak że warunki jazdy były znośne, łącznie z wyżywieniem. Początkowo nie wierzyliśmy, że wracamy do kraju, ale jak się stopniowo zaczęło okazywać, że jedziemy w kierunku południowo zachodnim, a następnie zachodnim, wtedy nabraliśmy otuchy i uwierzyliśmy w nasz powrót. Nareszcie dojechaliśmy do Brześcia n. Bugiem i tu po dwudniowym postoju, przeładowano nas do innych wagonów towarowych z równoczesnym połączeniem z transportem przybyłym z Riazania. W tym transporcie spotkałem kilku naszych oficerów, aresztowanych 19.08.1944 r. w Wielkich Dębach k. Warszawy, w tym szefa sztabu naszego Zgrupowania mjr «Borka» Tomasza Zana. W dniu 6 czy też 7 lutego 1946 r. odstawiono nasz transport pod ścisłym konwojem do Białej Podlaskiej, gdzie witało nas niemal całe społeczeństwo miasta. Po dwóch dniach otrzymałem zaświadczenie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, wydane przez Urząd Powiatowy U.B., stwierdzające mój powrót z ZSRR i każdy z nas, po otrzymaniu tego dokumentu, mógł udać się w swoje strony rodzinne. Część kolegów, których oddzielono od nas w styczniu przed wyjazdem z Borowicz, powróciła do kraju dopiero pod koniec 1947 roku ze Swierdłowska z obozu nr 131.

Po powrocie do kraju dowiedziałem się, że moi rodzice i brat mieszkający w Brześciu za działalność przeciwko Związkowi Radzieckiemu zostali aresztowani jesienią 1944 r. i po długim śledztwie skazani:

- matka Józefa Swarcewicz, członek Komendy Okręgu Poleskiego AK, ps. «Mama» na 15 lat «reżimnogo Łagiera». Przebywała w Workucie do 1955 r. Zmarła w Szczecinie w grudniu 1988 r.
- ojciec Stanisław Swarcewicz, łącznik w K.O. Poleskiego AK, ps. «Tata» na 19 lat obozu. Przebywał do 1953 r. w Mińsku w obozie. Zmarł w Szczecinie w 1969 r.
- brat Jerzy Swarcewicz, łącznik w K.O. Poleskiego AK pseud. «Mały», na 5 lat obozu (nie miał 16 lat). Przebywał w obozie pod Orłem. Zmarł w Szczecinie w 1967 r. w wieku 39 lat.

W lipcu 1956 r. po wieloletnich staraniach, na podstawie listu gwarancyjnego w Kobryniu, przekazanego przez Polską Ambasadę w Moskwie miejscowej milicji w Kobryniu, gdzie moi rodzice zamieszkiwali w 1956 r., mogli nareszcie wrócić do Kraju. Naturalnie wszystko, co im podczas aresztowania zostało zabrane i skonfiskowane, wraz z domem uległo przepadkowi i nigdy im nie zwrócono dorobku ich całego życia, czy też zrekompensowano. Jeżeli chodzi o mnie, to po powrocie do kraju zamieszkałem na stałe w Warszawie, gdzie dokończyłem naukę w średniej szkole, a następnie pracując w różnych instytucjach, w tym ponad 35 lat w tak zwanym zapleczu naukowo-badawczym, ukończyłem również studia ekonomiczne w SGPiS.

Zapisałem 30.01.1987 r.

WŁADYSŁAW SWARCEWICZ PS. «DUŻY»

ZABIJANY NA RATY



Podchorąży Stanisław Tereszczuk

Historię «woli przeżycia» Brześcianina Stanisława Tereszczuka, żołnierza II Korpusu, której fragmenty drukujemy poniżej, przedstawił nam Pan Pułkownik Dr Zygmunt Popiel z Warszawy. Warto w tym miejscu zadać sobie pytanie: kim był Stanisław Tereszczuk i czym zasłużył sobie na miano bohatera? Pytanie stawiamy w przededniu 61. rocznicy bitwy pod Monte Cassino, jednej z najsławniejszych zwycięskich bitew oręża polskiego.

Stanisław Tereszczuk to człowiek sponiewierany sowieckimi łagrami, był łachmanem i stworzeniem, które można było zatłuc, zagłodzić, zaszczuć na śmierć. Taki człowiek mógł upaść aż do dna, do jakiego sięgała jego niedola, albo ukazać się poprzez hart ducha po prostu świętym za wzorem pierwszych chrześcijan. Takich Polaków i żołnierzy ocalałych i zebranych w liczbie ok. 80 tysięcy na czele z gen. Władysławem Andersem spośród ponad miliona innych udało się zebrać zgodnie z układem Sikorski-Majski z 30 VII 1941 r. nadludzkim wysiłkiem do Buzułuku nad rzeką Samarą. Stąd wiosną 1942 r. ewakuowano ich przez Morze Kaspijskie do krajów środkowego i bliskiego Wschodu, skąd rozpoczęli marsz ku Polsce poprzez wyzwalanie Włoch.

Epizod bitwy pod Monte Cassino, zdobytego przez Polaków oraz osobistych i heroicznych przeżyć wielokrotnie rannego żołnierza z Brześcia opisuje artykuł, którego streszczenie drukujemy.

JA

Podejmowane przez żołnierzy Armii Amerykańskiej i innych narodowości próby złamania niedostępnej linii obrony w drodze do Rzymu, które trwały przez 4 miesiące, nie przyniosły rozwiązania w rejonie masywu Monte Cassino.

Nadszedł moment wejścia do akcji oddziałów II Korpusu. Po koncentracji i nadzwyczaj pracochłonnych przygotowaniach, w trudnych warunkach, w nocy 11-go maja 1944 roku rozpoczęła się największa bitwa żołnierza polskiego w czasie II wojny światowej. Sprawie polskiej potrzebne było zwycięstwo.

Przed 2-gim batalionem Brygady Dywizji Karpackiej postawione zostało zadanie zdobycia wzgórza 583, następnie 569. Z 3-cią kompanią przemieszczała się dowodzona przez plutonowego Grabarczyka ciężka grupa wsparcia. W jej składzie do boju szedł st. strz. pchr. Stanisław Tereszczuk, przydzielony z 4-go batalionu jako ogniomiotacz.

Rozpoczął się zacięty bój między przemieszczającymi się grupami. Pada również pchr. Stanisław Tereszczuk. Obarczony ciężkim miotaczem płomieni nie mógł wydostać się ze splotów drutu. Nagła eksplozja pocisku rzuciła nim w dół. Stracił przytomność. Gdy się ocknął, poczuł potworny ból w lewej nodze. Leżał na wznak. Spojrzał w dół, jego noga ze sterczącą w nienaturalny sposób piętą stanowiła miazgę zgruchotanych kości i mięśni.

Ranny leżał tak trawiony pragnieniem całą noc, cały dzień i znowu całą noc. Męczarnia podchorążego Tereszczuka trwała już drugą dobę. Rano, 13-go maja pojawił się patrol niemieckich sanitariuszy. Niemcy znieśli rannego w dół do leżącego w odległości około 3 km Punktu Opatrunkowego. Gehenna podchorążego trwała kolejny drugi dzień i trzecią noc. Nie było możliwości ugaszenie pragnienia, ani zaspokojenia

CZY WIECIE, ŻE...

Opracowanie zbiorowe pt. «Monte Cassino» wydane w Londynie przez Stowarzyszenie Kombatantów Polskich w 1989 r. «Spis poległych i zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych pochowanych na cmentarzu Monte Cassino» wykazuje 1051 nazwisk, spośród których aż 437 pochodzi z Kresów Wschodnich. Ponadto dla wielu innych nie są znane miejsca urodzenia czy pochodzenia. Wśród tych 437 poległych następujące liczby pochodzą z:

Wołkowyska	16
Lidy	13
Wołczyna	12
Braslawia	11
Stołpiec	10
Postaw	10
Nowogródka	8
Baranowicz	7
Grodna	7
Szczuczyna	7
Stolina	5
Łunińca	1 itd.

Pamiętajmy jednak, że tylko na terenie Włoch poległo wiele tysięcy żołnierzy polskich nie z Kresów Wschodnich, którzy spoczywają na cmentarzach w Loretto, Ankonic, Bolonii itd. jrj

głodu. W tym czasie w organiźmie rannego, wokół zmiażdżonej nogi trwała walka pomiędzy atakującymi bakteriami a nowotworzącą się tkanką.

Nadszedł kolejny dzień: 14-go maja. Niemcy przystąpili do ewakuacji rannych. Ujawniły się rany pleców poszarpanych serią niemieckiego «szpandała». Broczyły one, pękały, sprawiając trudny do opisania ból. Ranny podchorąży odnosił wrażenie, jakby żywcem obdzierano go ze skóry, a mięśnie jego poturbowanego ciała eksplodowały. Leżał nadal ze spieczonymi gorączką wargami.

Nadeszła czwarta noc – 14-go na 15-go maja. Podchorąży Stanisław Tereszczuk i pozostali czterej Polacy zostali przeniesieni do ciężarowego samochodu. Następuje seria bliskich wybuchów, które zamieniają samochód w stertę palącego się złomu. Ranni zostają przywaleni brezentową opończą, która rażona kolejnym, zapalającym pociskiem zamienia się w płonącą pochodnię.

Stanisław Tereszczuk został trzeci raz ranny, od kolejnych eksplozji i ognia doznał licznych oparzeń. Nadludzkim wysiłkiem spotęgowanym wielką wolą przeżycia, zabijany na raty podchorąży nadal walczył o życie. Dobijany od kilku dni, nie chciał umierać! Nadszedł dzień 16-go maja, czwarta doba jego gehenny.

Wreszcie rano, w dniu 18-go maja »»»

Uczniowie Polskiej Szkoły Społecznej im.I.Domeyki na Monte Casino, maj 2000 r





»»» do groty, gdzie leżał ranny Stanisław Tereszczuk wczołgał się jeden z Anglików z manierką płynu. Stan, w jakim znajdował się st. strz. pchr. Stanisław Tereszczuk musiał budzić zdumienie oraz podziw dla jego woli przetrwania wśród znających swoją profesję sanitariuszy. Na brytyjskim Wysuniętym Punkcie Opatrunkowym ranny otrzymał niezbędną pomoc w postaci zastrzyków, kroplówki i specjalną maseczkę na spaloną twarz. Kolejnym etapem ewakuacji rannego był 5-ty batalion C.S.S. Tam kpt. Dr Adam Jakubowski natychmiast przystąpił do operacji.

Jerzy Stopa tak wspomina spotkanie ze swym kolegą-bohaterem z Brześcia:

«W szpitalu, ku mojemu zaskoczeniu, spotkałem Brześcianina.

Deportowany przez NKWD w dniu 21 czerwca 1941 roku, jechał ze mną tym samym transportem. Był to Stanisław Tereszczuk. W czasie akcji, pod Monte Cassino został ciężko ranny. Cudem przeżył, czekając na pomoc siedem dób. Gdy zbliżyłem się do niego poznał mnie. Był już po operacji. Jego gehenna, rannego, który nie poddawał się biernie losowi dobiegła końca. Zwracając się do mnie, powiedział: «Zobacz, co ze mną zrobili». Śledziłem jego dalsze losy. Wiem, że po amputacji lewej nogi na dalsze leczenie został przewieziony do Wielkiej Brytanii».

Z uwagi na stan jego lewej kończyny konieczna była trzykrotna amputacja. W polskim szpitalu, w Szkocji powoli wracał do zdrowia. W uznaniu jego postawy oraz bohaterstwo wykazane na polu walki odznaczony został Krzyżem Walecznych. Jako podchorąży awansowany został do stopnia podporucznika.

Szczęśliwe lata powojenne, jakie spędzał z rodziną, małżonką oraz dwoma synami: Stanisławem, który przyszedł na świat w 1951 roku, oraz Karolem, urodzonym w 1958, były w jakimś stopniu rekompensatą za wszystkie przykrości i cierpienia, jakich doznał w czasie swojego życia – poczynając od deportacji w 1941 roku z rodzinnego Brześcia, przez ciężką pracę w Rosji, następnie trudne warunki życia żołnierza polskiego na Bliskim Wschodzie oraz przeżycia, które byty jego udziałem w czasie ciężkich walk pod Monte Cassino. Zmarł w wieku 70-ciu lat w Wielkiej Brytanii.

PŁK W ST. SPOCZ.
DR ZYGMUNT POPIEL

ARCHITEKT MAKSYMILIAN GOLDBERG I JEGO PROJEKT URZĘDU POCZTOWEGO W BARANOWICZACH



Maksymilian Goldberg

Maksymilian Goldberg (1895–1942) należy do grona najbardziej utalentowanych architektów II RP. W latach 1912–1914 studiował architekturę we Lwowie, a po 1916 roku – w Warszawie. W 1922 roku uzyskał dyplom z architektury monumentalnej. Po studiach zatrudnił się w pracowni inwentaryzacyjnej Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Był jednym ze współtwórców Stowarzyszenia Architektów Polskich. Stał na czele komitetu redakcyjnego czasopisma «Architektura i Budownictwo».

W latach 20. i 30. XX wieku Goldberg zrealizował szereg projektów w stylu modnego wówczas funkcjonalizmu. Za swoje projekty otrzymał wiele międzynarodowych wyróżnień: w 1925 roku na Wystawie Paryskiej medal brązowy, w 1929 i 1932 latach dyplomy honorowe w Budapeszcie, i wreszcie w 1937 roku w Paryżu złoty medal.

Goldberg współpracował z Hipolitem Rutkowskim i duet ten często rywalizował z innym znanym przedwojennym duetem architektów Lachert & Szanajca.

Goldberg i Rutkowski brali udział w licznych konkursach architektonicznych i urbanistycznych, m.in. w konkursie na zabudowę placu Piłsudskiego w Warszawie. Goldberg zajmował się także wystrojem wnętrz. Jego dziełem były wnętrza stołecznych sklepów «Kodaka», a także «Primavera» i «Roentgena».



Budynek w okresie okupacji sowieckiej

Po wybuchu II wojny światowej Maksymilian Goldberg trafił do getta warszawskiego. W tym czasie uczył w szkole budowlanej. Jego żona Alicja Godlewska wspominała: «Zdecydował się na pójście do getta, uważał, że pozostając w Warszawie u przyjaciół, proponujących mu mieszkanie u siebie, zbytnio by ich swoją osobą narażał. (...) Częste odwiedziny kolegów i spotkania z nimi w Sądach były dla niego odprężeniem. Rysując i pisząc odgradzał się od strasznej rzeczywistości. Słusznie zauważyła wówczas Barbara Brukalska, że Maksymilian ratuje w sobie artystę i człowieka, nie zaś istnienie biologiczne. Głównym motywem tego, że nie próbował się ratować, była obawa, aby swoją osobą nie narażać nikogo, dlatego wykluczał możliwości, jakie mu ofiarowywali koledzy-przyjaciele».

»»»

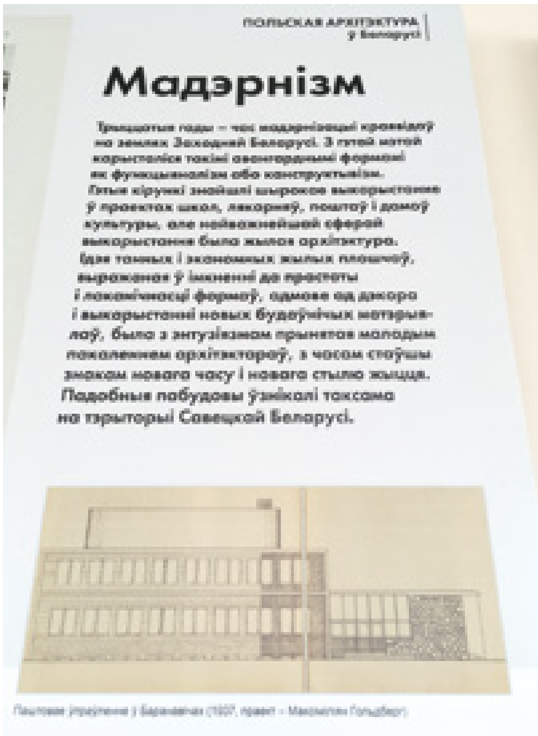


Budynek poczty w okresie II wojny światowej

»»» Maksymilian Goldberg pozostał w getcie do końca, zginął podczas akcji likwidacyjnej w sierpniu 1942 roku. Mimo tragicznej przedwczesnej śmierci architekt pozostawił bogate dziedzictwo. Jego najważniejsze realizacje: Dom Prasy, schronisko na Hali Gąsiennicowej, domy na Mokotowie, Saskiej Kępie, wille w Podkowie Leśnej i Aninie w Warszawie, więzienie w Sieradzu oraz budynki poczty we Włocławku i Baranowiczach.

Ten ostatni jest chyba najmniej znanym projektem Maksymiliana Goldberga. Jest również najmniej zbadanym ze wszystkich znaczących obiektów powstałych w Baranowiczach w okresie międzywojennym (wśród istotnych inwestycji warto wymienić gmach Banku Polskiego, radiostację, kolonię urzędniczą oraz budynki Funduszu Kwaterunku Wojskowego).

Można to wytłumaczyć tym, że architektura peryferyjnej Rzeczpospolitej nie była w centralnych mediach międzywojennych wystarczająco dokumentowana. Tak więc notatki o projekcie Goldberga były bardzo lakoniczne. W 1936 roku wileńska prasa informowała, że «na wiosnę [czyli w 1937 roku] rozpocznie się budowa gmachu urzędu pocztowego w Baranowiczach o kubaturze 13 tys. mtr. 3». W warszawskim zaś «Przeglądzie Pocztowym» wydanym w listopadzie 1938 roku w artykule pt. «Dwadzieścia lat budownictwa pocztowo-telekomunikacyjnego» zamieszczono wzmiankę, że «dla urzędu pocztowo-telekomunikacyjnego» zbudowano budynek w Baranowiczach.



Szkic projektu



Fragment budynku. Obecnie miejski Dom Kultury

Do niedawna opublikowano tylko trzy zdjęcia budynku. Jedno pochodzi z okresu okupacji sowieckiej, pozostałe zaś z okresu okupacji niemieckiej. Na prezentowanej w Mińsku, Brześciu i Baranowiczach wystawie «Polska mocna architekturą» pokazano także szkic projektu. Wyróżniająca się znakomitą grafiką okładka projektu, plan sytuacyjny oraz plany kondygnacji są przechowywane w Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

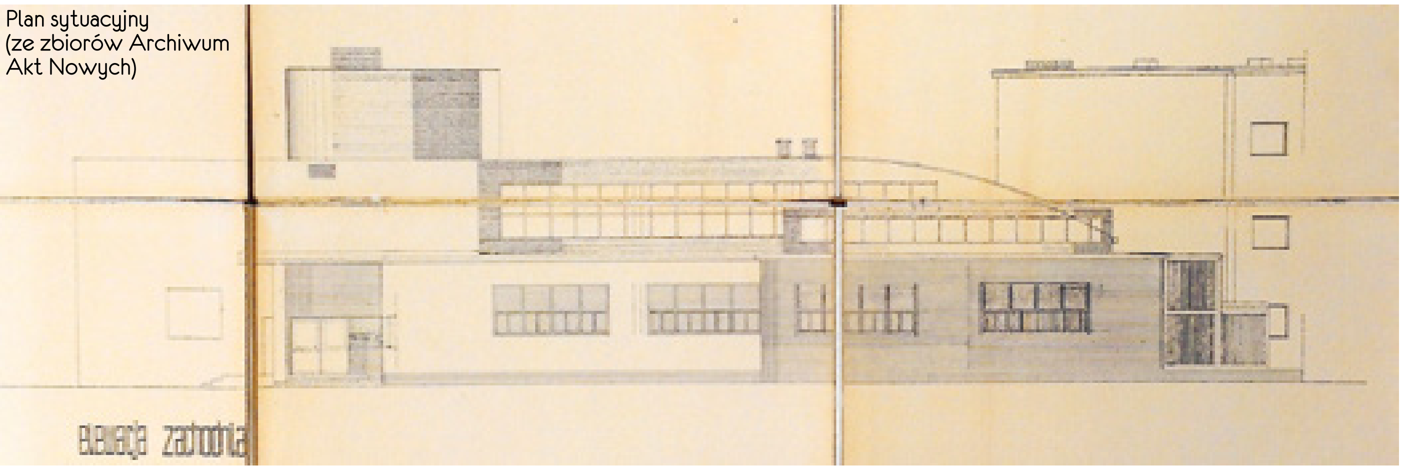
Dzięki istniejącym materiałom graficznym można wnioskować, iż Goldberg zaprojektował dwupiętrowy budynek poczty w stylu funkcjonalizmu. Projekt przewidywał podział budynku na część służbową i mieszkania dla pracowników. Pod koniec lat 30. budynek urzędu pocztowego stanowił bodajże najbardziej reprezentacyjny przykład tego typu rozwiązań w mieście, bowiem większość budynków w ówczesnych Baranowiczach były z drewna, a wielopiętrowe w ogóle policzyć można było na palcach.

Przed wojną funkcjonalizm górował zarówno przy budowie dużych osiedli mieszkalnych, jak i przy stawianiu budynków użyteczności publicznej. Architekci przestrzegali najważniejszej zasady

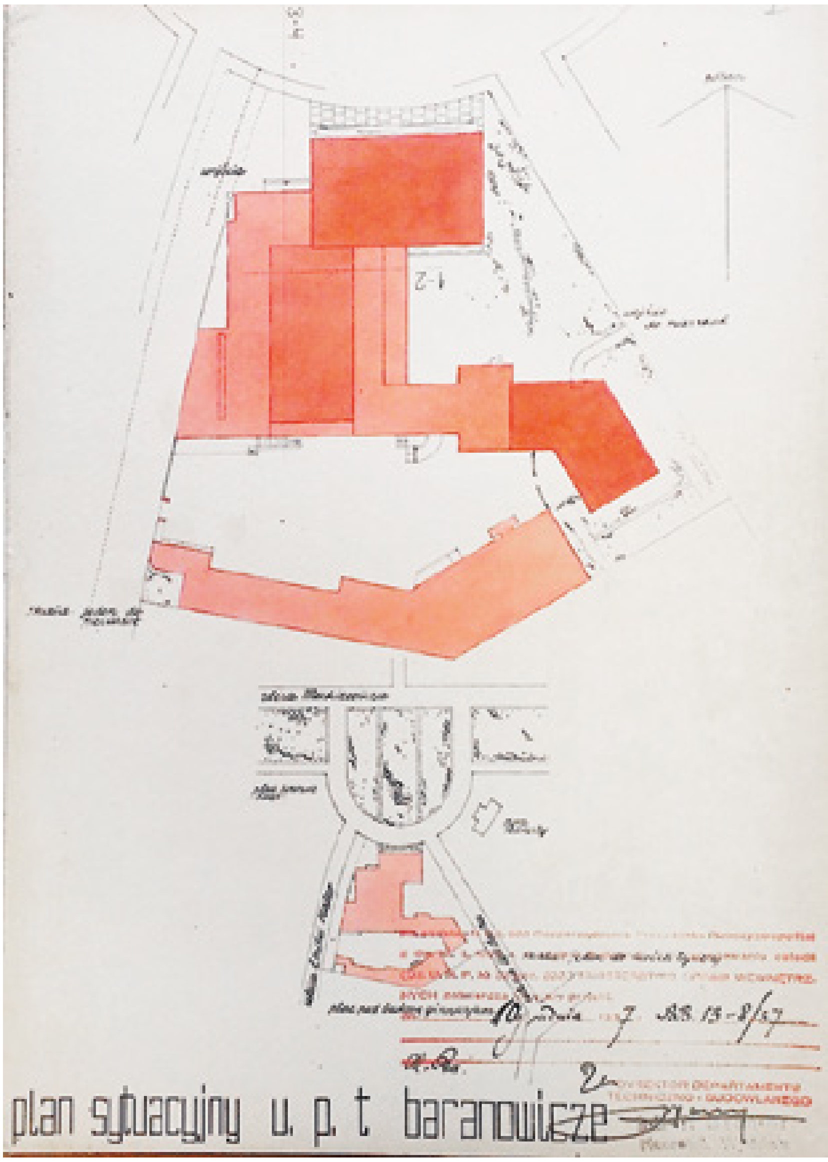


Okładka projektu (ze zbiorów Archiwum Akt Nowych)

– funkcjonalności. Budynki pozbawione zostały elementów dekoracyjnych typowych dla architektury historyzmu czy secesji. Oddawano pierwszeństwo geometrycznym bryłom, prostym kubaturom, oszczędnym detalom architektonicznym, wywodzącym się jedynie »»»



Plan sytuacyjny (ze zbiorów Archiwum Akt Nowych)



Zachodnia elewacja (ze zbiorów Archiwum Akt Nowych)

»»» z konstrukcji i materiału obiektu.

Budynek urzędu pocztowego przeżył nalot niemieckich samolotów na Baranowicze we wrześniu 1939 roku. Został prawdopodobnie mocno uszkodzony podczas bombardowania miasta przez sowieckie lotnictwo w 1944 roku.

Jednakże zdanie, że po wojnie od niego pozostały jedynie fundamenty jest błędne. Starsi mieszkańcy Baranowicz wspominają, że dawna «polska poczta» była częściowo odremontowana i przetrwała aż do momentu budownictwa Domu Kultury. Ten ostatni po prostu dobudowano do projektu Goldberga. Świadczy o tym choćby ten fakt, że prawe skrzydło Domu Kultury bardzo się różni swoją stylistyką od lewego, przypominając swym kształtem fragment przedwojennego budynku urzędu pocztowego.

Los budynku poczty w Baranowiczach ma jeszcze dużo białych plam. Brakuje przede wszystkim informacji na temat przebiegu budowy, wyglądu zewnętrznego po zakończeniu II wojny światowej. Nic nie wiadomo o ludziach zatrudnionych w Urzędzie Pocztowym. Być może, dzięki naszym Czytelnikom kiedyś się uda uzupełnić informacje o tym oryginalnym dziele Maksymiliana Goldberga.

DYMITR ZAGACKI



BRUK NA ULICACH BARANOWICZ

Brukowana kostką ulica Sowiecka (dawna Szeptyckiego)

Latem służby komunalne zwykle naprawiają pokrycie drogowe oraz remontują komunikacje podziemne. Dzięki temu pojawia się czasem możliwość obejrzeć oryginalne nawierzchnie ulic z okresu dwudziestolecia międzywojennego.

Stan dróg od dawna był jednym z najgłówniejszych problemów Baranowicz. Do wybuchu I wojny światowej większość ulic w pobliżu stacji kolejowych Baranowicze Centralne i Baranowicze Poleskie przedstawiały sobą ubite trakty ziemne. Wiosną oraz podczas silnych deszczów były poważną przeszkodą zarówno dla przechodniów, jak i furmanek. Tylko teren majątku hr. Jana Rozwadowskiego był wyspą w oceanie błota. Ulice i chodniki moszczono tam drewnem, żeby nie brodzić w ściekach.

Bruk pojawił się na baranowickich ulicach dopiero w okresie II Rzeczypospolitej. Jednak stan ulic nadal pozostawał jednym z głównych tematów krytyki skierowanej pod adresem samorządu miasta. «W Baranowiczach nie ma żadnych monumentalnych budowli ani nawet wygodnych bruków i chodników, ale jest «Poznański dom galanterii» – dość ironicznie informowała reklama z lat 30. Co prawda, opisywany problem był właściwy nie tylko dla Baranowicz. Cała sieć drogowa za czasów II RP aż do końca lat 30. pozostawiała wiele do życzenia.

W dwudziestoleciu międzywojennym zdecydowana większość baranowickich ulic miała nawierzchnie tłuczniowe (szutrowe) lub utwardzone kamieniami polnymi, nazywanymi «kocimi łbami». Podczas brukowania wykorzystywano zarówno kamienie zebrane w okolicach miasta, jak i materiał przywieziony z innych regionów. Na przykład, dawna ulica Topolowa, wiodąca do wsi Świetyłowicze, brukowana była różowym kwarcytem, pochodzącym z Wołynia. Dzięki temu, że ulica zawsze była strefą



Bruk w pobliżu przejazdu kolejowego przy ulicy Brzeskiej



«Kocie łby» przy dawnej ulicy Topolowej



Warstwa piasku służyła «poduszką» dla bruku



Brukowana «kocimi łbami» ulica Narutowicza w latach 30. XX wieku

pieszą, fragmenty tego bruku widoczne są do dziś. «Kocie łby» zobaczyć można także w pobliżu przejazdu kolejowego niedaleko stacji Baranowicze Centralne.

Sztuka brukarska wówczas wymagała, aby wykorzystywany kamień miał 17-25 cm, choć w praktyce nie zawsze tego się trzymano. Wszystkie nawierzchnie kładziono na solidnej podbudowie, a nie na «gołej ziemi». Na zdjęciu nr 4 widać niemalże 40-centymetrową warstwę piasku, służącą «poduszką» dla bruku. Następujące po sobie szare i czarne warstwy to już śmiecie i asfalt z czasów sowieckich.

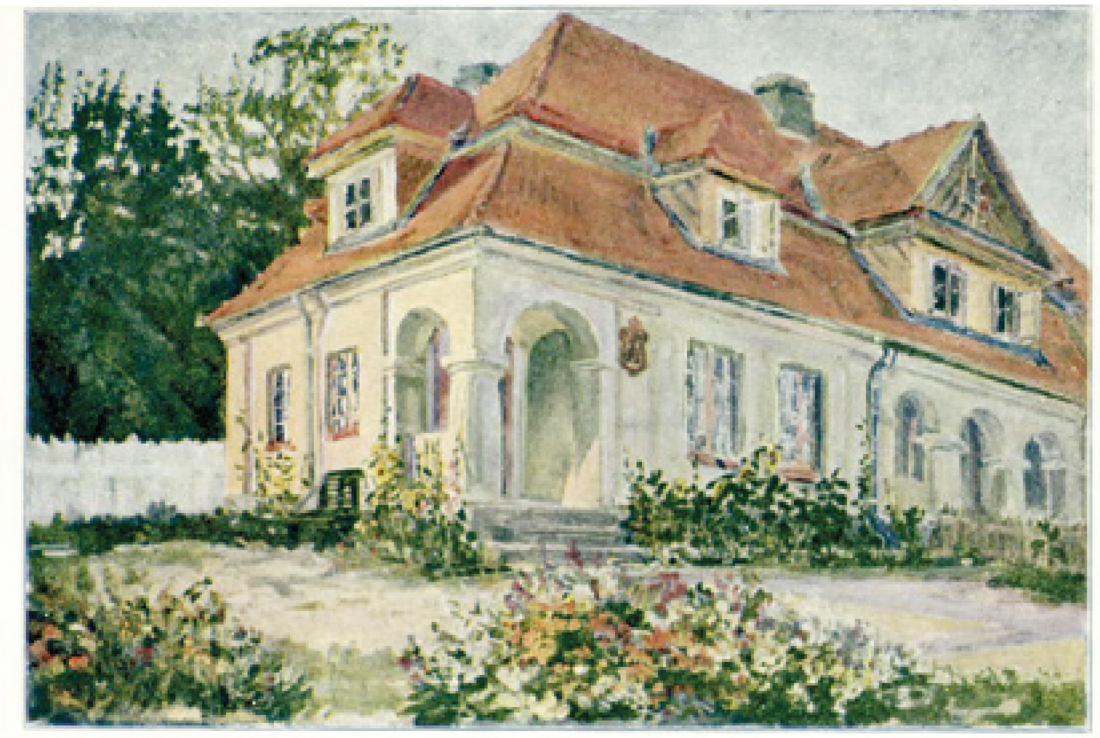
Niestety wymienione wyżej prymitywne typy bruku nie dawały łatwego życia przechodniom. Szczególnie źle znoszone były przez damskie buciki. Jazda brukiem z polnego kamienia nie należała ani do przyjemnych, ani do bezpiecznych dla samochodu. Bardzo dotkliwym był przedwojenny bruk dla kolarzy zmuszonych się trząść na «kocich łbach».

W latach 30. w Baranowiczach pojawiły się ulice pokryte kostką granitową, czyli tzw. drogi bite ulepszone. Materiał pochodził najprawdopodobniej z Wołynia. Badania przeprowadzone jeszcze w 1925 roku przez specjalistów z Politechniki Lwowskiej wykazały, że tamtejszy granit był pierwszorzędnym materiałem do budowy dróg i występował w rozległych pokładach. Uzyskany na Wołyniu kamień był szeroko wykorzystywany w II RP podczas prowadzonych w miastach prac drogowych i brukarskich.

W Baranowiczach kostkę otrzymały tylko centralne ulice. Część ulicy Sowieckiej (byłej Szeptyckiego) nadal jest pokryta tym brukiem. Natomiast ulice Lenina (Mickiewicza) i Komsomolskaja (Narutowicza) mają obecnie pokrycie asfaltowe, a polską kostkę można tam czasem zobaczyć podczas prac drogowych.

Można długo dyskutować na temat jakości starych bruków. Faktem jest jednak to, że stare bruki przypominają dawne czasy oraz fach i rzemiosło, których dziś już nie ma. Istniejące fragmenty nie sprawiają już żadnych trudności ani kierowcom, ani przechodniom i muszą być zachowane dla następnych pokoleń.

DYMITR ZAGACKI



Arch. Julian Lisiecki. *Dom dla 4-ch rodzin w Brześciu n/B*

ARCHITEKT JULIAN LISIECKI

29 sierpnia 1921 roku w Brześciu nad Bugiem odbyło się uroczyste położenie kamienia węgielnego kolonii urzędniczej, która powstała dzięki staraniom wojewody poleskiego Walerego Romana oraz przy wsparciu ministra robót publicznych Gabriela Narutowicza – całkowicie ze środków publicznych.

Z okazji uroczystości z Warszawy przybył minister robót publicznych Gabriel Narutowicz, którego pod dźwięki hymnu narodowego, wykonanego przez orkiestrę ochotniczej straży pożarnej, witali na placu budowy przedstawiciele władz miejscowych, publiczność i harcerze.

Budowa kolonii urzędniczej zakładała wzniesienie 13 budynków mieszkalnych: po części drewnianych, po części kamiennych, postawionych na terenie przydzielonym na ten cel przez miasto – przy ulicy Unii Lubelskiej, między ulicą 3 Maja a aleją Mickiewicza.

W połowie 1924 roku praca wrzała, pełną parą szły prace architektoniczne i budżetowanie. Zostały zatwierdzone



Arch. Juljan Lisiecki. *Fragment kolonji im. Narutowicza w Brześciu n/B*

określone typy budynków mieszkalnych: ogółem liczono 33 typy – 8 drewnianych i 25 kamiennych. Domy te były przeznaczone dla starostów, natomiast dwu – i czteromieszkaniowe baraki dla policji itd.

Do prowadzonych robót zaangażowano 14 architektów zarówno warszawskich, jak i miejscowych. Celem było osiągnięcie harmonii pomiędzy nowymi budynkami a miejscową zabudową – ale takiej harmonii, która odpowiadałaby »»»



Arch. Julian Lisiecki. Dom dla dwóch rodzin w Brześciu n/B





najnowocześniejszym na tamten moment zasadom planowania urbanistycznego.

Przed budową nowych kolonii rozwiązywano problem z domami, których budowę rozpoczęto, ale nie skończono. Takich domów było około 42, a razem z nowymi ich było już około 240. Inżynier Aleksandr Porochnicki jako delegat Ministerstwa Robót Publicznych w Brześciu nad Bugiem przejął główne zarządzanie nad prowadzonymi pracami.

Autorem projektów niektórych budynków był warszawski architekt Julian Lisiecki (1881-1944) – absolwent Wydziału Architektury Politechniki w Karlsruhe (1904), członek SARP O. Warszawa (do 1939), inspektor Departamentu Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie, członek Koła Architektów w Warszawie, członek Zarządu Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości w Warszawie, sędzia konkursowy SARP, a także współzałożyciel miesięcznika «Architektura i Budownictwo».

Opracowując nowy projekt mieszkaniowy w Brześciu nad Bugiem, architekt Lisiecki zaproponował oryginalne rozwiązanie architektoniczne i planistyczne. Opierało się ono na powszechnie stosowanej wówczas koncepcji miasta-ogrodu.

Miasto-ogród dzieliło się na trzy trzęci, inaczej – kolonie. Największą była kolonia imienia pierwszego Prezydenta Polski Gabriela Narutowicza (właśnie tego, który uczestniczył w uroczystym położeniu kamienia węgielnego na początku budowy domów dla urzedników, będąc wówczas ministrem robót publicznych, a później ministrem spraw zagranicznych). Druga kolonia miała nazwę «Tartak» i została zaprojektowana na południe od kolonii Narutowicza. Te dwie kolonie były rodzielone zieloną strefą. Trzecia kolonia – «Schronisko» – znajdowała się na wąskim terytorium pomiędzy ul. Kasztanową a Parkiem im. 3 Maja.

Według koncepcji architekta te kwartały praktycznie ze wszystkich stron miały być otoczone parkami i skwerami.

Wszystkie trzy kolonie składały się z kamiennych i drewnianych domów mieszkalnych. W swoim projekcie Julian Lisiecki nawiązywał do tzw. «stylu narodowego». Jego charakterystycznymi cechami są wysokie dachy lub attyki, kolumnady i pilastry, portale i oryginalne obramowanie okien. Jest to w dużej mierze właściwe kamiennym budynkom typu dworków.



Ogólnie rzecz biorąc, w «stylu narodowym» Juliana Lisieckiego można prześledzić motywy renesansu, gotyku i baroku. W projektach brzeskich architekt, wykorzystując określone elementy i detale, posługując się w kompozycji fasad barokowymi tarczami i kolumnami, naśladując systemy przyporowe, improwizował z ogólną kubaturą budynku.

Układ wewnętrzny jest tradycyjny dla polskiego dworku szlacheckiego: na parterze znajduje się salon, gabinet, kuchnia i jadalnia oraz sypialnia na poddaszu.

Ponadto architekt Julian Lisiecki pracował nad konserwacją lub rewitalizacją różnych budynków w Twierdzy Brzeskiej. Według jego projektu została przebudowana Katedra Garnizonowa św. Mikołaja na Kościół Garnizonowy pw. św. Kazimierza, a także został odbudowany i zrewitalizowany były dom komendanta (Kolegium Jezuickie), w którym mieściły się sztab IX Okręgu Poleskiego, budynki kompleksu szpitalnego i wiele innych.

Talent architekta Juliana Lisieckiego ujawnił się nie tylko w Brześciu. Był również autorem m.in.: kościoła w Zatorach (1924-26); budynku Korpusu Ochrony Pogranicza w Mołodecznie (ok. 1925); szpitalu wojskowego im. J. Piłsudskiego (ul. Nowowiejska/ Aleja Niepodległości w Warszawie – 1936), którego współautorem był Janusz Krauss.

Julian Lisiecki był zwycięzcą wielu konkursów m.in.:

– na powiększenie gmachu Stowarzyszenia Techników przy ul. Włodzimierskiej w Warszawie (1912) – I nagroda;

– na projekt domu handlowego w Łodzi (1926) – współautor Witold Czeczott – II nagroda;

– na projekt Domu Ludowego w Łodzi (1926) – współautor W. Czeczott – IV nagroda równorzędna;

– na projekt szkicowy budynku



Zdjęcie architekta Juliana Lisieckiego, na którym został uchwycony w mundurze ze zwierzakiem. Dziś mamy możliwość zobaczyć tego wyjątkowego człowieka takim, jakim był w 1914 roku.



Kościół Św. Kazimierza w Twierdzy Brzeskiej

»»» mieszkalnego dla oficerów przy ul. Nowowiejskiej i Suchej w Warszawie (1932) – IV nagroda równorzędna;

– na projekt gmachu Urzędu Celnego w Gdyni (1934) – współautor J. Krauss – VI nagroda;

– na projekt Miejskiego Sanatorium dla płucnych chorych w Skotnikach pod Łodzią (1936) – współautor J. Krauss – II nagroda.

Julian Lisiecki zginął jesienią 1944 w czasie bombardowania lotniczego Żyrardowa.

Pomimo wielu zmian, kolonia Narutowicza, podobnie jak pozostałości po innych koloniach, nadal nie straciła swojego uroku i zachwyca oko zarówno mieszkańców Brześcia, jak i jego gości.

Zdjęcie Juliana Lisieckiego pojawiło się na portalu MyHeritage. Po raz pierwszy mogliśmy zobaczyć twarz tej wspaniałej i utalentowanej osoby.

OPRACOWAŁ
IWAN CZAJCZYC

LEGENDA SPORTU NA POLESIU



Mikołaj Drańko w studiu fotograficznym Matiasa Zabłudy. Brześć, 3 kwietnia 1927 roku.

Osoba, o której chce się opowiedzieć, była najwybitniejszą postacią wśród sportowców na Polesiu w okresie międzywojennej Polski. Osobą tą był sportowiec, trener i utalentowany kierownik – pedagog, kolarz Mikołaj Drańko. Człowiek, który na wieki pozostawił ślad w życiu sportowym Brześcia.

Mikołaj Drańko urodził się w Dawidgródku 9 marca 1908 roku. Od 16. roku życia zaczął brać udział w zawodach w składzie «Towarzystwa Kolarskiego i Sportowego» w Brześciu nad Bugiem. W 1929 roku dzięki zwycięstwu w wyścigu rowerowym na 100 km, który odbył się w województwie poleskim, został uczestnikiem II Biegu Dookoła Polski (4–8 sierpnia 1929 roku), zwanego później «Tour de Pologne». Całkowita długość wyścigu – 2250 kilometrów. «Tour de Pologne» ma swój początek w odległym 1928 roku i jest corocznym wielodniowym wyścigiem kolarskim po drogach Polski i jest jednym z wyścigów UCI World Tour. Warto powiedzieć, że zwycięzcą I Biegu Dookoła Polski, który odbył się w dniach 7-16 września 1928 roku, był Feliks Więcek (Bydgoski Klub Kolarski), który wygrał 6 etapów z 8. Swoją karierę w kolarstwie Feliks Więcek rozpoczął również w Brześciu.

W ciągu 10 lat, od 1929 do 1939 roku, Mikołaj Drańko wygrywał wszystkie kolarskie zawody sportowe w województwie poleskim. Swoim przykładem przygotowywał rosnącą zmianę sportowców-kolarzy. Kilkadziesiąt chłopców pedałowało, biorąc przykład ze swojego nauczyciela. Był to czas powszechnego zainteresowania sportem zarówno zawodowym, jak i amatorskim. W okresie międzywojennej Polski w Brześciu, a także w Pińsku i innych miastach i miasteczkach na Polesiu powstały liczne drużyny sportowe, sekcje, a nawet masowe związki sportowe i organizacje. W centrum województwa funkcjonował stadion, odbywały się liczne towarzyskie mecze piłki nożnej i siatkówki (w bitwach piłkarskich »»»



Mikołaj Drańko w koszulce z napisem «Brześć» na starcie, lata 30. XX wieku.



Mikołaj Drańko w koszulce z napisem «Brześć» wśród uczestników zawodów, lata 30. XX wieku.

»»» brało udział kilkanaście drużyn, a na mecze przybywały tysiące kibiców). Bardzo aktywnie rozwijało się wioślarstwo, w tym kajakarstwo.

Nieustannie trenując, w 1927 roku Mikołaj Drańko ukończył 6-miesięczny kurs na kierowcę samochodowego Garnizonu Brześć nad Bugiem. Od 15 sierpnia 1926 do 15 lutego 1927 odbył 6-miesięczną praktykę warsztatową w 9. Dyonie Samochodowym.

Od początku II wojny światowej, aż do jej końca Mikołaj Drańko pracował jako strażak w zespole straży pożarnej w Brześciu. Swoją przyszłość wiązał jednak tylko z kolarstwem. Od 1946 do 1952 był starszym trenerem reprezentacji BSSR w kolarstwie. W 1953 roku Mikołaj Drańko założył Szkołę w kolarstwie dla dzieci i młodzieży nr 2 i prowadził ją ponad 20 lat. Jego umiejętność znalezienia wspólnego języka z dziećmi i talent trenera pozwoliły pod jego bezpośrednim nadzorem przygotować ponad pięćdziesięciu uczniów, którzy zdobyli najwyższe nagrody w różnych mistrzostwach, a ponad dwieście wyróżniło się w zawodach narodowych. Dwukrotnie próbowano nominować Mikołaja Drańkę do tytułu «Zasłużony Trener ZSRR» – za każdym razem urzędnicy sportowi zwracali dokumenty z powodów danych osobistych zawartych we wniosku.

W czasach pielęgnowania przez niego stanowiska dyrektora szkoła prenumerowała pisma zarówno informujące o wewnętrznych wyścigach kolarskich np. «Sportowiec Białorusi» («Физкультурник Белоруссии»), jak i polski «Sportowiec» – już w latach 50. Mikołaj Drańko kierował uwagę swoich podopiecznych na prestiżowe międzynarodowe wyścigi kolarskie np. «Tour de Pologne», «Giro d'Italia», «Le Tour de France» itp.

Trener nie rezygnował z roweru nawet w życiu codziennym, nie akceptując transportu miejskiego. Osobiście brał udział w zawodach do pięćdziesięciu lat, a podczas treningów pedałował wraz ze swoimi uczniami prawie do starości.



Trener Mikołaj Drańko.

Podarował Szkole Sportowej w kolarstwie rzadkie rowery przedwojennych firm z Niemiec, USA, Anglii, Francji, Czech, z którymi brał udział w swoich licznych zwycięskich wyścigach, podpisując umowę z producentami. Do ostatniego dnia życia marzył o budowie wyścigu kolarskiego w Brześciu.

Zmarł Mikołaj Drańko 11 września 1986 r. w wieku 78 lat. Co roku w Brześciu odbywają się już tradycyjne, otwarte zawody narodowe w kolarstwie na pamiątkę pierwszego dyrektora, wspaniałego trenera i znakomitego sportowca Mikołaja Drańki.

IWAN CZAJCZYC

ODEZWA BISKUPÓW POLSKICH DO WIERNYCH

Drodzy Czytelnicy «Ech Polesia», w obecnym okresie przeżywamy radosny jubileusz 100-lecia odzyskania Niepodległości przez naszą Ojczyznę. W naszej historii jednak mamy sporo także dat tragicznych dla naszego narodu – pamiętamy też o nich. W roku bieżącym mija bowiem dokładnie 80 lat od roku 1939 – jak że dla nas fatalnego i brzemiennego w skutki!

Przeglądając prasę przedwojenną (nawet ostatnie sprzed wojny archiwalne numery różnych czasopism polskich), stwierdziliśmy ze zdumieniem, że treść wielu z nich w żadnym wypadku nie odpowiada realnej sytuacji politycznej, w jakiej okazała się Polska w roku 1939. Być może dbano wówczas o osłowioną «poprawność polityczną», być może za wszelką cenę starano się zachować spokój w społeczeństwie – nie możemy o tym wnioskować.

Ale z pewnym stopniem satysfakcji możemy stwierdzić, że Kościół Katolicki w Polsce, jego hierarchowie w obliczu zagrożenia zewnętrznego «nie chowały głowy w piasek», wręcz przeciwnie – wystosowali do Narodu Polskiego poniższy apel, treść którego zachowała się m.in. w obwodowym archiwum brzeskim.

Red.

Polska miłująca pokój stanęła przed koniecznością doraźnego uzupełnienia środków swej obrony. Wskutek załamania się prawa moralnego w stosunkach międzypaństwowych silna armia pozostała prawie jedyną rękojmią bezpieczeństwa granic, praw, niepodległości. Dozbrojenie wysunęło się na czoło naszych zadań państwowych.

Zarządzenie pogotowia obronności wstrząsnęło Rzecząpospolitą. Przeświadczenie o koniecznej ofierze ogarnęło obywateli. Koło zwycięskiej armii skupił się naród jak nigdy dotąd. Gdy w minionych wiekach nawet w ciężkich potrzebach skąpiono nieraz wojsku koniecznego wyposażenia, obecnie wszyscy śpieszą z ofiarą mienia, z groszem wdowim, z dziecięcą daniną, pańskim darem, z zapisem krwi, z wojennym podatkiem życia. Niezawodny patriotyzm przemówił akcentem bohaterstwa. W błękitach nadwiślańskich wzbił się władnie Orzeł Biały, zbrojny w moc i w gromy. Ludy uwierzyli w polskie mocarstwo.

W takiej to chwili my, wasi Biskupi, odzywamy się do was z dorocznej swej konferencji słowem, którego w doniosłych dniach naszego życia słusznie oczekujecie. Odezwa to krótka. Dyktuje nam ją obowiązek pasterski i głębokie obywatelskie poczucie.

Do zadań Rzeczypospolitej w obecnej chwili dziejowej powinniśmy ustosunkować z niezłomną wiarą w Opatrzność Bożą, ze spokojem, którego nas Chrystus uczy słowy: «Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary?» Wierzymy, że w planach i porachunkach Bożych żaden dobry uczynek nie przepada. Ani w losach człowieka, ani w dziejach ludów nie giną bez skutku służba Boża, cnota, ofiara szlachetna, uczciwa praca, dobra wola.

Otóż w odrodzonej Polsce, mimo ludzkich błędów i grzechów, wielbiliśmy i czciliśmy Boga i chcemy Mu

coraz wierniej służyć. Odparliśmy bezbożniczy komunizm od granic Rzeczypospolitej i nie pozwoliliśmy, by się w polskim życiu pod błędnymi hasłami kultury niechrześcijańskiej zagnieździł. Wyrastamy z bezbożnictwa, wolnomyślicielstwa, pozytywizmu. Leczymy się starannie z laicyzmu, materializmu, obojętności religijnej. Bronimy się skutecznie przed sąsiedzkim neopogaństwem, mimo że się do nas zakradało w owczej skórze słowiańskich podań i obrzędów. Coraz jawniej, coraz oficjalniej, coraz szczerzej opieramy życie polskie na zasadach chrześcijańskich i na Bożym prawie. Duchem Chrystusowym krzepimy się na wewnętrzny wzrost i powodzenie, a na zewnątrz nie hołdujemy zasadom gwałtu i przemocy, nie czyhamy na bezbronnych sąsiadów, wyznajemy hasło braterskiej współpracy ludów, chcemy promieniować naokoło siebie nie błyskawicami najazdu, lecz światłami kultury chrześcijańskiej.

Jesteśmy pewni, że tak postępując, nie sprzeniewierzamy się swemu powołaniu, owszem współpracujemy z Opatrznością i urzeczywistniamy swe posłannictwo. Ufamy, że Bóg policzy nam tę dobrą wolę, ten wysiłek o Jego chwałę, ten trud o Jego Królestwo, tę troskę o dobro moralne, tę walkę ze złym. Nie wątpimy, że ta Opatrzność, której zawierzyliśmy się przy zmartwychwstaniu Ojczyzny, kiedyśmy ślubowaniem uroczystym postanowili wznieść Jej pomnikową świątynię w stolicy, natchnie nas myślą czynów wielkich, bohaterskich, świętych, i wesprze nas, skoro we własnym życiu i w życiu narodów torujemy drogę prawdzie Bożej i prawu moralnemu.

Z tej moralnej podbudowy naszego patriotyzmu wypływa powaga naszej postawy praktycznej. W obliczu gróźb wojennych zachowajmy spokój, rozwagę, godność. Jesteśmy czujni i gotowi na wszystko i dlatego nie poddamy się panice, plotkom, prowokacjom. Zdwoimy sumienność i wytrwałość w powinnościach swego zawodu, a zarazem bez ociągania się spełnimy każdą służbę obywatelską.

Współdziałać będziemy z zapałem z władzami państwowymi w wykonywaniu rozporządzeń, przygotowujących życie kraju na możliwości wojenne ku obronie Ojczyzny i wiary, dla ratowania swobód religijnych i sumienia, dla wolności ducha i życia narodowego dozbroimy armię i wyposażymy ją w skrzydła potężne. Wiarą, entuzjazmem patriotycznym, szlachetną wolą zgody podsycać będziemy znicz miłości Ojczyzny, iżby rozgorzał płomieniem niebotycznym jako hołd nasz modlitewny ku Bogu, jako krzyż wyrastający z serc, jako wołanie Polski o pokój ludów, jako słup ognisty przed narodem, dla obcych zaś jako godło przyjaźni, ale zarazem w razie potrzeby jako znak stanowczej przestrogi.

W tym duchu pojednania, ale i nieustępliwej obronności łączymy się całym sercem ze wspaniałymi odezwami pokoju i sprawiedliwości Ojca św. Piusa XII. Opatrzność wyznaczyła Go na anioła pokoju, na Papieża pojednania, na apostoła zgody. Polska pragnąca być trwałym czynnikiem równowagi i pokoju, a powołana do spełnienia roli godzenia ludów, będzie popierała szlachetne inicjatywy «Pasterza Anielskiego» czynem i modlitwą.

Dla uproszenia Rzeczypospolitej opieki Bożej, a narodom pokoju, zarządzamy w myśl intencji Ojca św., co następuje:

1. Przez nadchodzący miesiąc Maj należy ze szczególniejszą gorliwością odprawiać we wszystkich kościołach za pomyślność Rzeczypospolitej i pokój świata nabożeństwa majowe, podczas których rozbrzmiewać będą suplikacje. Każde nabożeństwo zakończy się śpiewem «Boże coś Polskę». »»»

»»» 2. Niech wierni starają się pogłębić w tym okresie życie religijne, przystępując częściej do Sakramentów świętych i pełniąc uczynki miłosierne.

3. Bractwa, sodalicje i organizacje katolickie niech zdwoją swą gorliwość apostolską i niech urządzą w Maju wspólne Komunie święte.

4. Do was przede wszystkim, drogie dzieci polskie, zwracamy się z wezwaniem, byście poszły za głosem Ojca świętego i codziennie brały udział w nabożeństwie majowem, ofiarując swe modlitwy i dobre uczynki za pomyślność Państwa Polskiego i o zgodę wśród narodów.

5. Ze szczególnym zapałem i uroczystością należy obchodzić w bieżącym roku uroczystość Najświętszej Maryi Panny Królowej Korony Polskiej.

«Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa z wami».

Warszawa, dnia 26 kwietnia 1939 r.

August Kardynał Hlond. Arcybiskup Andrzej Szeptycki, Arcybiskup Bolesław Twardowski, Arcybiskup Adam Sapieha, Arcybiskup Romuald Jałbrzykowski, Arcybiskup Antoni Julian Morawiecki, Arcybiskup Stanisław Gall, Biskup Grzegorz Chomyszyn, Biskup Jozafat Kocyłowski, Biskup Marian Leon Fulman, Biskup Henryk Przeździecki, Biskup Adolf Szelążek, Biskup Stanisław Łukomski, Biskup Stanisław Okoniewski, Biskup Teodor Kubina, Biskup Karol Radoński, Biskup Włodzimierz Jasiński, Biskup Franciszek Lisowski, Biskup Stanisław Adamski, Biskup Franciszek Barda, Biskup Józef Gawlina, Biskup Jan Lorek, Biskup Czesław Kaczmarek, Ks. Administrator Apostolski Jakub Medwecki, Ks. Wikariusz Kapituły Dionizy Kajetanowicz.

------------- - . - ---------- -

KURIA DIECEZJALNA PIŃSKA Pińsk, dn. 29 kwietnia 1939 r.
L. 1473/39.

Powyższe Orędzie WW. Księża Proboszczowie i Rektorowie kościołów odczytają Wiernym w dni 3 i 7 Maja oraz ściśle zastosują się do wskazań, zawartych w Orędziu.





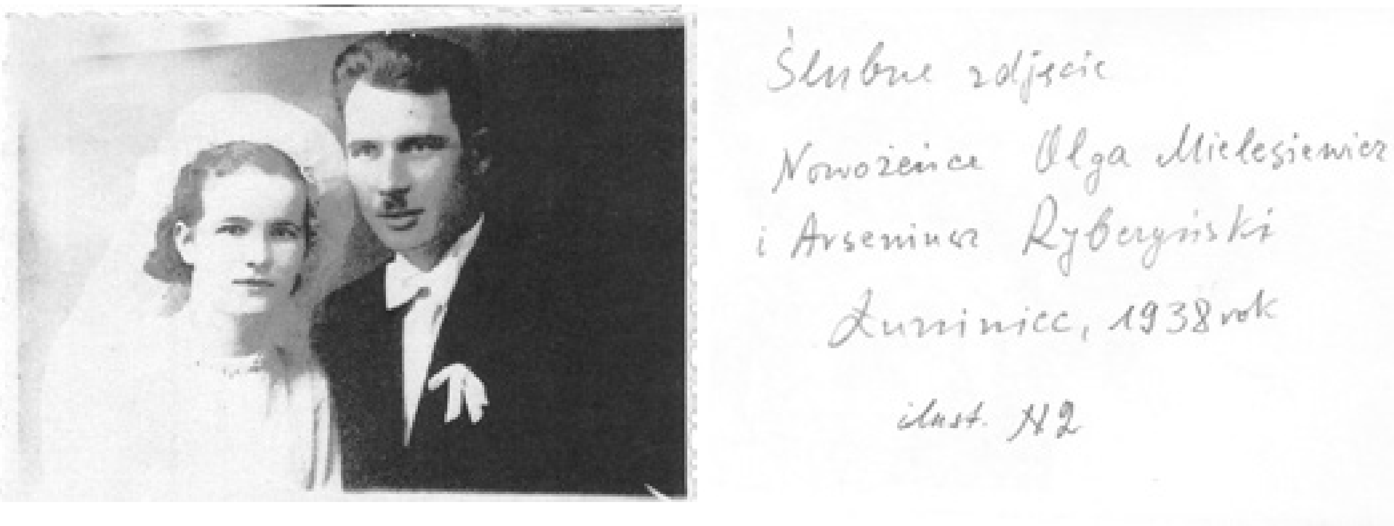




LISTY Z GUŁAGU

Posiadam około 150 starych listów. Pożółkłych i wyblakłych ze starości, poplamionych, napisanych ołówkiem na grubym papierze. Są to listy ze stalinowskiego Gułagu mojego wuja Arseniusza Rybczyńskiego, którego aresztowano w 1946 roku w Łunińcu i skazano na 10 lat łagrów, – jego «więzienna odyseja». To także historia oporu wobec NKWD-MGB, milicji, służby więziennej jego rodziny oraz rodziny mojej Mamy. Takich rodzin w tamtych czasach w ZSRR było bardzo dużo i każda z nich miała własną «odyseję».

Ojciec wuja Adam Rybczyński pochodził z zubożałej szlachty i przez całe życie pracował na kolei poleskiej. Arseniusz po ukończeniu szkoły w Łunińcu także został kolejarzem. W latach 30. służył w Wojsku Polskim, w orkiestrze 84. Pułku Strzelców Poleskich, brał także udział w występach orkiestry młodzieżowej oraz orkiestry dętej kolejarzy. W 1938 roku ożenił się i powrócił do pracy na kolei. Uczestniczył w kampanii wrześniowej. Aresztowania i wywózki na Syberię w latach 1939-1941 jakoś ominęły rodzinę Rybczyńskich. Podczas okupacji niemieckiej pracował jako urzędnik w łuninieckim magistracie w wydziale mieszkaniowym. Po wkroczeniu do Łunińca wojsk radzieckich w lipcu 1944 roku został zmobilizowany do wojska, a gdy powrócił do domu po wojnie, swojej rodziny już nie zastał, ponieważ w międzyczasie krewni wyjechali do Polski. Arseniusz natychmiast rozpoczął starania o dokumenty na wyjazd do rodziny, lecz nic nie wiedział o tym, że już był śledzony przez organy ścigania i przeciw niemu wszczęto sprawę karną na podstawie donosu fałszywych świadków. Aresztowano go podczas wysiadania z pociągu w Baranowiczach, dokąd udał się w odwiedziny do krewnych, i po niejawnej rozprawie sądowej został skazany wg. słynnego paragrafu 58. »»»

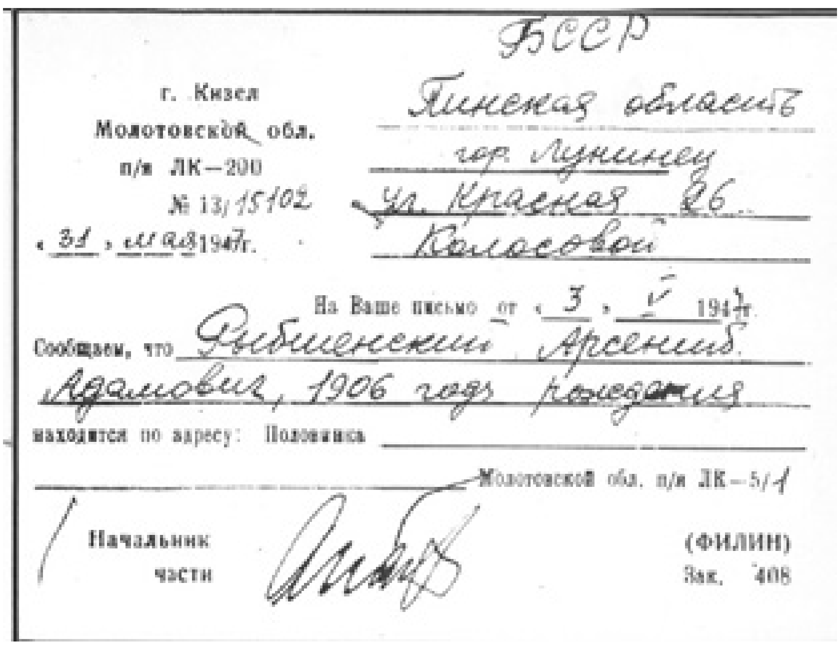



БССР
Пинская
об. гор. Луни-
нец ул. Красная
№ 26 пол. Колосовой
Антонине Адамовной
отпр. Молотовская об. ст. Поло-
винка п/я 5. Л. К1 Рыбчинский Ар-
сений Адамович —

»»» *Kodeksu Karnego na 10 lat łagrów – «za współpracę z okupantem i zdradę ojczyzny» (w tamte powojenne lata takich wyroków wydawano dużo: powrócił z wojska Andersa – 10 lat, nie wstąpił do wojska Berlinga – 10 lat, poszedł nie do partyzantki a do pracy, by wyżywić rodzinę – 10 lat itd.).*
Nikt z bliskich nic o tym nie wiedział. Pierwszą listowną wiadomość od wuja, którą dostarczyła nam nieznajoma kobieta, otrzymaliśmy z Orszy. W tym liście, napisanym po polsku, z 24 kwietnia 1946 roku informował: «[...] Donoszę Wam, że jestem zdrów i obecnie znajduje się w Orszy. Mnie już osądzono na 10 lat, tylko proszę się tym nie przejmować, jakoś się obejdzie...». Martwił się o los swojego synka i żony oraz prosił nas przekazać od niego ukłony kilku mieszkańcom Łunińca: Annie Chrebtowicz, Gonczarku, Jasieniukowi i Jemeljanowi Saniukowiczowi. Zdziwiło nas to, ponieważ nie znaliśmy tych ludzi i dopiero później, po kolejnych kilku listach od wuja zrozumieliśmy, że w ten sposób wskazał nam osoby, na podstawie donosów i fałszywych zeznań których został osądzony. Nie wiem, czy cenzor ze służby więziennej umiał czytać po polsku, jednak list ten swoją pieczątką ostemplował.
W maju 1946 roku A.Rybczyńskiego przewieziono do obwodu archangielskiego i osadzono w łagrze «ЛК п\я 233» na st. Jercowo. Pierwszy list do Łunińca stąd został napisany przez wuja 4 lipca 1946 roku, natomiast data stempla pocztowego – 27.07.1946 r., co oznacza, że list przebywał w obozie i przez 23 dni czekał

na ocenzurowanie (o czym świadczy także stempelek więziennego cenzora).
W jednym z listów wuj zakomunikował nam, że już skończył się okres kwarantanny i można przesyłać do niego paczki żywnościowe, co niezwłocznie, mimo panującego niedostatku, uczyniliśmy. Wysłaliśmy pocztą również przekaz pieniężny na 100 rubli. Niestety nie było nam wiadomo, iż w tym samym czasie przewieziono wuja jeszcze dalej. Dowiedzieliśmy o tym w odpowiedzi na wystosowane przez nas do naczelnika łagru zapytanie z powodu braku potwierdzenia dostarczenia przesyłek. Po jakimś czasie wysłana paczka żywnościowa powróciła do Łunińca razem z ciekawym dokumentem – protokołem z dn. 12 grudnia 1946 r. o otwarciu paczki i opisie jej zawartości. Natomiast z odpowiedzi na zapytanie o los wysłanych 100 rubli dowiedzieliśmy się, że: «...Wasz brat Rybczyński A.A. obecnie znajduje się pod adresem – st. Połowinka Piermskiej Kolei. W dniu 14 stycznia 1947 r. 100 rubli jemu wysłano».
W tamtym czasie był to obwód mołotowski na Uralu, a st. Połowinka była dobrze już znana wielu skazańcom, bowiem obóz więzienny istniał tam już od lat 30.
Tak więc kolejne 8 lat życia wuj A.Rybczyński spędził w łagrze na st. Połowinka. Życie więzienne było i głodne, i ciężkie, ale w listach wuj nigdy na nic się nie skarżył, tylko że listy te były smutne i pełne tęsknoty za domem i bliskimi. W bardzo głodne lata 1947-1949 zachorował na zapalenie płuc i był w szpitalu, wówczas poprosił o nadzwyczajną paczkę żywnościową, zastrzegając, że jeśli nam jest ciężko, to wystarczy, że będzie zawierała same suchary z czarnego chleba; prosił też przechować dla synka jego skrzypce. Zawsze prosił o tytoń, bowiem była to w łagrach swoista «waluta», na którą można było też wszystko wymienić – dlatego na tytoń w domowym ogródku w Łunińcu mieliśmy specjalnie wydzielone dwie grządki. Zwyczajnie jednak po dotarciu do adresata zawartość paczek po «ocenzurowaniu» zmniejszała się dwukrotnie: zamiast 10 główek czosnku zostawało 5, a zamiast 5 – 2, zamiast czterech szklanek tytoniu – dwie itd.
Listy do krewnych we wszystkich łagrach dozwolono było pisać dwa razy na »»»



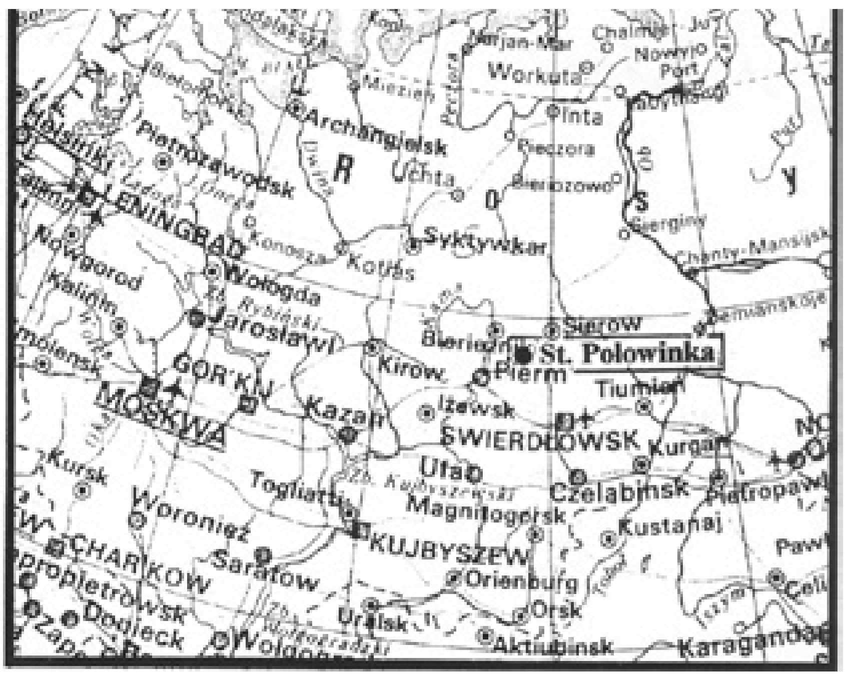

БССР

г. Кизел
Молотовской обл.
п/я ЛК—200
№ 13/15102
«31» мая 1947 г.

Пинская область
гор. Лунинец
ул. Красная 26.
Колосовой

На Ваше письмо от «3» V 1947 г.
Сообщаем, что Рыбиенский Арсений Адамович, 1906 года рождения
находится по адресу: Половинка Молотовской обл. п/я ЛК—5/1

Начальник части (ФИЛИН)
Зак. 408





[redacted]

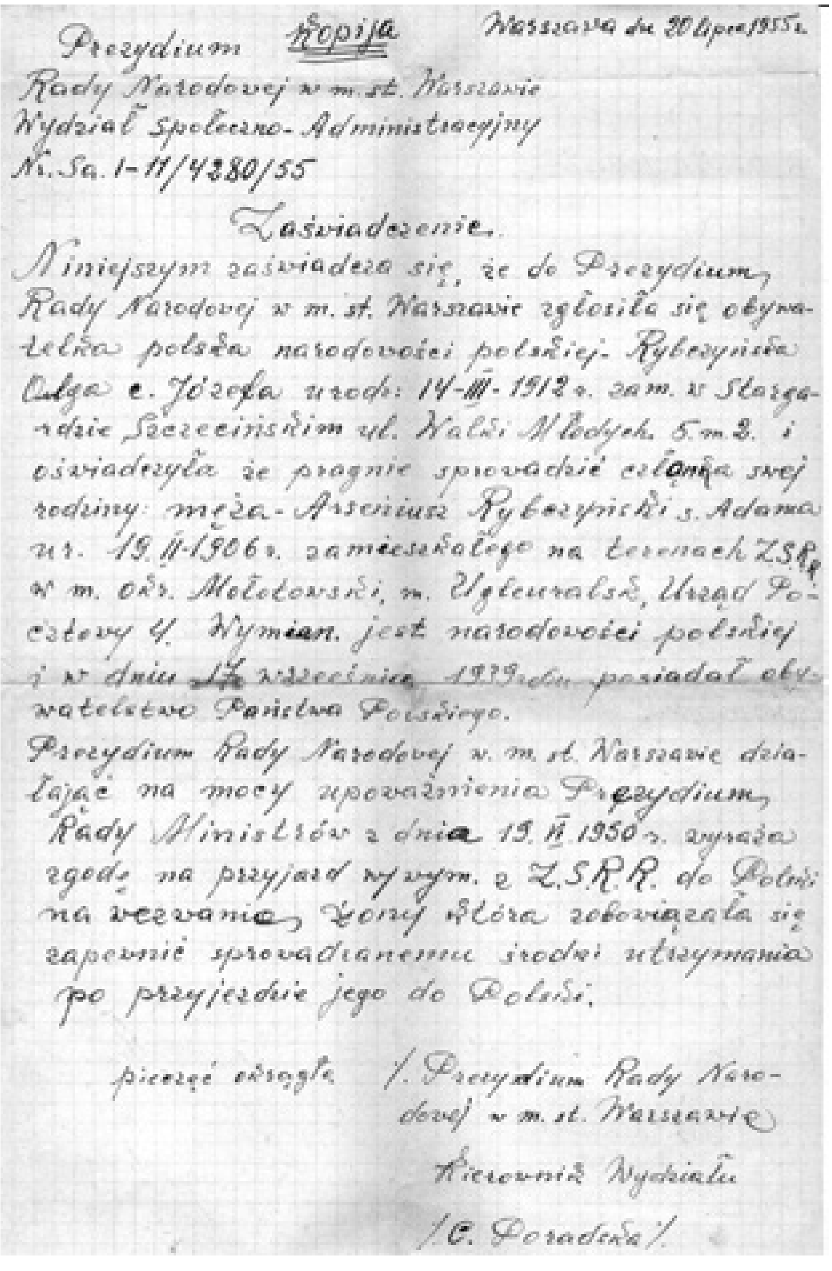
напиши мне о себе как ты живешь и как твое здоровье

до свидания целую вас всех крепко ваш брат

Арсений

Пинская обл.

Досвиданья



Kopija

Warszawa dn. 20 lipca 1955 r.

Prezydium Rady Narodowej w m. st. Warszawie
Wydział Społeczno-Administracyjny
N. Sa. 1-11/4380/55

Zaświadczenie.

Niniejszym zaświadcza się, że do Prezydium Rady Narodowej w m. st. Warszawie zgłosiła się obywatelka polska narodowości polskiej – Rybczyńska Olga c. Józefa urodz: 14-III-1912 r. zam. w Stargardzie Szczecińskim ul. Walki Młodych 5 m. 2. i oświadczyła że pragnie sprowadzić członka swej rodziny: męża – Arseniusz Rybczyński s. Adama ur. 19.II-1906 r. zamieszkałego na terenach Z.S.R.R. w m. okr. Mołotowski, m. Ugleuralsk, Urząd Pocztowy 4. Wymien. jest narodowości polskiej i w dniu 17 września 1939 r. posiadał obywatelstwo Państwa Polskiego.

Prezydium Rady Narodowej w m. st. Warszawie działając na mocy upoważnienia Prezydium Rady Ministrów z dnia 19. II. 1950 r. wyraża zgodę na przyjazd wymien. z Z.S.R.R. do Polski na wezwanie żony która zobowiązała się zapewnić sprowadzanemu środki utrzymania po przyjeździe jego do Polski.

pieczęć okrągła

/. Prezydium Rady Narodowej w m. st. Warszawie

Kierownik Wydziału

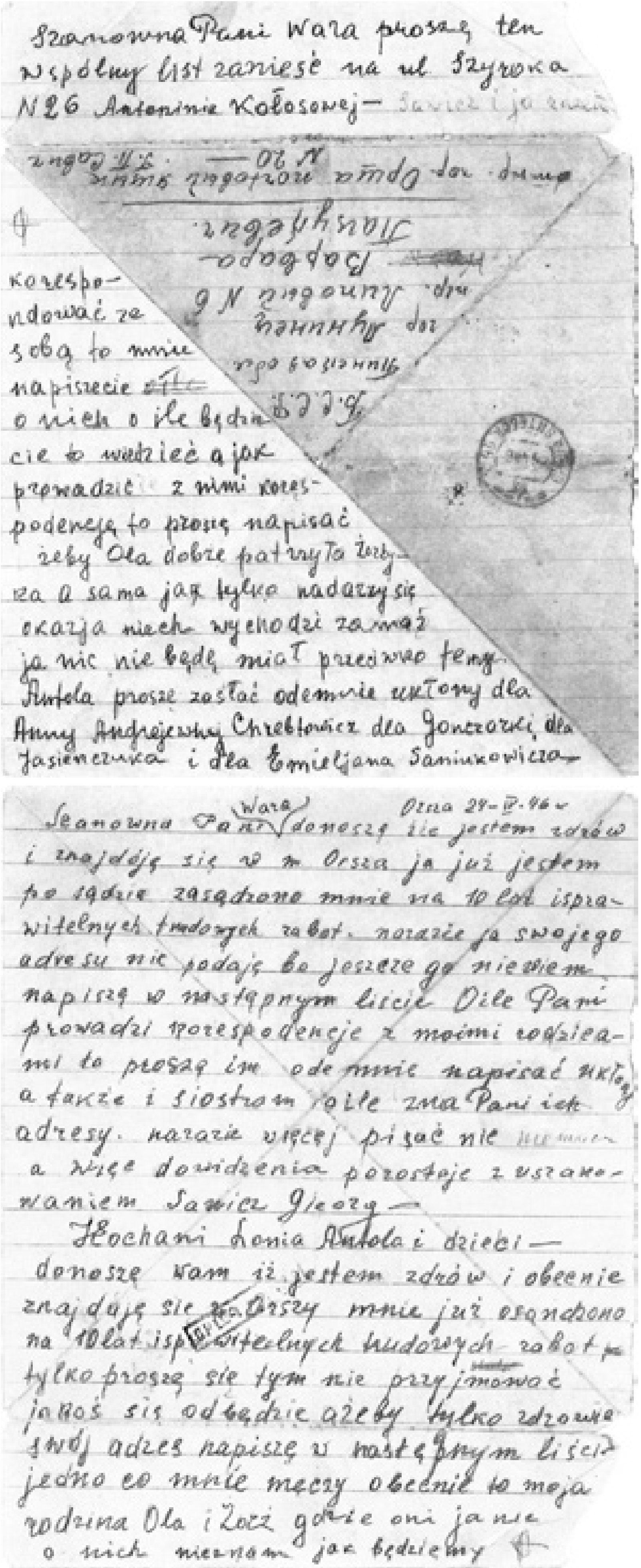
/C. Poradecka/.

»»» miesiąc. W Połowince A.Rybczyński miał możliwość robić to częściej, ponieważ był dobrym muzykiem i grał w orkiestrze więziennej, a «naczalstwo» więzienne to bardzo doceniało, ponieważ lubili się popisać własną orkiestrą przed swoimi towarzyszami.

Na dwa lata przed zakończeniem wyroku w maju 1954 roku A.Rybczyńskiego przewieziono do kolejnego łagru «ЛК п\я 885» w miejscowości Ugleuralsk, w którym zgrupowano tych więźniów, wyroki których już zbliżali się do końca. Po odbyciu terminu został zwolniony z więzienia w Ugleuralsku, ale jeszcze przez okres jednego roku nie miał prawa opuścić tę miejscowość.

W dniu 17 września 1955 roku została ogłoszona amnestia i dotychczasowy więzień Arseniusz Rabczyński powrócił do Łunińca. Natychmiast zaczął się starać o wyjazd do rodziny do Polski i w końcu to się udało. Jego więzienna «odyseja» zakończyła się. Pozostał jednak ból doznany przez niesprawiedliwy wyrok sowieckiego sądu. Przeżyć więzienne lata pomagała mu wiara w Pana Boga (przez cały okres więzienia nie rozstawał się z małym srebrnym krzyżykiem) i w to, że zobaczy jeszcze swojego syna i żonę, oraz muzyka. O tych więziennych latach prawie nie mówił, nawet swoich więziennych listów nie zabrał ze sobą do Polski, choć kiedyś wspominał, że chciałby ich pokazać synowi. Po śmierci Mamy te listy zabrałem do swojego rodzinnego archiwum. Zgodnie z daną kiedyś Mamie obietnicą, napisałem z punktu widzenia filatelisty kilka artykułów o zasadach prowadzenia korespondencji w łagrach, o cenzurze więziennej – ukazały się one w pierwszej dekadzie XXI wieku w polskim czasopiśmie «Historyczno-badawczy biuletyn filatelistyczny» i w rosyjskim «Filatelia». Swoją obietnicę spełniłem. Natomiast moim pragnieniem jest, opowiadając o «więziennej odysei» mojego wuja A.Rybczyńskiego, oddać hołd setkom tysięcy, milionom ludzi – obywatelom byłego ZSRR, którzy przez totalitarny system zostali niesprawiedliwie skazani na lata katorgi w stalinowskim Gułagu, szczególnie zaś tym, którzy w bezimiennych mogiłach zostali tam na zawsze.

LEON KOŁOSOW-RYBCZYŃSKI, Mińsk


Szanowna Pani Wara proszę ten wspólny list zaniesć na ul. Szyroka N26 Antoninie Kołosowej —

korespondować ze sobą to mnie napiszecie o nich o ile będziecie to wiedzieć a jak prowadzić z nimi korespodencję to proszę napisać żeby Ola dobrze patrzyła Żorżyka a sama jak tylko nadarzy się okazja niech wychodzi za mąż ja nic nie będę miał przeciwko temu. Antola proszę zostać odemnie ukłony dla Anny Andrejewny Chrebtowicz dla Gonczarski, dla Jasienczuka i dla Emieljana Saniukowicza

Orsza 24-V-46 r.

Szanowna Pani Wara donoszę sie jestem zdrów i znajduję się w m. Orsza ja już jestem po sądzie zasądzono mnie na 10 lat isprawitelnych trudowych rabot. narazie ja swojego adresu nie podaję bo jeszcze go niewiem napiszę w następnym liście. Oile Pani prowadzi korespodencje z moimi rodziecami to proszę im ode mnie napisać ukłony a także i siostrom o ile zna Pani ich adresy. narazie więcej pisać nie a więc dowidzenia pozostaje z uszanowaniem Sawicz Jerzy —

Kochani Lonia Antola i dzieci — donoszę wam iż jestem zdrów i obecnie znajduję sie w Orszy mnie już osądzono na 10 lat isprawitelnych trudowych rabot tylko proszę sie tym nie przyjmować jakoś się odbędzie ażeby tylko zdrowie swój adres napiszę w następnym liście jedno co mnie męczy obecnie to moja rodzina Ola i Żorż gdzie oni ja nie o nich nieznam jak będziemy

Lublin, 20.05.2019 r.

Szanowna Pani Redaktor,

Jestem stałym czytelnikiem świetnie redagowanego kwartalnika. Proszę przyjąć gratulacje.

Kilka zdań o mnie. Urodziłem się na Polesiu w r. 1931 w miejscowości Strygiń w powiecie Bereza Kartuska. Ojciec mój Wincenty Michałowski był leśniczym i oficerem rezerwy Wojska Polskiego. Mama Helena z domu Mostyka była narodowości białoruskiej obywatelstwa polskiego. Zmarła na gorączkę popołogową dwa tygodnie po moim urodzeniu.

We wrześniu 1939 roku wraz z ojcem, stryjecznym bratem i gospodynią z małym dzieckiem opuściliśmy leśniczówkę i pieszo po 2-3 dniach przekroczyliśmy w Brześciu rzekę Bug docierając następnie do Lublina. Ojciec zatrudnił się w miejscowości Szałas jako leśniczy i 8 kwietnia 1940 roku został przez Niemców rozstrzelany za kontakty z Oddziałem Wojska Polskiego pod dowództwem majora Henryka Dobrzeńskiego ps. «Hubal».

Od lat staram się uzyskać jakiekolwiek informacje o miejscowości, z której uszliśmy w pierwszych dniach wojny. Niestety wszystkie dokumenty dot. zatrudnienia leśników zostały przez władze radzieckie przejęte. Będę wdzięczny za pomoc.

Serdecznie pozdrawiam. Z poważaniem,
Dr hab. Czesław Michałowski
Profesor nadzw. Akademii Rolniczej w Lublinie

NA BRZEGACH «MORZA»

Po raz pierwszy 2500 lat temu nasze Polesie trafiło do historii. Otóż grecki historyk Herodot wymienił plemię Newrów, które wielu naukowców utożsamia z kulturą miłogrodzką początku epoki żelaza, a która obejmowała terytorium na wschód od Pińska. Historyk wykonał opisy przyrody znajdującej się na północ od plemion Scytów, czym zainteresował wielu badaczy dawnych dziejów.

Herodot jeden z takich obszarów opisuje w następujący sposób: «Cała ich ziemia jest pokryta gęstymi lasami różnego ga-tunku. Wśród gęstwiny leśnej znajduje się olbrzymie jezioro otoczone bagnami i zaroślami trzciny. W tym jeziorze łowią wydrę, bobry i inne zwierzęta z czworokątną mordą...»

Od tego czasu wielu badaczy próbowało rozszyfrować notatki historyka i zlokalizować plemiona Hewrów i Budynów oraz jezioro, które umownie nazwano «Morzem» Herodota. Jednak ta kwestia pozostawała nadal otwartą. Otóż i ja, jako mieszkaniec Polesia i krajoznawca zdecydowałem się rozpoznać w tym zagadnieniu, lecz w rozszerzonej formie. Na podstawie badań archeologicznych, topograficznych, grunto – wo-geologicznych, materiałów i archiwaliów oraz penetracji terytorium przypuszczalnego «morza» starałem się ustalić położenie tego tajemniczego obszaru wodnego, tym bardziej, że wielu badaczy łączy to «morze»

z Polesiem. Znając topografię Polesia, określałem położenie «morza» w rejonie Jezior Sporowskich i Jeziora Wygonowskiego, gdzie obecnie znajdują się największe obszary bagienne Polesia.

Trudno stwierdzać, że to było morze w dosłownym znaczeniu, jednak należy mówić o dużych obszarach wodnych w re-gionie poleskim z tamtych czasów. Wątpię, aby to były bagna pińskie, z czym zgadza się szereg badaczy. Obejmują one tereny zalewowe rzek: Stochoda, Prypeć, Pina, Jasiełda i Styr, których wody powodziowe spływają Prypecią do Dniepru bez tworzenia długotrwałych zatopień. Co innego półzamknięte obszary działu wodnego znajdującego się na obrzeżach Przedpo – lesia, gdzie był i jest potężny zasób wód gruntowych, które razem z opadami atmosferycznymi zatrzymują się na dłuższy okres w depresjach reliefu.

Na mapie Probsta z 1753 roku, która faktycznie została skopiowana ze starszej mapy Radziwiłła, jest widoczna strefa tego przedpoleskiego wyklinowania wód gruntowych. Tym warunkom odpowiada strefa wspomnianych okolic jezior.

Analiza materiałów wykazała, że formowanie się jeziorno-bagiennych terenów w tych miejscach zaczęło się we wczesnym halocenie w miejscu suchych dolin rozlokowanych w zagłębieniach terenu. A to jest właśnie północny skraj Polesia. Procesy formowania się jezior odbywały się ze zmiennym powodzeniem, gdyż warunki klimatyczne zmieniały się gwałtownie. Szczególne nasilenie tych zmian nastąpiło w okresie od 5500 do 500 r. p.n.e. Okres suchy przypada na drugie tysiąclecie p.n.e., gdy wyschły bagna, zaś lasy przesunęły się na północ. Klimat w 6-5 w. p.n.e. zaczął ulegać ochłodzeniu i wzrostowi wilgotności, przez co wzrósł poziom wody w jeziorach całej Europy.

Do wieku VII p.n.e. przyczarnomorskie stepy były zaludniane przez plemiona irańskie Scytów i Gelonów, które w V wieku zaczęły dostarczać Grekom zboże. A to są właśnie czasy Herodota, a stąd i znajomość przez niego ziem przyczarnomorskich jak i rozmieszczonych bardziej na północ od terenów Scytów.

Co mogło oznaczać wówczas to «morze»? Obecnie ono jest zajęte zatorfowaną niziną. Należy uwzględnić fakt, że torf w ciągu roku narasta 1 mm. A więc tam, gdzie jego głębokość wynosiła 1 metr, 1000 lat temu była woda. Analiza gruntowej i geologicznej

HERODOTA

Nad rzeką Lwą



charakterystyki dna «morza» na powierzchni 28.000 ha wykazała, że płytkie torfowisko głębokością mniej niż jeden metr zajmuje 36% wskazanej powierzchni, zaś głębokością więcej niż lm. – 37%, ziemie mineralne – 27%, przy czym te ostatnie są rozmieszczone głównie na wzniesieniach i płytkich pagórkach. Dominuje torf trzcinowy. Wiadomo, że pierwszymi osadami na głębokości mniej niż 1,5 m. z dużych roślin wodnych w jeziorach jest trzcina, co dodatkowo potwierdza silne na-wodnienie tego terenu 2500 lat temu.

W budowie geologicznej i formowaniu reliefu znaczną rolę odegrało zlodowacenie dnieprowskie o sożskie, które pozostawiło po sobie piaszczyste i gliniaste gatunki gleby

0 grubości do 185 cm, przy czym formy nadbrzeżne wzniosły się nad doliną na wysokość 4-6 m., a wysp wśród bagien – średnio na 1-2 m. Można zatem dosyć łatwo przedstawić wygląd płytkiego obszaru ze ścianą trzciny, mnóstwem drobnych wysp porośniętych lasem, chmurami ptactwa wodnego, ławicami ryb. Była to zatem idealna kryjówka z obfitym pożywieniem dla starożytnego człowieka. Ludzie ówcześni wiele czasu spędzali na łodziach, o czym świadczą znaleziska dużych ilości cieślic do dłubania łodzi obok wsi Opól. Spoglądając na mapę archeologiczną neolitu

1 epoki brązu, widzimy dosyć liczne osiedla na brzegach tego morza. Na nie nałożyły się stanowiska, dawne osady i grodziska wczesnej epoki żelaza, tj. czasy Herodota.

Najnowsze badania archeologiczne wykazują, że jeszcze w neolicie brzegi tego morza były zaludnione przez plemiona kultury niomańskiej, a potem kultury łużyckiej, tszy – neckiej, ceramiki sznurowej. Najważniejsze zabytki neolitu zostały znalezione w Bobrowiczach, Opolu, Motolu, Nowym Dworze, Kamieniu i Kokorycy. Później na tych ziemiach zjawili się nosiciele kultur epoki żelaza: z zachodu – wschodnio-przymorska, z północy – ceramiki kreskowej i z południowego wschodu – miłogradzka. Przedstawicieli tej ostatniej akademik B. A. Rybaków utożsamia z Newrami Herodota. Naturalnie, w tych cza-sach nie było wyraźnych granic zasiedlenia plemion. I tak na przykład w Kamieniu rejonu pińskiego znajdują się stanowiska zarówno kultury miłogrodzkiej jak i przymorskiej, zaś na terenach, które były zajęte przez Pomorców w dorzeczu rzeki Narew znajdują się zabytki kultury miłogrodzkiej.

Herodot pisze, że bardziej na północ od Newrów ziemia jest bezludna, co »»»

»»» również można wytłumaczyć. Jeszcze nie było szlaku «od Waregów do Greków». Ludzie przenosili się na małe odległości. Do tego plemiona żyjące bardziej na północ od Polesia, żyły na brzegach rzek i jezior, które ciążyły do dorzecza Morza Bałtyckiego i ich kontakty z greckim Przyczarnomorzem były bardzo słabe, o ile w ogóle istniały. Ponadto należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden wniosek naukowców Instytutu Historii Narodowej Akademii Nauk Białorusi. Otóż w tych odległych czasach neolitu już istniał podział opisywanego terenu na część zachodnią i wschodnią, a którego granice ciągnęły się z północnego wschodu na południowy zachód po zabagnionych obszarach międzyrzecza rzek Bobryk, Łań i Styr. Podział ten zaczyna się od mezolitu, gdy zjawili się pierwsi ludzie, co występowało również później.

Przymorska kultura na terytorium Białorusi jest jeszcze słabo zbadana, podobnie jak i przynależność plemion. Jedni naukowcy mówią o ich bałtyckim pochodzeniu, inni o wschodniogermańskim. Istnieje także hipoteza o ich słowiańskim pochodzeniu. W rozkopanych cmentarzyskach nie znaleziono narzędzi pracy, dlatego trudno wskazać na ich zajęcia. Przypuszcza się, że podstawą gospodarki była pługowa uprawa roli i hodowla zwierząt. Uprawiano pszenicę, proso, groch i żyto. Hodowano owce i konie.

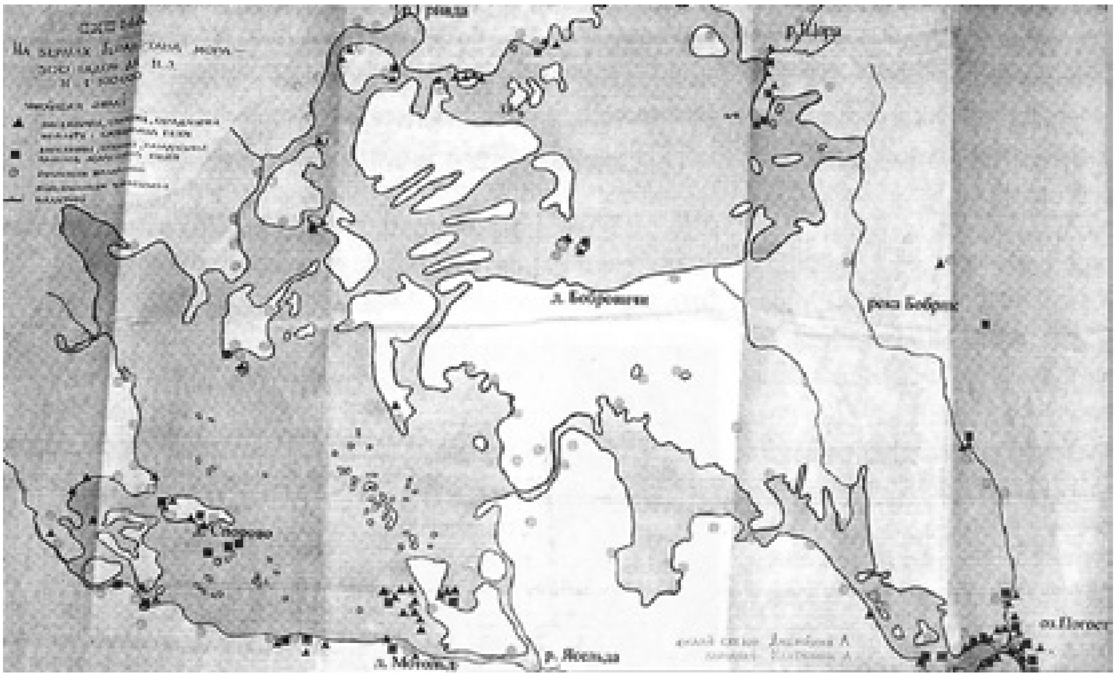
Kultura ceramiki kreskowej dochodziła na północy do górnego biegu dopływów Prypeci. Ludzie tej kultury żyli głównie w grodziskach rozlokowanych w zabezpieczonych miejscach, przylądkach, osobnych pagórkach. Były im potrzebne tereny zalewowe dla wypasu zwierząt oraz zbiorniki wodne obfite w ryby. Na terenie grodzisk znaleziono dużą ilość narzędzi pracy z kamienia, czy kości, jak np. topory, dłuta stolarskie, strzały, harpuny, haczyki itp. Uprawiano głównie rolę i hodowlę zwierząt, o czym świadczą znaleziska ziaren traw, tarek do ziarna, kości zwierząt domowych, których było więcej niż dzikich. Domowe rzemiosła opierały się na metalurgii i kuźnic – twie. Surowcem była bagienna i łąkowa ruda. Plemiona tej kultury miały słabo rozwinięte stosunki z sąsiadami. Odnotowano kontakty jedynie z plemionami zachodnimi, zaś później ustalają się ścisłe stosunki z zarubiniecką kulturą południa.

Po dzień dzisiejszy nie określono dokładnej przynależności etnicznej kultury kreskowej ceramiki, gdyż okres poprzedniej kultury jest mało zbadany, choć wiadomo, że naczynia z ceramiką kreskową pojawiły się jeszcze we wczesnym neolicie na Litwie i Łotwie. Zauważono, że na Szczarze w epoce brązu wszędzie były naczynia z ceramiką kreskową. Ostatni przedstawiciele kultury ceramiki kreskowej zostali zasymilowani przez plemiona kultury ban – cerowskiej do połowy pierwszego tysiąclecia n.e.

KULTURA MIŁOGRODZKA (VII-VI DO III WIEKU P.N.E.)

Na terytorium współczesnej Białorusi obejmowała swym zasięgiem tylko północną część Polesia. Została odkryta w latach 50-tych XX wieku. Plemiona żyły w dawnych osadach i grodziskach, które znajdywały się na wyspach pośród bagien, dobrze zabezpieczonych przylądkach ze specjalnie wzniesionymi umocnieniami w postaci wałów i rowów. Domy «miłogradców» były drewniane, z jednym pomieszczeniem dla jednej rodziny, na wzniesieniach wśród bagien i wody. W ostatnich stuleciach pierwszego tysiąclecia kultura miłogradzka została zdegradowana przez napływ przedstawicieli kultury ceramiki kreskowej z północy i kultury zarubinieckiej z południa.

Na stanowiskach «miłogradców» najwięcej znajduje się ceramiki z ornamentami tylko w górnej części garnków. Znaleziono dużo kamiennych narzędzi, wyrobów z żelaza, jak np. topory, noże, broń, sierpy, tarki do ziarna itd. Kości zwierząt świadczą o hodowli bydła rogatego, owiec, kóz i świń. Ważną rolę w zaopatrzeniu pożywienia odgrywało polowanie. Jego obiektami były łosie, żubry, dziki, niedźwiedzie, borsuki, bobry itd. Poprzez polowanie pozyskiwano 40% mięsa. Dziwną rzeczą wydaje się nieobecność w osadach haczyków, łuski ryb, ciężarków do sieci, co świadczy o bliskości



«miłogradców». W gospodarstwie domowym ważnym zajęciem była obróbka metali, tkactwo czy produkcja naczyń.

Reasumując w konkluzji rozlokowanie plemion i kultur wokół «morza» Herodota, w rejonie niziny Sporowsko – Wygonowskiej, można stwierdzić istnienie na jego brzegach osad z czasów neolitu aż do epoki żelaza włącznie oraz wyróżnić skupiska osad w rejonie Jezior Sporow – skich, Opola, Motola i terenów nieco oddalonych od niego, lecz związanych z nim prądami wody. Jest to rejon Słonimia nad Szczarą, która wychodzi z bagien wygonow – skich i Jeziora Pogotskiego połączonego z «morzem» rzekami Wiślica i Bobryk. Oprócz tego rejon «morza» jest jakby neutralną strefą graniczną trzech kultur.

Herodot wspomina jeszcze o jednej tajemnicy, że w ciągu jednego pokolenia do marszu Darija na Scytów (512 r. p.n.e.) Newry opuścili swoją ojczyznę z powodu plagi żmij. Na ten temat jednak istnieje wiele różniących się poglądów. Sądzę, że zaistniałe wówczas zmiany klimatyczne zmusiły gady do zajmowania nowych siedlisk – tam gdzie zamieszkiwali ludzie, co stało się powodem zmiany zasiedlenia ludzi.

Ponadto warto zwrócić uwagę, że szlak poprzez Jezioro Wygonowskie był najkrótszą trasą między Morzem Czarnym a Morzem Bałtyckim, a ponadto była to jedyna droga wykluczająca ciężkie i niebezpieczne przeciąganie łodzi. Tak więc od Prypeci szlak wodny prowadził przez rzeki Bobryk i Wiślicę do Jeziora Wygonowskiego, a stąd po rzece Szczarze do Niemna. Szlak ten został przebudowany w postać kanału przez Michała Kazimierza Ogińskiego w XVIII wieku dla spławu drewna i innych towarów do Królewca.

Przed okresem Waregów w czasach zarubiniec-kiej i walborskiej kultury na Polesiu już były ścisłe stosunki z greckimi centrami rozlokowanymi nad brzegami Morza Czarnego, o czym świadczą znajdywane w wykopaliskach amfory helleńskie i wczesnorzymskie, scytyjskie dziryty, monety z III wieku p.n.e. z Aleksandrii, szklane korale, monety z II wieku n.e. Imperium Rzymskiego, arabskie i bizantyjskie monety, pierścionki z brązu, bransolety, wisiorki, fibule z celtyckiego Zachodu, czy czerwonolakowa ceramika z czasów rzymskich. W wiekach VII-XI Pińszczy – zna obfituje w pierścienie z brązu i srebra, jednostronne grzebienie, które kojarzymy z Wikingami, a które mogły tutaj trafić tylko szlakiem wodnym.

Pozostaje rozszyfrować fenomen nagromadzenia stanowisk, osad i grodzisk w rejonie Słonimskim na Szczarze poniżej »»»

»»» jej wyjścia z bagien wygonowskich. Więcej takiej koncentracji zabytków w obwodzie grodzieńskim nie ma. Nie wyklucza się, że ten fakt jest związany z drogą wodną po rzece Szczara o «morzem» Herodota. Nie można się zgodzić z nim, że bardziej na północ od Newrów teren był bezludny.

Pragnąc zorientować się w jakiejś dawnej historii, zawsze staram się powiązać ją ze współczesnością. W tym przypadku sporządziłem mapę obecnych osad na brzegach «morza» Herodota, prześledziłem w jakim stopniu terytorium «morza» weszło do życia współczesnego społeczeństwa. Mapa dobrze ilustruje stosunki wzajemne człowieka z przyrodą tych miejsc, gdzie dobrze widać np. intensywne wykorzystywanie bagien powstałych na dnie «morza».

Na jeziorach Sporowskich Zbudowano trzy sowchozy. Dla nich osuszono 21.500 ha z centrami w Sporowie, Tysz – kowiczach i Obrowie. W rejonie jeziora Wygonowskiego również przeprowadzono osuszenie dla dwóch sowchozów na powierzchni nie mniej niż 10.000 ha. Razem osuszono 85.0 ha z ogólnej powierzchni «morza», która wynosiła

220.0 ha. Równolegle z tym i na znacznej części tego terenu i w różnych czasach były tworzone rezerwaty przyrody. Bardziej na wschód od jeziora Sporowskiego powstał w 1991 roku biologiczny rezerwat czasowy «Spo – rowski» na powierzchni 11.000 ha. Rezerwat ten wbija się klinem między osuszonymi masywami i odgrywa ważną rolę ochrony przyrody w biologicznej równowadze regionu. Na jego masywie nie ma żadnej miejscowości, natomiast jest dużo roślin i zwierząt, których wykazy znajdują się w Czerwonej Księdze Republiki Białoruś.

Zainteresowanie wzbudza również hydrologiczny rezerwat przyrody «Wygonoszczański» o powierzchni 43.000 ha, który powstał w roku 1968 i uważany jest za najcenniejszy rezerwat czasowy na Białorusi. Ilość gatunków zwierząt tutaj żyjących przewyższa nawet Puszczę Białowieską i Bereziński ścisły rezerwat biosfery. Na jego terenie żyje 53 gatunki ssaków, 221 gatunków ptaków, wszystkie gatunki gadów i ziemnowodnych zwierząt znanych na Białorusi. Ludność zamieszkała w przylegających do rezerwatu miejscowościach do dzisiaj zajmuje się prastarym sposobem eksploatacji przyrody jak np. bartnictwo, zaś w niektórych wsiach można spotkać autentyczny folklor.

Dopiero w drugiej połowie XX wieku dotknęła ten rejon cywilizacja, osuszono bagna, zbudowano drogi, przeprowadzono elektryfikację itd. Przedtem wyspowe wsie Sporowo, Kokoryca, Obrowo, Korocin, Światyca, Bobro – wicze, Wygonoszczy, Nowosiółki, Tuchowicze miały tryb życia swoich przodków. Z tych powodów teren ten budzi zainteresowanie etnografów i folklorystów. Próbę utrwalenia odgłosów przeszłości również i ja podjąłem poprzez kamerę video. Nakręciłem film w rejonie pińskim na byłej granicy rozszerzania wschodniopomorskiej i miłogradz – kiej kultury, których stanowiska odkryto we wsiach Łasick, Ostrów, Wisznia i Parę, skąd pochodzą piosenki oraz autentyczny folklor, czy tańce ze wsi Dobrosławka.

Pragnąłem także zwrócić uwagę na możliwość istnienia dużych obszarów wodnych w innym miejscu obwodu brzeskiego w czasach Herodota, lecz tego nie można potwierdzić. Jeżeli przeanalizujemy rozmieszczenie torfowiska w obwodzie, zobaczymy, że płytkie torfowisko wynosi 81%, zaś torfowisko o głębokości więcej niż 2 metry – zaledwie 5%, co wykluczałoby w tamtych czasach istnienie olbrzymich i wygodnych do pływania powierzchni wodnych.

Jak wynika z powyższego temat «morza» Herodota jest ciekawy, wieloaspektowy i nadal oczekuje na specjalistyczne badania.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o jednej zagadce «Historii» Herodota, w której pisze: «W strefie położonej jeszcze bardziej na północ od ziem Scytów zgodnie z przekazaniem nie można nic zobaczyć i tam nie można dotrzeć zza latających piór. Rzeczywiście, ziemia i powietrze są pełne piór, a to przeszkadza wzrokowi». Naturalnie, chodzi tutaj o śnieg.

TEKST I FOTO ALEKSIEJ DUBROWSKI, PIŃSK

OPOWIADANIA I GAWĘDY ZNAD HORYNIA I BUGU ZBIGNIEWA ADRJAŃSKIEGO

Drodzy Czytelnicy,

Dziś w rubryce «Lektura dla Ciebie» prezentujemy Państwu gawędy poleskie autorstwa Zbigniewa Adrjańskiego. Zbigniew Adrjański – dziennikarz, literat, publicysta muzyczny, autor scenariuszy estradowych, widowisk i tekstów piosenek. Autor audycji radiowych i programów telewizyjnych, konferansjer i reżyser programów estradowych. Urodził się na Polesiu, gdzie spędził dzieciństwo i lata wojenne. Uważał się za kresowiaka – urodził się 2 lutego 1932 roku w Brześciu nad Bugiem, w dawnym województwie poleskim, mieście, z którego wywodziły się również takie znane postacie jak aktorka Nina Andrycz, plastyk Jan Lebenstein, operator filmowy Jerzy Lipman czy noblista i premier Izraela Menachem Begin. Adrjański na Polesiu spędził dzieciństwo i lata wojenne. Po wojnie ukończył Państwowe Gimnazjum i Liceum Humanistyczne im. Bolesława Chrobrego w Sopocie. Studiował języki i literatury słowiańskie na Wydziale Filologicznym UW (1950–1955), uzyskując tytuł magistra.

Zdaniem Zbigniewa Adrjańskiego Kresowiacy – «to wielka gościnność i serdeczność, otwarcie się na innych ludzi, duma z przynależności do wielkiej rodziny kresowej, duma z tego, że było się urzędnikiem państwowym na Kresach, czasem w jakiejś zapadłej dziurze albo też żołnierzem Korpusu Ochrony Pogranicza, albo osadnikiem wojskowym, marynarzem na Prypeci, lekarzem albo nauczycielem wiejskim.

To wszystko było służbą dla kraju. Na Kresach wiele osób mieszkało z obowiązku, z poczucia patriotyzmu, bo… Ojczyzna tak chce. Są miejsca przyjemniejsze i ładniejsze na świecie niż to, gdzie mieszkam, ale ojczyzna tak chce…

Tak mówił o miłości do krainy swojego dzieciństwa: «To był jakiś stan zauroczenia tą krainą, rozkochania się w Kresach. Marszałek Józef Piłsudski mówił, że «Polska podobna jest do obwarzanka – wszystko, co wartościowe jest na Kresach, a w środku pusto». I marszałek miał wiele racji. Kresy to ojczyzna wspaniałych ludzi. Kresy dały Polsce wielkich pisarzy, poetów, polityków, wodzów narodowych i artystów. To ciekawe, że rodzili się oni właśnie na Kresach, jest w tym chyba jakiś Genius loci… W każdym razie: Tadeusz Kościuszko, Adam Mickiewicz, Stanisław Moniuszko, Romuald Traugutt, Eliza Orzeszkowa, Maria Konopnicka, Maria Rodziewiczówna, Melchior Wańkowicz to Kresowianie, a ściślej mówiąc, Poleszucy. Ale tę listę nazwisk



można mnożyć jeszcze. A przecież są jeszcze: Lwów, Wilno, Krzemieniec, Podole, Ukraina, Wołyń ze swoim dawnym osadnictwem polskim – ziemie, gdzie narodziło się wielu innych sławnych Polaków, nie tylko artystów i pisarzy, ale np. matematyków ze sławnej szkoły lwowskiej prof. Banacha. Z tym że Lwów nie był tak prawdę mówiąc miastem kresowym. Ja też wyrosłem w kulcie «Kresów Wschodnich». Mój ojciec, Stanisław Adrjański, wychowywał się zresztą na dawnych Kresach Wschodnich, jeszcze w mohylowskiej guberni. Tam, chodził do gimnazjum. Wiele zawdzięcza znanej na Kresach rodzinie Łaszkiewiczów, kuzynom mojej babci Stefanii, w których majątku się wychował.

Zbigniew Adrjański jest autorem wielu śpiewników, a przede wszystkim – Złotej księgi pieśni polskich, antologii gawęd i opowieści związanych z historią narodowej pieśni, która doczekała się już dziewięciu wydań, a jest to tom, liczący niemal 400 stron.

Wydał wiele książek , m.in. «Polesia czar. Wspomnienia, gawędy, opowieści». Książka ma charakter osobistych wspomnień związanych ze swoją rodziną – babcią pisarza, matką, ojcem, kuzynem, znajomymi. Zdarzenia rozgrywają się na tle zapomnianego już krajobrazu: rzek, rozlewisk, bagien, błot, mokradeł, wiosek, przysiółków, rybackich kureni Polesia, wśród których przewijają się ludzie tamtych okolic tworzący narodowościowo-wyznaniową mozaikę: Polacy, Rosjanie, Ukraińcy, Tatarzy. Adrjański – gawędziarz ze swadą opowiada o zasłyszanych zdarzeniach, prawdziwych, a także stworzonych przez siebie dotyczących Polesia oraz nadbużańskiej krainy Podlasia. Sporo tych niesamowitych opowieści czyta się z przyjemnością i zaciekawieniem.

Zmarł 2 maja 2017 r. Do dziedzictwa naszego Rodaka Redakcja będzie stale powracać, by prezentować naszym Drogim Czytelnikom jego błyskotliwe opowieści i gawędy poleskie, by twórczość wybitnego Kresowiaka powróciła do rodzinnych stron.

Red. »»»

CUDOTWÓRCA Z PIŃSKA



W klasztorze o.o. Jezuitów w Pińsku żył na początku stulecia braciszek bardzo pobożny, który robił cuda. Braciszek uzdrawiał chorych, przywracał wzrok ślepym, podnosił na nogi sparaliżowanych, przywiezionych do klasztoru na wózkach. A nawet, jak się rozochocił, unosił się w powietrzu, lewitując nad Prypecią... Do Pińska zaczęły zjeżdżać tłumy, ciekawe obejrzeć niezwykłego jezuitę lub z prośbą o uzdrowienie. Przed klasztorem, od samego świtu, ustawiały się chłopskie furmanki, szlacheckie bryczki i wolanty. A nie brak było i żydowskich dorożek.

Wieść o cudach rozeszła się po nadprypeckich wioskach i miasteczkach, dotarła na Litwę i Podlasie. Zakłóciła życie klasztoru i całego miasta zresztą! Zdenerwowany tym ojciec przełożony wezwał do siebie cudotwórcę i zakazał mu robienia cudów.

– Nie będzie frater wyczyniał nam cudów, które paraliżują życie klasztoru i przeszkadzają

w modlitwie – powiedział ojciec przełożony. – Nie przystoi nawet zwykłemu słudze bożemu, jeszcze w dodatku jezuicie, aby wyczyniał cuda, które są w kompetencji świętych oraz proroków. Żądam więcej skromności i pokory!

Po tej reprymendzie braciszek został odkomenderowany na kościelną wieżę, do nadzoru pracujących tam murarzy i blacharzy. Siedzi braciszek na wieży i pilnie dogląda remontu. Jak trzeba, sam też wali młotkiem. Od czasu do czasu ckni mu się za zrobieniem cudu – ale boi się ojca przełożonego. Aliści któregoś dnia zdarzył się wypadek. Od wieży odpadł młody pomocnik blacharski. Leci na ziemię i drze się:

– Ratunku!

– Ratunku! – krzyczą świadkowie wypadku, wiedząc, że cudotwórca jest w pobliżu.

– Ratuj człowieka, Ojcze!

A na to cudotwórca:

– Czego mordę drze? Niech poczeka! Muszę sie, zapytać o pozwolenie ojca przełożonego...

I co powiecie, państwo?! Chłopak, który leciał z dużej wysokości (każdy, kto zna Pińsk, ten

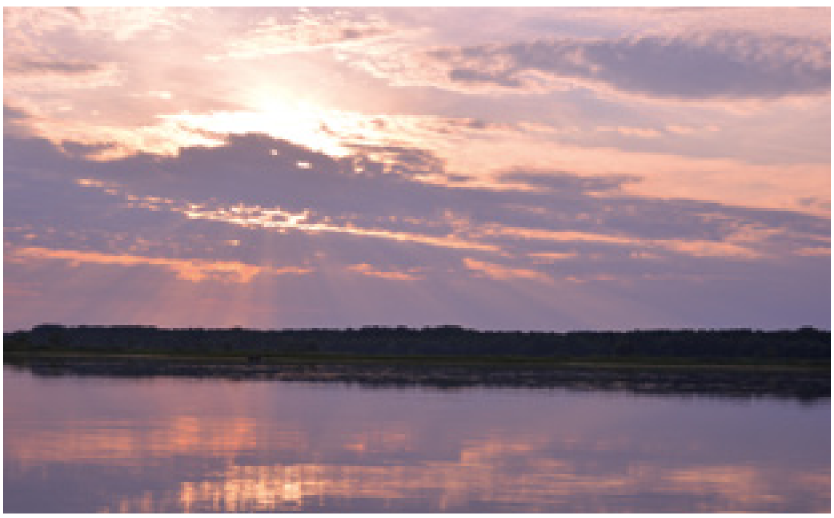
pamięta, jak wysokie są wieże kościoła i klasztoru o.o. Jezuitów), po słowach «niech poczeka – zatrzymał się w powietrzu i unosi się wokół dzwonnicy jak ptak. A braciszek powoli złazi z wieży i człapie w poszukiwaniu ojca przełożonego, żeby otrzymać zezwolenie na cud.

– No dobrze – mówi przeor – niech mu frater pomoże. Ale żeby mi to było ostatni raz! Wrócił braciszek pod wieżę i mówi do zawieszonego w powietrzu chłopaka: – Teraz możesz spadać. Tylko pomalutku... – a ten delikatnie «ryms» o ziemię... Na zakończenie tej historyjki kapitan Bieliński, który dowodził kanonierką pińskiej floty wojennej zwykł był jeszcze dodawać:

– No i co pan powiesz? Chłopak cały i zdrowy wylądował na placu i zaraz laps braciszka za rękę, chcąc ją do ust przycisnąć.

A frater na to:

– Ty mnie w rękę nie całuj! W rękę całuje się Jego Ekscelencję księdza biskupa. Albo ojca przełożonego! A mnie możesz w dupę pocałować! Przez takich jak ty mam w klasztorze same nieprzyj emności!...



WJUNY

Wjuny są wszędzie. W rzekach, strumieniach, rowach. A najwięcej ich w nadprypec – kich bagnach. Wystarczy zanurzyć sieć i już masz wjunów zatrzęsienie.

Na Polesiu wjuny się smaży, wędzi, gotuje. Z mączki wjunów robi się placki, które zastępują chleb. Suszony wjun dobrze się pali i może służyć za łuczywo w chłopskiej chacie. Wjun panoczku – to jest ryba-nie-ryba? Czort wie, co to jest wjun. Raczej gad niż ryba – mówią Poleszucy. Szlachta w zaściankach nad Horyniem nazywa wjuna piskorzem. «Misgurnus fassilis» – powiadają znawcy łaciny. Ale wjun piskorzem chyba nie jest? Od razu widać, że to gad okropny, długi i wąski, żmijowaty. Wjun, jak sama nazwa wskazuje, wije się jak żmija, paszczę ma wredną okropną wręcz, z której wyrastają ostre jak szpilki wąsiki. Z jednej strony sześć, z drugiej siedem. Razem trzynaście i niewykluczone, że to coś znaczy... Bieliński, który w młodości swojej pływał po tropikalnych morzach, zanim trafił na kanonierkę pińskiej floty wojennej — uważał, że wjun to krewniak węża – rybowatego gatunku (ophichthyidae) drapieżnika, który jest postrachem polinezyjskich wybrzeży. Zęby bowiem ma ostre jak brzytwy, podobne pręgi i wygląd równie plugawy. Ale Poleszuk wjuna się nie boi! To on wjunem zakąsza – a nie odwrotnie. Chyba, że chodzi o króla wjunów, który ukazuje się na morzu pińskim.

Morze pińskie jest to ogromne rozlewisko u zbiegu Prypeci, Piny, Styru i Jesiołdy.

Król wjunów mieszka tu na bagnach. Czasem jednak to ogromne bagnisko przysycha i wtedy zdenerwowany król wjunów – który jest potwornej wielkości, wpływa do portu w Pińsku, wali wściekle ogonem i wywraca stojące na cumach: czółna, pławiczki, czuhaleje, szałandy, barki i bajdaki.

Jeden Pińczuk tak się w tych opowieściach o wjunach zagalopował, że wymyślił ogromne akwarium, w którym król wjunów jest przykuty łańcuchem do ściany.



Teraz wszyscy turyści i wycieczki szkolne przyjeżdżające do Pińska szukają tego akwarium, ganiając po mieście z wywieszonym językiem, ponieważ akwarium stale zmienia adres.

Zabawa jest przednia. Nawet mieszkańcy Pińska zaczynają wierzyć, że takie akwarium istnieje. – Ten wjun, jak go Pan nazywa król wjunów, naprawdę istnieje i jest przykuty łańcuchem do mostu na Pinie – powiada do mego Ojca Kapitan Bieliński.

Obaj panowie siedzą w restauracji Gregorewicza (róg Kościuszki i Ogińskiego), gdzie wjunów raczej się nie podaje. Podaje się za to potrawy z ryb najlepsze na całym Polesiu.

Mój Ojciec kiedyś się jednak uparł i zażądał dła kawału wjuna z chrzanem po japońsku.

Nie mamy takiej potrawy – powiedział kelner. – Po japońsku mamy tylko śledzika. – Co znaczy nie mamy? Kto powiedział, że nie mamy – zdenerwował się właściciel firmy, p. Gregorewicz, który właśnie przechodził obok. Już się robi, panie inspektorze – rzekł do Ojca. I podano Ojcu wspaniale przyrządzonego węgorza, który mógł uchodzić za wjuna. A do tego, oczywiście, wódeczkę firmy Baczewski. Wjun, choć nie ryba, lubi sobie pływać.

STATEK-WIDMO

W nocy na Horyniu zobaczyć można płonące ogniska. Na długim, wydrążonym z pnia drzewa czółnie stoi rybak z ościeniem i wypatruje suma, który lubi zbliżyć się do ognia.

Płyną też tratwy, na których płoną ognie. Kapitan Bieliński, na widok tratwy lubi sobie zaśpiewać:

Ej, dubinuszka, uchniemy Ej, dubinuszka, sama się. rusz, sama się rusz!

Targniemy, szarpniemy, uch!

Ta słynna pieśń burłacka wykonana jest z temperamentem iście szalapinowskim.

Pasażerowie na pokładzie Polonii biją brawo! Kapitan Bieliński kłania się zadowolony i mówi do mego ojca: – Kiedyś, panie inspektorze, miało się głos! A teraz został mi, za przeproszeniem, «bas-propito».

Uciekają do tyłu nazwy mijanych wiosek, przysiółków i kureni rybackich. Nazwy są tu prześliczne: Horyńka, Usteczko, Borsuki, Koleśniki, Peredmirka.

– Wczoraj widziałem w tym miejscu statek-widmo – mówi mimochodem kapitan Bieliński.

– Jak to, statek-widmo? – pyta z niedowierzaniem mój ojciec.

– Ano, zwyczajnie, panie inspektorze! Mój sternik zresztą może poświadczyć. Właśnie poszedłem wcześnie spać, a ten o północy budzi mnie i wrzeszczy na cały głos: – Panie kapitanie! Panie kapitanie! Na kursie statek-widmo... Sam w takie bajki nie wierzę, więc pytam go ubierając się w pośpiechu – A skąd wiesz, że to ... statek--widmo?

– No, bo co ma być? – odpowiada sternik – Płynie na nas duży parostatek. Na pokładzie gra muzyka. Świecą się lampiony! Tylko jest pusto! Ani załogi, ani orkiestry, ani pasażerów nie widać!

– To co gra do cholery?

– Nu, znaczy się, gray y Sopki Mandżurii – odpowiada sternik.

– No widzisz, to jednak jest ruski statek – i biegnie na pokład zdenerwowany.

I rzeczywiście, sternik ma rację. W odległości 2-3 km od nas, płynie prosto na naszą Polonię statek, który wygląda na całkowicie pusty, chociaż gra orkiestra dęta i słychać walca Sopki Mandżurii. Może to jakiś podstęp? Może pułapka? A może bolszewicka inwazja?

A w dodatku jeszcze, miejscowość na brzegu nazywa się Napadówka. Można powiedzieć nomen-omen. Cofać się nie możemy! Przecisnąć obok – też nie. Włączamy kolejne sygnały alarmowe. Syrena buczy jak oszalała, pasażerowie, którzy spali na pokładzie, teraz krzyczą ze strachu! Będzie katastrofa, jakiej jeszcze na Polesiu nie było!

– A w dodatku, pan inspektor zakazał strzelać z armaty – wtrąca się sternik, który cały czas przysłuchuje się tej opowieści.

– A w dodatku, pan inspektor zakazał strzelać z armaty – powtarza kapitan Bieliński.

Zakaz, to zakaz! Choć armata w tym momencie bardzo by się przydała. Ale co robić? Katastrofa jest nieunikniona. I nagle, na kilka metrów przed naszym dziobem, ten statek, znaczy się widmo, unosi się w powietrze jak ogromny balon albo aeroplan! I już jest z nami, na kursie...

– Sam widziałem – przytakuje sternik – Parostatek, który fruwa! Tego jeszcze nie było!

– Dość jednak tych opowieści – mówi kapitan Bieliński – Już świta! Niech sternik zarządzi poranną kawę dla pana inspektora.

– Z rumem? – pyta sternik.

– Z rumem – decyduje za mego ojca kapitan.

Mój ojciec, wielki służbista, ale też człowiek głębokiego serca, długo się nad czymś zastanawia i powiada wreszcie do kapitana Bielińskiego:

Wie pan, w drodze wyjątku, zanim oddamy tę armatę dowództwu Marynarki Wojennej w Pińsku, niech pan sobie z niej huknie na pożegnanie kilka razy. Wszak dzisiaj mamy rocznicę Konstytucji 3 Maja, czyli święto państwowe.

DUCH, KTÓRY STRZELA Z ARMATY

Kapitan Bieliński pływa na parostatku Polonia, który należy do firmy Feldman i Spółka. Stateczek jest piękny, najładniejszy na całym Polesiu, w odróżnieniu od innych wraków, które przywędrowały tu jeszcze z Odessy, Astrachania, Jekatyrynosławia. Polonia wygląda i sprawuje się całkiem nieźle, ale kapitan jest niezadowolony!

– Co ja tu robię? – mówi stary wilk morski – Wożę po Prypeci, Pinie, Horyniu starozakonnych kupców, którzy handlują śledziami. Zapach tych śledzi, które stłoczone w beczkach stoją na rufie Polonii, to mój jedyny kontakt z morzem.Przedtem kapitan Bieliński służył w carskiej flocie wojennej. Przed bolszewikami uciekł na morza chińskie. W latach dwudziestych szkolił w Pińsku młode roczniki przyszłych oficerów marynarki handlowej ze szkoły morskiej w Tczewie, przybywających tu na wakacyjne praktyki. Teraz jest na emeryturze i zatrudnia się sezonowo, właśnie w firmie Feldman i Spółka. Kapitan Bieliński na statek angażuje się z armatą, która wygląda jak «car-puszka» i budzi zgrozę starozakonnych. Jest to rodzaj haubicy, jeszcze z wojny rosyjsko-japońskiej, którą stary kapitan, sobie tylko wiadomym sposobem, wycyganił od dowództwa twierdzy brzeskiej.

– Panie Bieliński, na co panu ta armata? – pyta Feldman swojego kapitana.

– Panie armatorze – odpowiada z powagą kapitan Bieliński – Po pierwsze: bolszewicy blisko i armata zawsze przydać się może... Po drugie: w obronie przed piratami. A po trzecie: dla dobrego «balastowania» statku.

– Czego? – pyta armator – Jakiego znowu balastowania?

– Nie będę panu tłumaczył zawiłości technicznych, panie Feldman. Ale w razie, na przykład, utknięcia Polonii na mieliźnie można armatę «chlup» do wody! I znów płyniemy!

– Jezus Maria – przeraził się Feldman – To niech już pan tę armatę zachowa!

Po tej rozmowie kapitan pływa w doskonałym humorze. Salutują mu znajome kanonierki pińskiej marynarki wojennej. Bądź co bądź, Polonia wygląda teraz jak okręt wojenny.

Z mostku kapitan spogląda na starozakonnych kupców, na beczki ze śledziami, na starą haubicę, która tkwi na dziobie i widocznie jakaś myśl mu świta w głowie, bo kapitan pogwizduje słynne Korabiejniki. – A jak kapitan pogwizduje tę piosenkę, coś musi się wydarzyć – mówią marynarze.

W kolorowym kufereczku perkal, brokat, wstążki mam,
Ach, ulituj się, śliczna panieneczko,
Ulżyj plecom, kup ten kram.

W nocy, kiedy kupcy śpią na pokładzie pod ciepłym niebem Horynia, rozlega się straszliwy huk! Armata zieje ogniem w stronę ruskiej granicy. Zwielokrotnione echo toczy się po rzece. Część pasażerów spada z ławek. Część histeryzuje. Kanonierki pospiesznie płyną w stronę Słuczy, gdzie jest granica polsko-sowiecka. Ich pogranicznicy depeszują do Moskwy, że Polacy szykującakąś prowokację i na wszelki wypadek też strzelają, z czego się da! Wybucha afera dyplomatyczna «na 24 fajerki».

– Panie Bieliński – mówi armator – Co pan wyprawia? Czy pan chce, żeby firma Feldman i Spółka wypowiedziała wojnę bolszewikom? Nieszczęście pan chce ściągnąć na nasze głowy?

– Panie armatorze – rzecze kapitan – Każdy żołnierz wie, że armata może raz do roku wystrzelić nieoczekiwanie.

A nawet strzelba myśliwska, zawieszona na ścianie. I właśnie taki moment nadszedł dla mojej armaty! Ale prawdę mówiąc, panie armatorze, jestem przekonany, że z armaty wystrzelił duch!

– Jak to duch? Czyj duch? Jak mi pan jeszcze duchy na Prypeci wymyślisz, nikt naszym statkiem pływać nie będzie!

– Pamięta pan tego adwokata z »»»



»»» Pińska, który przyszedł do nas w ubiegłym roku i prosił, żeby przyjąć go na statek w charakterze pomocnika palacza?

– Co nie mam pamiętać – mówi Feldman – To wariat. Idealista jakiś. Nie chciał być adwokatem, tylko palaczem okrętowym!

– Ośmielę się zauważyć, że to nie idealista, tylko syjonista. On powiedział, że Palestyna, do której chce wyjechać, ma mnóstwo adwokatów, lekarzy, skrzypków, bo to są typowo żydowskie zawody, ale nie ma palaczy okrętowych. No i pan go wyrzucił ze swego biura. A on zatrudnił się na parostatku firmy Cukierman i Spółka.

– Widocznie jestem antysemitą – westchnął Feldman – Ale nie zrobiłem tak źle, bo zaraz po tym on wyleciał z całą kotłownią w powietrze, na parostatku Cukiermana!

– Bo to był prawdziwy żydowski patriota, panie armatorze. Za dużo wkłada serca w swoją pracę! No, i węgla pod kocioł!

– Trudno! Widocznie ja takim patriotą nie jestem. Chociaż nazywam się Feldman! A co do tego wszystkiego ma pańska armata?

– Jak to, co? Mówi kapitan – Niech pan pomyśli! Armata huknęła tuż po północy, przy wodowskazie nad Nyrczą gdzie zdarzył się tamten wypadek w kotłowni Cukiermana. Ktoś widział nawet dziwną postać, która zakradła się do armaty i odpaliła pocisk! Moim zdaniem był to duch tego adwokata, który jeszcze po śmierci postanowił się nauczyć strzelać z armaty! Wystrzelił i rozpłynął się we mgle!

– A skąd wziął pocisk?

– Właśnie, panie armatorze! Tylko duch potrafi wystrzelić z armaty, która nie jest załadowana.

– Pan to wszystko sugestywnie opowiada, panie Bieliński, ale inspektor Adrjański z Dyrekcji Dróg Wodnych w Brześciu, chce odebrać licencję za przechowywanie armaty na pasażerskim statku!

– Panie armatorze – ucieszył się kapitan – To pan Stanisław, chciałem powiedzieć pan inspektor, do nas przyjeżdża?

– Jutro o 11 będzie na Polonii – powiedział Feldman.

Melduję posłusznie, panie armatorze, że z tej okazji musimy oddać salut powitalny na Polonii. Tak nakazuje tradycja morska, Panie Feldman.

DID

«Didy» wędrowne na Polesiu darzono szacunkiem. Wiadomo – «did» pomodli się za Twój dom i całą rodzinę. Pomoże w chorobach, doradzając różne zioła i maści. Nastawi złamaną kość nogi albo ręki, czy też przyprowadzi innego «dida», tzw. «kostoprawa», który zna się na medycynie lepiej niż niejeden chirurg. «Didy» mają swoje sekretne sposoby zamawiania «różyczki», «świnki» lub nawet «szkarlatyny»...

W okolicach Mankiewicz pod Stolinem, gdzie Horyń obmywa rezydencję Radziwiłłów, leżą szlacheckie zaścianki: Remel, Wielemicze, Olpień, Rubiel. Wśród szlachty poszła fama, że w okolicy pojawił się «did», który grając na fujarce wyprowadza szczury ze spichrzy. A jak trzeba, «zaklina deszcz». Nad Horyniem deszczu nie trzeba, bo i tak mokradła tu wielkie. Ale nad nimi unoszą się niestety słupy komarów ogromnej wielkości.

A trzeba jeszcze dodać, że szlachta tu wcale «nie ciemna», bywała w świecie, sięgająca swoich rodowodów aż z XV wieku. Wiele osób słyszało tu o operze Mozarta «Zaczarowany flet». Zna też stosowną literaturę na temat «Zaklinaczy deszczu». Co to jednak szkodzi mieć własnego «dida».

Przyjechał zatem ów «did» na Horyń w okolice Stolina. Poszeptał tajemnicze formułki nad żółtym urwiskiem rzeki, gdzie nawet kawałki bursztynu można znaleźć...i nagle słońce wzeszło, niewidzialne od kilku tygodni. Później deszcz przestał padać, pojawiła się tęcza. «Słupy komarów» znikły bez śladu, jak tu w «zaklinaczy deszczu» nie wierzyć?

W dramatycznych okolicznościach, po 17 września 1939 roku, uciekałem z rodzicami i małym braciszkiem Ryśkiem, z Baranowicz – w stronę Stolina. Polesie stało w ogniu. Cofał się Korpus Ochrony Pogranicza – ostrzeliwując się przed sowieckimi «taczankami». Paliły się polskie dwory i domy wojskowych osadników. Chłopi wychodzili na drogi pełne uchodźców, niosąc w chustach zawinięte topory i kosy.. Słychać było pomruk: «re – zat panów». Uciekaliśmy zatem w stronę szlacheckich zaścianków pod Stołinem. W nocy wypadło nam jednak zanocować w typowej «kurnej chacie», pełnej już takich jak my uciekinierów. Siedzieliśmy tam na wiązce słomy z przerażeniem patrząc na zarojoną od wszelkiego rodzaju insektów torfową podłogę. Na rozrzucony na piecu i za piecem, barłóg do spania dla całej rodziny Poleszuka, który nas przyjął na nocleg. Baliśmy się jednak nocą wędrować dalej.

Nagle do chaty wszedł wędrowny «did». Pozdrowił wszystkich uprzejmie. Poprosił o nocleg naszego gospodarza, który potraktował go z wielkim uszanowaniem. «Did» rozłożył się w kącie izby. Popatrzył na nas badawczo. Popatrzył na podłogę i jakby zrozumiał nasze obawy, bo wyszedł na zewnątrz i po chwili wrócił z witką, przypominająca zwykłą rózgę. «Did» poszeptał coś nad rózgą. Wetknął rózgę w próg. I powiedział zadowolony: «No, teraz już nas nic nie pogryzie». I rzeczywiście! Spaliśmy jak susły. Do rana nic nas nie gryzło! Ale nad ranem, kiedy zrobiło się jasno, ktoś podniósł krzyk, że przy owej witce tkwi kilka tysięcy karaluchów, tarakanów, szczypawek i wszelkiego rodzaju paskudztwa. Wyglądało to wszystko jak olbrzymia, nieruchoma, brunatna plama. Ktoś wołał, żeby zalać insekty wrzątkiem. Ktoś chciał je deptać. Ale «did» był szybszy. Zerwał się ze swego barłogu i powiedział stanowczo: «Nie wolno zabijać panoczku. Karaluch to też stworzenie boże!».

I wyciągnął zza progu rózgę. A wtedy całe to nieruchome dotąd robactwo rozpierzchło się po kątach. Uciekaliśmy i my z tej «kurnej chaty», ale w lepszych humorach niz dotąd. No bo skoro «did» powiedział, że karaluch to «stworzenie boże» – to może i nas po drodze nie zabiją?

Foto Eugeniusza Lickiewicza

KRAJOBRAZY UTRACONE. PINA – RZEKA NIE DO KOŃCA UJARZMIONA!



Fot. Tropenmuseum// Wikipedia CC

Polesie – kraina nieokiełznanej wody i nieprzebytych bagien – od X wieku znajdowało się w granicach Rusi Kijowskiej. Później, w dobie rozdrobnienia dzielnicowego, było tu księstwo turowsko-pińskie. W roku 1341 przyłączył je Giedymin do Wielkiego Księstwa Litewskiego. W granicach Rzeczypospolitej znalazło się natomiast po roku 1569, przynależąc do województwa brzeskolitewskiego oraz częściowo mińskiego i kijowskiego. Od 1795 roku, po III rozbiorze Polski, tereny te objął zabór rosyjski. Administracyjnie należały one wtedy do guberni grodzieńskiej i mińskiej. W okresie międzywojennym interesujący nas obszar przypadł II Rzeczypospolitej. Znalazł się on w województwie poleskim. Siedzibą władz wojewódzkich był bardzo krótko Pińsk, a następnie Brześć nad Bugiem. Później nastąpiły znane powszechnie wydarzenia II wojny światowej i trwające następne dziesięciolecia ich konsekwencje. Obecnie Polesie leży na Białorusi i Ukrainie, a tylko niewielkie jego części znajdujemy na terytorium Polski i Rosji.

Z woli imperatora, jakąś nadzwyczajną sztuką i pomysłowością inżynierską, poprowadzono w roku 1886 poleską drogę żelazną (Kolej Poleska) z Brześcia Litewskiego (Brześć n. Bugiem) do Homla, poprzez bagna i moczary, wzdłuż północnego brzegu rzeki Prypeć. Inny świat zaczynał się już za Brześciem, a dalej inaczej ważyły rzeczy oraz sprawy i nie zawsze można było dowierzać zmysłom.

Oto gdzieś tam pojawiła się i zniknęła sylwetka «tutejszego» na czółnie, ówdzie znowu, miejscowa wiedźma zbierająca zioła stąpała suchą nogą tam, gdzie innych natychmiast wciągała błotnista kipiel. A gdy wieczorem nad wodami rzek i jezior, nad bezdennymi mokradłami, podnosiły się opary, zaczynała działać wyobraźnia uzupełniająca mgliste obrazy. W głąb bezludzia wabiły dziwne głosy i tajemnicze ognie. Biada, biada każdemu, kto by podążył ich śladem! Lepiej było wówczas zasłonić okno i zapalić światło w przedziale. Pociąg tymczasem mknął okryty obłokami pary w głąb krainy, w której zatarły się granice między wodą a ziemią i między wodą a niebem...

W wielu miejscach, już na początku XX wieku droga wiodła przez okolice dość płaskie, gdyż znaczne obszary starego lasu wycięto (najpiękniejsze lasy trwały jeszcze pod Mozyrem). W oddali dawał się niekiedy słyszeć dźwięk syreny parostatku na Prypeci. Płynęło się nim do Dniepru i dalej, hen, aż do Kijowa. Podróżujący poleską linią kolejową mijali stację węzłową w Żabince, skąd można było jechać do samej Moskwy, a następnie przejeżdżali przez Kobryń. Wysiadali tu znawcy wszelkiej maści wierzchowców, gdyż w Kobryniu organizowano znane targi na konie, natomiast znawcy literatury wszczynali literackie

dyskusje, zachęceni do tego zapewne bliskim sąsiedztwem siedziby Marii Rodziewiczówny w Hruszowej. Aż wreszcie, po przebyciu 160 wiorst, czyli ok. 170 km, oczom pasażerów ukazywał się Pińsk, który w 1910 r. liczył sobie ok. 38 tys. mieszkańców i cieszył się od 1581 roku prawami miejskimi. Wystarczyło jeszcze tylko – jak doradzano w dawnych opisach – wspiąć się na wyniosłą wieżę jezuickiego kościoła, aby nasycić oczy wspaniałym widokiem niknącej gdzieś w dali doliny, środkiem której, pośród połyskujących w słońcu rzeczek, strumieni, strug i ruczajów, toczyła swe modre wody ona – rzeka Pina.

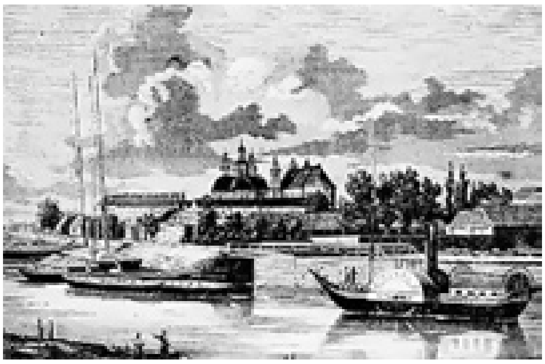
We współczesnych encyklopediach możemy znaleźć zwykle bardzo skąpe informacje, z których wynika, że Pina, lewy dopływ Prypeci, ma 40 km długości, obszar jej dorzecza wynosi 2460 km kw., a średni przepływ roczny to 8,6 m sześciennego na sekundę. Dowiadujemy się też, iż jest ona częścią drogi wodnej, powstałej dzięki liczącemu 92,8 km długości Kanałowi Królewskiemu, który w Pińsku łączy się właśnie poprzez Pinę z Prypecią.

O, jakże mylą się ci wszyscy, którzy sądzą, że dwuzdaniowe hasło może zamknąć w swych karbach nurt poleskiej rzeki! Pamiętajmy wszak – inne tam obowiązują miary i nie wszystkie żywioły zostały pod tamtejszym niebem do końca rozdzielone.

Otóż na dawnych mapach Polski zwykle Piny nie znajdujemy. Brakuje jej np. na mapie Wacława Giedrojcia z XVI wieku i w atlasie «Theatrum Orbis Terrarum» Abrahama Orteliusa. Zaznaczono ją natomiast na karcie Rzeczypospolitej Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła «Sierotki» z początków XVII wieku. W wieku XVIII kartografowie mieli ogromne problemy z umiejscowieniem źródeł Piny. Błędnie zaznaczył je Władysław Łubieński w dziele «Świat» i Rizzi Zannoni w atlasie Polski pt. «Carte de Pologne...» z 1772 roku (atlas składał się z 24 kart w skali 1:629000). Z problemem tym nie poradził sobie również Jan Topolnicki, który wydał we Lwowie w roku 1864 mapę dawnej Polski. Niedokładności spotykamy zresztą i w późniejszych opracowaniach hydrograficznych. Czyż można się jednak temu dziwić, skoro źródeł rzeki należy doszukiwać się gdzieś w ogromnych, niezmierzonych bagnach w rejonie Kobrynia?

Podobny kłopot powstał przy ustalaniu miejsca, w którym Pina łączy się z Prypecią. Ileż tam splątanych odnóg i rozgałęzień, ileż okolicznych rzeczek, ileż połączeń z Jasiołdą i Strumieniem! A wszystkie one walczą o prymat, o miano głównego nurtu, o prawo oznaczenia na mapie, że to właśnie im przychodzi złączyć się w nierozerwalnym uścisku ze starszą siostrą, aby dalej wspólnie już płynąć ku przeznaczniu, tam, gdzie czeka na nie potężny Dniepr.

Pod koniec XIX wieku długość Piny na terenie powiatu pińskiego oceniano na 73 wiorsty, czyli ok. 78 kilometrów. Natomiast «Trzaski, Everta i Michalskiego Encyklopedia Powszechna w Dwu Tomach» z 1933 r. podaje, że Pina jest prawym dopływem Jasiołdy i ma 87 km długości.



Pińsk, Tygodnik Ilustrowany, 4 lipca 1863/ Wikipedia CC

Tak oto – kpiąc sobie z geografów – wiła się krnąbrna rzeka odludnymi moczarami lub mijała niekiedy malownicze wyniosłości, a wokół niej tętniło życie dzikiej przyrody. Na torfowiskach – jak powiadają uczeni botanicy – roślinność obfitowała w relikty glacjalne, w postaci brzozy karłowatej i wierzby lapońskiej. Bagienne lasy łęgowe i olsy kryły olszę czarną, a na terenach wyżej położonych występowały bory sosnowe i lasy mieszane. Idąc bardziej na południe można było w nich spotkać różanecznik żółty.

Na swej drodze napotykała Pina inne rzeki i strumienie, które zasilały swoimi wodami jej nurt. Prawym dopływem była m.in. rzeka Zarobczanka oraz rzeczka wypływająca z jeziora Pieszczane, a z lewej strony wpadały doń rzeczka Niesłucha i strumień Filipówka. A wszystkie one pełne ryb, pełne wodnego ptactwa! I tak wszystko trwało niezmiennie przez setki lat. Sielanka musiała się jednak kiedyś skończyć.

Już w roku 1635 podczas obrad sejmu miał mówić o Pinie kanclerz Jerzy Ossoliński, przedstawiając pomysł połączenia drogą



Kanał Muchawiecki, fot. Planheft Russland – Ukraine/ Wikipedia

wodną Morza Czarnego z Bałtykiem. Prawdopodobnie w połowie XVIII wieku rzeka stała się spławna. Wielkie zmiany przyniósł dopiero rok 1773.

Zagadnieniem regulacji rzek Pińszczyzny zainteresował się wtedy poważnie ks. Michał Kazimierz Ogiński, hetman wielki litewski, który polecił sporządzić odpowiedni projekt swojemu kartografowi i topografowi Mateuszowi Butrymowiczowi. Bieg Piny miał zatem zostać skanalizowany na mierzącym 30 km odcinku od kanałowego połączenia z Muchawcem do Pińska, gdzie następowało z kolei połączenie z Prypecią.

W ten oto sposób wolna dotychczas rzeka zaczynała się stawać częścią szlaku wodnego, zwanego Kanałem Muchawieckim, Kanałem Królewskim, Kanałem Rzeczypospolitej lub Kanałem Dniepr – Bug, który umożliwiał statkom oraz barkom transportującym drewno i zboże teoretycznie swobodną żeglugę na długiej trasie między Morzem Czarnym a Morzem Bałtyckim. Droga wiodła Dnieprem, Prypecią, Piną, właściwym kanałem, Muchawcem, Bugiem i Wisłą. Inwestycja ta powstawała w latach 1775 – 1848. Sam kanał między Muchawcem a Piną miał wówczas ponad 6 mil, czyli ok. 51 km długości.

W wyniku wieloletnich robót, zakola i niektóre odcinki koryta Piny otrzymały stosowne umocnienia (kanalizacją nie objęto rozgałęzień rzeki). Powstało też sześć śluz. Za ostatnią z nich, przed Pińskiem, rzeka uzyskała znacznie rozszerzone koryto. Po jego lewej stronie usypano szeroką groblę, przystosowaną do holowania statków przy pomocy liny ciągniętej przez ludzi lub zaprzęg koński. Natomiast z prawej strony była tama utrzymująca wymagany poziom wody w rzece. W samym mieście zbudowano port zaopatrzony w śluzę, tamy i nadbrzeżną groblę, do której przybijały statki.

Parowce i ciężkie barki towarowe dopływały tylko do Pińska (od strony Prypeci), a dalej, w górę rzeki, płynęły wyłącznie barki o mniejszej ładowności. Pina zamarzała zwykle pod koniec listopada, a lody puszczały gdzieś tak z końcem marca; rzeka była zatem spławna przez ok. 250 dni w roku.

W okresie międzywojennym Pina nabrała znaczenia militarnego. Otóż u jej ujścia stacjonowały kanonierki i monitory polskiej Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej (Flotylla Pińska), która operowała na tzw. morzu pińskim, czyli wielkim rozlewisku kilku rzek. Liczący wówczas 32 tys. mieszkańców Pińsk był miastem powiatowym i posiadał dwie rzeczne przystanie. Zresztą dzieje i zabytki «stolicy» Polesia wymagają oddzielnego omówienia.

Podczas II wojny światowej Kanał Królewski został poważnie zniszczony. Później odbudowano go, ale nigdy już nie odzyskał dawnego znaczenia ekonomicznego.

Powojenne lata przyniosły poważne zmiany na omawianym obszarze Polesia. Prowadzono tam intensywne prace melioracyjne, poszukiwano ropy naftowej i węgla brunatnego. Lesistość spadła do poziomu 30%. Chociaż udało się osuszyć ok. 1,7 mln ha gruntu, czyli nieco ponad połowę poleskich błot, to kraina ta w dalszym ciągu jest największym w Europie obszarem bagiennym. Troskę budzi fakt, iż w wyniku tych działań doszło do degradacji krajobrazu i strat w oryginalnym środowisku przyrodniczym. Leżący w obwodzie brzeskim Pińsk liczy sobie obecnie ok. 132 tys. mieszkańców i w dalszym ciągu posiada port rzeczny. Kanał Dniepr – Bug stanowi już raczej tylko atrakcję turystyczną.

Gdy jednak o zmroku cichną odgłosy ludnego miasta, gdy w wieczornej mgle nikną dalekie światła i sztuczne nabrzeża, z oparów wyłaniać zaczynają się cienie drzew dawno umarłych, a u ich stóp rzeka burzy się, przelewa przez zapory i jak niegdyś łączy z siostrami, by igrać swobodnie przy smętnym wtórze piszczałek bagiennych duszków, którym przyświecają błędne ogniki. I tak trwa aż do świtu to misterium żalu i tęsknoty za światem bez barier i granic...

MAREK ŻUKOW-KARCZEWSKI
EKOLOGIA.PL

Drodzy Nasi Czytelnicy,

Ziemia poleska mieni się nie tylko różnorodnością niepowtarzalnego krajobrazu, pięknem miejscowych tradycji, ale i bogatstwem polskich pamiątek i wspólnych historycznych doświadczeń. Polesie przykuwa uwagę historyków, krajoznawców, etnografów, jak i zwykłych ludzi, spragnionych wiedzy o tej części dawnych Kresów Wschodnich. Dlatego na łamach naszego pisma stale prezentujemy wspomnienia dawnych mieszkańców, świadków i uczestników historii, którzy pozwalają odtworzyć nieznane karty wydarzeń, zachować ducha czasu, przenieść nas do przeszłości naszych dziadków i pradziadków. W tym numerze proponujemy Państwu fragment wspomnień Józefa Kozakiewicza z Południowego Polesia. Jego wnuczka, Małgorzata Stelmaszczyk tak pisze o naszym utraconym Polesiu:

«Nie tak dawno temu na kresach Polski istniała kraina, którą ludzie po dziś dzień wspominają ze wzruszeniem, rozrzewnieniem i nierzadko z łezką w oku. W opowieściach jawi się ona jako osobliwa kraina szczęścia, obfitująca w bogate lasy, urodzajne ziemie i rzeki pełne ryb. Kraina pozwalająca żyć godnie, dostatnio i bezpiecznie. Na jej terenach od pokoleń żyli po sąsiedzku Polacy, Ukraińcy, Żydzi i Rosjanie. Dla Polaków – powstańców styczniowych, żołnierzy marszałka Piłsudskiego, osadników oraz ludzi pragnących przeżyć dobre, pracowite i spokojne życie, była to ziemia obiecana. Kraina ta nosiła piękną nazwę: Polesie. Na poleskich ziemiach los osadził polskie rodziny: Paszkowskich, Rubinowskich, Kozakiewiczów, Szalatych, Kraszewskich, Brzezickich, Zajączkowskich, Marcinkowskich, Szlachciuków, Darowskich, a potem splątał ich losy... Wydawać by się mogło, że po odzyskaniu niepodległości wreszcie można będzie żyć w wolnej Polsce... Niestety… Trzy daty położyły kres szczęściu: 1 września 1939 r., 17 września 1939 i 10 lutego 1940. W pierwszym dniu wojny z Niemcami Polska zapłonęła ogniem walki. 17 września wschodnie tereny polskie, w tym Polesie zostały zaatakowane bez wypowiedzenia wojny przez Związek Sowiecki. W dniu 10 lutego 1940 Polesie zostało zamrożone chłodem strachu, zsyłką, głodem i okrutnym widmem Sybiru. Kto zdołał jeszcze pozostać w domu, drżał o los zesłanych, zabranych do armii, zaginionych. Wkrótce straszny demon wojny upomni się i o tych, co pozostali na miejscu w swej małej ojczyźnie.

Dotychczasowi sąsiedzi – Ukraińcy – ogarnięci nienawiścią podsycaną przez bolszewików, obrócili się przeciwko bezbronnym Polakom. Chęć zysku i wyrugowania Polaków z Kresów zawładnęła ich umysłami. Z okrzykiem na ustach: «Bij i rezaj Lachiw!» napadali na osamotnione wsie.

23 sierpnia 1943r. banda ukraińska w biały dzień otoczyła polską osadę Majdan koło Soszyczna. W ciągu kilku godzin w okrutny sposób zostało zamordowanych 139 osób. Krew płynęła drogą, a krzyk katowanych i mordowanych ludzi roznosił się po lesie... Ci, co zostali w porę ostrzeżeni i zdołali ocalić życie, do końca swoich dni będą rozpamiętywać tamtą tragedię... Powinnością naszą – potomnych – jest pamiętać wszystko: i nazwiska pomordowanych, i to, jaki piękny był tamten świat...»

Celem publikacji jest pokazanie piękna tej utraconej kresowej atlantydy, ludzi, którzy zamieszkiwali tę naszą ziemię, rodzili się, kochali i umierali .

Red. »»»

SYLWETKA AUTORA WSPOMNIEŃ

Józef Kozakiewicz, urodzony 15.09.1920 roku w gajówce Hucnia na Polesiu, wnuk Michaliny i Onufrego, syn Piotra i Józefy z domu Paszkowska. Dziadek Onufry był powstańcem styczniowym, jednym z założycieli osady Majdan koło Soszyczna w powiecie Kamień Koszyrski. Ojciec Piotr, już urodzony w Majdanie, został gajowym w lasach hrabiny Marii Bocheńskiej, dobrodziejki Kozakiewiczów, która doceniając ich pracowitość i uczciwość, umożliwiała rozbudowę gospodarstw oraz korzystanie z darów lasu. Pomoc hrabiny była wielką podporą dla dość licznej rodziny Piotra i Józefy, gdyż po kolei na świat przychodziły dzieci: Weronika, Stanisława, Wacław, Leon, Leokadia, Jan i najmłodszy Józef, którego chrzestną matką została właśnie pani Bocheńska.

Dzieciństwo Józefa upłynęło w otoczeniu licznych krewnych, bowiem mieszkańcy Majdanu, wsi dziadków i rodziców, poprzez zawierane między sobą związki małżeńskie, stali się z czasem jedną wielką rodziną. Z racji niedalekich odległości między Majdanem, Hucnią, Czerwiszczami, Pniewnem i Kamieniem Koszyrskim krewni często się odwiedzali. Najmłodszy Józef rósł w atmosferze dostatku, chodził do kolejnych szkół, (co w tamtych czasach nie było takie oczywiste), rodzinie niczego nie brakowało. Wszystkie dzieci wychowane zostały w patriotycznym duchu umiłowania polskości i ojczyzny, szacunku do komendanta Piłsudskiego (w rodzinie było wielu Piłsudczyków i osadników wojskowych). Starsi bracia Józefa należeli do Związku Strzeleckiego, zaś on sam zgłosił się na ochotnika do wojska z rocznikiem o 2 lata starszym.

Szczęśliwe życie na Polesiu skończyło się wraz z wybuchem II wojny. Rodzeństwo Józefa znalazło się na froncie, tylko on z bratem pozostał tymczasowo z rodzicami. W mroźnym dniu 10 lutego 1940r. Józefa i Piotr Kozakiewiczowie z synami Leonem i Józefem na zawsze opuścili swój dom. Razem z tysiącami polskich osadników zostali zesłani na Syberię. Deportowano ich do specposiołka Siennoj w rejonie karpogorskim położonym w dalekim obwodzie archangielskim.

W krótkim czasie dwaj młodzi bracia, dotychczas żyjący prawie beztrosko, musieli stać się opiekunami i żywicielami swoich rodziców, którzy nie mieli dostatecznie dużo sił i zdrowia, by od świtu do nocy katorżniczo pracować w tajdze przy wyrębie lasów.

W specposiołku Siennoj los Kozakiewiczów splątał się z losem Szalatych i Darowskich. Józef bardzo zaprzyjaźnił się ze swoim rówieśnikiem Wiktorem Szalatym, z którym przepracował wiele miesięcy w srogiej tajdze i przemierzył «o głodzie i chłodzie» wiele kilometrów z posiołka do pracy i z powrotem, brnąc w śnieżnych zaspach. A była to praca w strasznym systemie, przekraczająca możliwości nawet młodych mężczyzn, a co dopiero starszych ludzi. Pomimo nieludzkich warunków, wykańczających mrozów i wiecznego głodu, Polacy deportowani na Syberię starali się zachować honor i namiastkę normalności. Jedna myśl trzymała ich przy życiu: że wrócą kiedyś do Polski.

Kiedy w 1941r. generał Anders tworzył armię polską, Karol Darowski, przedwojenny żołnierz i sąsiad z Czerwiszcz, a w Siennym towarzysz niedoli, który jednak zawsze podtrzymywał na duchu młodych Polaków, zaczął organizować potajemne spotkania w barakach. Tłumaczył, że obowiązkiem każdego jest dołączyć do armii polskiej. Była to też jedyna sposobność, by opuścić Syberię. Niczego nie obiecywał, ale młodzi Polacy sami wiedzieli, co jest ich patriotyczną powinnością. Józef i Leon wraz z innymi ochotnikami udali się w długą drogę do punktów formowania wojska. Nigdy więcej nie zobaczyli rodziców. Piotr Kozakiewicz umarł w 1944r. w Archangielsku, podczas opuszczania Syberii, Józefa przeżyła zesłanie i po wojnie wróciła do Polski, ale na skutek strasznych lat niedoli zmarła w styczniu 1947r.

W wyniku zawirowań w drodze do punktów formowania armii bracia zostali rozdzieleni. Józef dotarł do Armii Andersa, zaś Leon zasilił szeregi odważnych żołnierzy generała Maczka. Leon po wojnie nie wrócił do Polski będącej pod rządami komunistów, do końca życia mieszkał w Niemczech.

Józef Kozakiewicz odważnie spełnił swój patriotyczny obowiązek względem ojczyzny. W ramach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie służył w I Pułku Ułanów Krechowieckich wchodzących w skład 2. Samodzielnej Brygady Pancernej. Walczył dzielnie pod Ankoną, w natarciu na Bolonię, oraz brał udział w strasznej bitwie o Monte Cassino, gdzie zginęło wielu jego towarzyszy broni. Za swe zasługi, mając zaledwie 25 lat, został odznaczony: «Krzyżem Walecznych», medalem «Polska Swemu Obrońcy» oraz odznaką «Za rany».

Po zakończeniu stacjonowania Armii Andersa we Włoszech i Anglii, w lipcu 1947r., Józef powrócił do kraju i natychmiast zaczął poszukiwania rozproszonej rodziny. Wkrótce szczęśliwie się ożenił, przyszły na świat dzieci. Mieszkał pod Warszawą, potem na tzw. Ziemiach Odzyskanych, by w końcu znów przenieść się na stałe do Warszawy. Cały czas pracował zawodowo i pełnił odpowiedzialne funkcje.

Dopiero będąc na emeryturze, Józef Kozakiewicz miał czas, by przelać na papier swoje wspomnienia i przemyślenia. Szczególnie chodziło mu o zatrzymanie na zawsze obrazów z krainy szczęśliwego dzieciństwa. Nie chciał, by świat Polesia odszedł wraz z nim. Poświęcił kilka lat na spisanie opowieści o życiu, obyczajach, klimacie i historii życia tych, których znał i o których nigdy nie zapomniał. Jako starszy człowiek przyznał się, że podczas wojennej tułaczki nie było ani jednego dnia, w którym by nie tęsknił za domem rodzinnym...

Józef Kozakiewicz zmarł w Warszawie 12.06.2009 roku. Pochowany jest niedaleko swojej mamy, na zabytkowym cmentarzu w Piasecznie.

MAŁGORZATA STELMASZCZYK

MAJDAN NA POLESIU PRZED I WOJNĄ ŚWIATOWĄ

Ze wspomnień Józefa Kozakiewicza

Jestem przekonany, że każdy kto przystąpi do odsłaniania prawdy o Majdanie i majdaniakach, zrozumie, iż miejscowość ta i jej społeczność są zjawiskiem unikatowym. Podobnego środowiska społeczności wiejskiej nigdy i nigdzie nie spotkałem. Samorodnie kształtująca się mentalność majdaniaków w tym malutkim zabitym deskami światku odznaczała się samodzielnością, pracowitością i wytrwałością, uczciwością, wrażliwością, gościnnością i solidarnością.

Zjawisk pijaństwa, nieróbstwa, złodziejstwa czy chuligaństwa na Majdanie nie spotkano. Pod tym względem Majdan zapisał się chlubną kartą swych dziejów. Tak za czasów Rosji carskiej, jak i w okresie Polski międzywojennej, nie było ani jednego majdaniaka, który siedział w więzieniu za przestępstwa kryminalne. To też może dzięki temu do dnia dzisiejszego nie znam przypadku, aby któryś z potomków majdańskich był karany lub odbywał karę więzienia. Mieszkańcy Majdanu nie instalowali specjalnych zamków lub zasuw do drzwi wejściowych w mieszkaniu. Stąd mieszkania zawsze stały otworem nawet wtedy, kiedy wszyscy domownicy wychodzili do pracy w polu. Rzadko kiedy i tylko niektórzy stosowali zamknięcie drzwi haczykiem od zewnętrznej strony, dając w ten sposób znak, że nie ma nikogo w domu. W innych obiektach gospodarskich zamków zabezpieczających przed niepowołanymi osobami nie stosowano. Ukraińcy z pobliskich wiosek zachowywali się w stosunku do majdaniaków również poprawnie. Wieś Majdan i okoliczne wsie ukraińskie żyły ze sobą w zgodzie i dobrosąsiedzkich stosunkach. Tylko raz, w czasie pierwszej wojny światowej, zdarzył się przypadek kradzieży dojrzałego prosa na polu u Grzegorza Rubinowskiego, który w porze nocnej przyłapał Ukraińca – złodzieja ścinającego kłosy. Wywiązała się między nimi walka, w której Grzegorz Rubinowski zginął, gdyż podcięto mu gardło sierpem. Sprawcą tego mordu był mieszkaniec wsi Karasin. Wytropiono go przy pomocy psa policyjnego, został on pojmany przez żandarmów niemieckich. W czasie wojny region ten był okupowany przez Niemców. Tylko nie wiadomo, jaką karę »»»

»»» poniósł ów przestępca. W każdym razie ten tragiczny w skutkach przypadek nie wpłynął na zakłócenie dobrego współżycia majdaniaków z Ukraińcami do ostatnich dni istnienia Majdanu. Prócz jednej rodziny –Jankewów – pochodzenia niemieckiego oraz jednej rodziny żydowskiej, wszyscy majdaniacy byli wyznania rzymskokatolickiego. A przy tym byli ludźmi bardziej wierzącymi niż praktykującymi. Polegało to na tym, iż wyznawali zasadę, że wystarczy raz w roku, około Wielkiej Nocy, odbyć spowiedź i przyjąć komunię świętą. Takie założenia w zakresie ich religijności były podyktowane dużą odległością, która dzieliła Majdan od kościoła parafialnego. Kościół parafialny znajdował się w Kamieniu Koszyrskim (25 km od Majdanu). Zbudowany został przez hrabiostwo Potockich przy udziale innych tamtejszych dziedziców dworskich dopiero w ostatnim ćwierćwieczu dziewiętnastego stulecia. Nic w tym dziwnego, że majdaniacy bardzo rzadko uczęszczali do kościoła na nabożeństwa. Uczestnictwo swoje w nabożeństwach zawdzięczali nadarzającym się okazjom, jak chrzest, ślub, odpust a nawet pogrzeb. Wyruszała wtedy większa liczba osób jadących w orszaku wozów konnych. W porze letniej, szczególnie w dniu Zielonych Świąt, młodzież grupowo szła pieszo do kościoła na nabożeństwo i raz na kilka lat na tzw. odpusty organizowane przez kościół z udziałem biskupa. Z wiadomych względów częstotliwość udziału w nabożeństwach kościelnych majdaniaków była bardzo niska, od jednego do trzech razy w roku, a spośród osób starszych nawet tylko jeden raz na kilka lat. Letnią porą, od czasu do czasu, organizowano modły bez udziału księdza przy krzyżu stojącym w środku wsi. Wszystkie nabożeństwa kościelne i modły pozakościelne organizowane przez Polaków w obrządku rzymskokatolickim były niezbyt przychylnie tolerowane przez miejscowe władze Rosji carskiej. Tylko dzięki ustnym przekazom wiara religijna przetrwała i utrzymała się z pokolenia na pokolenie przez wiele dziesiątków lat. Przeważnie była w tym zasługa matek majdańskich, które konsekwentnie uczyły swoje dzieci podstawowej modlitwy aż do pamięciowego jej opanowania, polegającej na odmawianiu rano i wieczorem: «Ojcze nasz...», «Zdrowaś Mario...», «Wierzę w Boga Ojca...» i Dziesięć Przykazań Bożych. Ponadto z okazji zbiorowych modłów organizowanych we wsi majdaniacy odmawiali chórem za osobą czytającą na głos z książeczki do nabożeństwa litanie, które było przeplatane śpiewaniem pieśni religijnych. Po przyłączeniu Polesia do Polski okresu międzywojennego Majdan, pod względem narosłych praktyk religijnych u jego mieszkańców, niewiele się zmienił. Zbudowany został nowy kościół w miejscowości Hołobki w odległości 20 km od Majdanu, a więc 5 km bliżej niż do Kamienia Koszyrskiego. Mimo to majdaniacy nie uczęszczali do kościoła w Hołobkach, woleli odwiedzać swój tradycyjny stary kościół. Poza tym majdaniacy założyli obok wsi wreszcie swój miejscowy cmentarz, toteż odpadł im obowiązek wożenia zmarłych dla pochówku na cmentarz nieopodal kościoła w Kamieniu Koszyrskim. Samodzielność mieszkańców Majdanu dawała o sobie znać nie tylko w sprawach natury gospodarczej. Ich samodzielność wyrażała się również w obrzędach pogrzebowych. Zmarłych chowano na miejscowym cmentarzu przeważnie z pominięciem kościoła i bez udziału księdza. Od dwóch do trzech dni odprawiano grupowe modły w mieszkaniu zmarłego. Następnie odbywało się wyprowadzenie zwłok z domu zmarłego i gromadnie, z pieśniami religijnymi, odprowadzano na cmentarz. Tu znów gremialnie odmawiano pacierz i odpowiednie litanie za duszę zmarłego, po czym spuszczano trumnę w głąb dołu. Trwałych pomników na cmentarzu nie stawiano, robiono nasyp tylko z ziemi, w postaci prostokątnego kopczyka z drewnianym krzyżem. Na bliższe skomentowanie faktów pomijania kościoła i księdza w czasie pogrzebów nie mogę się pokusić, ponieważ nie są mi znane przyczyny, które dyktowały tego rodzaju postępowanie. Być może miała na to swój przemożny wpływ odległość dzieląca Majdan od kościoła, a przy tym mogły odgrywać swoją rolę również sprawy natury ekonomicznej. W omawianym okresie (1920-1939), jeden raz w roku, przyjeżdżał do Majdanu ksiądz z Kamienia Koszyrskiego. Udzielał on majdaniakom rekolekcji; mieli również możliwość przystąpienia do spowiedzi i komunii świętej. W ten sposób kościół parafialny poczynił duże udogodnienie dla majdaniaków. Nie musieli udawać się w daleką drogę do kościoła, by spełnić powinności duchowe. Obok gorliwości w wierze religijnej, wypada ujawnić, że majdaniacy nadzwyczaj mocno byli przesiąknięci zabobonami i przesądami, szczególnie w środowisku kobiecym. Tego rodzaju wiarę też przekazywano z pokolenia na pokolenie w formie bajek, które były jednak opowiadane na serio i tak były odbierane przez słuchaczy. Nie znaczy to, że tylko Majdan był ośrodkiem, z którego na obszar omawianego regionu promieniowały wierzenia zabobonno-przesądne. Wprost przeciwnie, tego rodzaju przekonania w społeczeństwie miejscowych potomków Drewlan ukraińsko-polskich emanowały na

rodzącą się mentalność u majdaniaków. Szczególnie obficie została skażona wiernością w zabobon i przesąd mentalność pokoleń majdańskich urodzonych przed 1920 rokiem, za czasów Rosji carskiej. Podmiotem tych wierzeń były zawsze nieziemskie, wyimaginowane siły nadprzyrodzone, jak diabeł i związane z tym czary, uroki, które rzekomo czynnie napastowały człowieka, aby go opanować i czym prędzej unieszczęśliwić pod jakimkolwiek względem. A oto kilka przykładów praktyk, które wyrażały tego rodzaju przekonania. Człowieka mniej lub bardziej chorego na zaburzenia psychiczne uważano za osobnika opętanego przez diabła (czorta). Mój wujek Bronisław Paszkowski ciężko ranny, z utratą jednego oka, podczas pierwszej wojny światowej, po bardzo długim pobycie w szpitalu wrócił do domu i spotkał na podwórku swoją żonę Marcelinę, która przeżegnała się i ociągała z powitaniem męża, podejrzewając, iż jest on wcieleniem diabła, gdyż ona i wszyscy majdaniacy uważali go już za nieżyjącego. Podczas zbliżającej się burzy miotającej piorunami wynoszono z domu na podwórko łopatę do chleba i pogrzebacz (kociuba) o trzonkach dwumetrowej długości i ustawiano na kształt krzyża, opierając je o płot lub ścianę domu. Uważano, iż ma to wpływ na rozpędzenie lub odwrócenie burzy, która była utożsamiana z nieczystą siłą diabelską. Krążyły opowiadania o obłożnie chorej pannie, która na wszelki wypadek przechowywała pod poduszka troszeczkę zwykłego mchu i gałązkę drzewa tui. Pewnej nocy o godzinie dwudziestej czwartej, kiedy wszyscy domownicy już spali, zjawił się przy chorej diabeł, który chciał zabrać jej duszę, ale panna dla swej obrony wydostała spod poduszki mech oraz tuję i trzymała je w ręku. Diabeł zareagował zniknięciem, mówiąc, że gdyby nie mech i tuja, byłaby jego. Treść tego rodzaju opowiadań, o rzekomo autentycznych zdarzeniach, potęgowały wiarę w istnienie diabelskiej napastliwości, a przy tym wskazywały wielorakie formy obrony. Prawie w każdej wsi na Polesiu była wypatrzona przez miejscowych mieszkańców czarownica, która rzucała uroki dotyczące różnych dziedzin życia wiejskiego. Majdan również miał swoją miejscową czarownicę, była nią kobieta w starszym wieku. Najczęściej stawiano jej zarzuty, że jest ona sprawczynią odbierania krowom mleka, czyli zmniejszania ich mleczności. Dla zapobieżenia tego rodzaju uroku praktycznie stosowano następujący zabieg. Po każdym wycieleniu się krowy pierwszy wydój mleka (siary), przelewając z jednego do drugiego naczynia, lano jego strumień na ostrze noża kuchennego. Osoby wierzące w czarodziejskie moce, aby ustrzec się przed nimi, po spotkaniu urokliwej czarodziejki spluwały dyskretnie trzy razy ponad ramionami do tyłu za siebie. W porze wiosennej, po usłyszeniu pierwszy raz głosu kukułki, należało mieć przy sobie pieniądze, w przeciwnym razie dana osoba będzie żyć biednie i nieszczęśliwie cały rok, aż do następnej wiosny. Z chwilą usłyszenia po raz pierwszy w danym roku grzmotu z wyładowań atmosferycznych należało fiknąć przez głowę trzy razy koziołka. Miało to zapobiegać bólom w krzyżach i plecach. Noworodkowi przed ukończeniem roku życia nie obcinano paznokci nożyczkami, gdyż były one zastępowane zębami matki. Osobiście widziałem Ukrainkę w średnim wieku, która obcinając nożycami paznokcie u swoich rąk, chowała każdy ucięty pazurek za pazuchę. Tylko nie wiem, jaki przesąd nakazywał takie postępowanie. Osoby głęboko wierzące w przesądy często ulegały halucynacjom, przeważnie słuchowym i wzrokowym. Stąd też krążyły od czasu do czasu wieści, że ten czy ów człowiek, który zmarł i został pochowany, przychodzi w nocy do swojego byłego mieszkania lub innych pomieszczeń gospodarskich i straszy domowników «swoją obecnością». Przedstawione przykłady o przesądach tkwiących w mentalności majdaniaków i w ogóle na Polesiu stanowią zaledwie ich cząstkę, którą można porównać do wierzchołka góry lodowej dryfującej po oceanie. Udało mi się wymienić tylko tyle przykładów, ile mogłem wysupłać ze swojej pamięci. Polskość wsi majdańskiej wynikała przede wszystkim z mowy jej mieszkańców, ponieważ od założenia Majdanu posługiwali się oni na co dzień językiem polskim. Język ten z uwagi na wypaczenia i jego specyficzną formę, można nazwać mową polsko-majdańską. Na wynik «umajdawienia» języka polskiego miały wpływ wielorakie przyczyny. A więc po pierwsze – społeczność majdańska była zlepkiem ludzi pochodzących z różnych regionów polskich. Po drugie – Majdan przeżył czterdziestoletni okres rusyfikacji. Po trzecie – wpływ dialektycznego języka ukraińskiego (ukraińsko-chachłacki, potomków Drewlan, którym posługiwali się Ukraińcy okolicznych wiosek). Po czwarte – absolutny brak szkoły polskiej w pierwszym czterdziestoleciu istnienia Majdanu. Co prawda byli i tacy wśród mieszkańców Majdanu, którzy podejmowali tajne nauczanie pisania i czytania w języku polskim, ale w stosunku do potrzeb była to kropla w morzu. Górowało przeświadczenie, że szkoła nie daje chleba. Stąd już siedmio – i ośmioletnie dzieci były zatrudniane w różnych pracach i zajęciach gospodarskich. Na »»»

»»» Majdanie nie było szkoły rosyjskiej, nie było również ustawowego przymusu posyłania dzieci do szkoły. Miejscowości, w których istniały szkoły rosyjskie, były położone daleko od Majdanu. Tak więc majdaniacy kilka dziesiątków lat kisili się w analfabetyzmie. Bukiecikiem analfabetyzmu była ich polskomajdańska mowa potoczna używana na co dzień. I oto ona w całej krasie: Czy będziesz dobrzy uczyści w szkoli – czy się będziesz dobrze uczył w szkole. Ciń dobry ciotku i d`iat`ku – dzień dobry cіociu i stryjku. Poszłu nas dwóch i zjedli my śniadańni u Marysi Ja ni będę chodzić tu du przodu, tu du tyłu, – ja nie będę chodzić to do przodu to do tyłu.

My skulegu burukalisi – my z kolegą mocowaliśmy się w zapasach. Oni bedu spiwać ładny piosenki – oni będą śpiewać ładne piosenki. Słońcy bardu grzei – słońce bardzo grzeje. Żyp un żupiru tera ruszuł w drogi łup wygrał – żeby on dopiero teraz wyruszył w drogę, to by wygrał. Ja stwoju córku nieużenisi – ja z twoją córką nie ożenię się. Nam polowań ni nieudałusi – nam polowanie nie udało się. Twoju łonku ktoś wykosił – twoją łąkę ktoś wykosił. Poszyt Marek na jarmarek, kupiuł sobi małyj zygaryk – poszedł Marek na jarmarek, kupił sobie mały zegarek. Ja skruś chodził po lesi i grzybów ninalas – ja wszędzie chodziłem po lesie i grzybów nie znalazłem.

Dla uwypuklenia dialektyzmu zakorzenionego w mowie majdaniaków wybrałem najbardziej skrajne przypadki uproszczonego fonetycznie brzmienia poszczególnych wyrazów. Wypada przy tym dodać, że nie wszyscy w stu procentach byli takimi skrajnymi «artystami» w łamaniu i upraszczaniu rodzimego języka. Ale jednocześnie trzeba zaznaczyć, że nie było wśród majdaniaków ani jednej osoby, która by posługiwała się językiem literackim. Jak to zwykle na wsi bywa podczas rozmów, jedni mniej, drudzy bardziej kaleczyli mowę polską. Podziwu godny jest fakt, że społeczność majdańska, mimo piętrzących się przeciwności na drodze jej rozwoju, nie poddała się ani rusyfikacji, ani rusofilskiej kulturze, pozostawała do końca rdzennie polskim narodem, z własną gwarą i swoimi tradycjami. Majdan tkwił na uboczu, bez dopływu jakichkolwiek pierwiastków kultury polskiej z zewnątrz, mimo że był podporządkowany władzom rosyjskim, rządził się własnymi prawami zwyczajowymi. Okoliczne polsko-ziemiańskie folwarki w Soszycznie, Karpiłówce, Zaprudziu i Werchach zdominowane «duszami» ukraińskimi, nie stanowiły dla majdaniaków ośrodków kulturotwórczych. Było raczej odwrotnie, gdyż nieliczni Polacy zatrudnieni w tych folwarkach byli bardziej narażeni na wynarodowienie niż majdaniacy. Właściciele folwarku, Potoccy lub ich dziedziczni spadkobiercy, stanowili warstwę społeczną, która była hermetycznie zamkniętym w sobie gronem Polaków stroniących od jednych i drugich, tak zwanych niższych warstw społecznych. Stąd też majdaniacy chcąc nie chcąc, musieli pozostawać sami ze sobą, zdani na łaskę i niełaskę swego losu. Na jakiekolwiek rozrywki nie mieli zbyt wiele czasu. Musiało im wystarczyć udawanie się od czasu do czasu do kościoła na odpusty lub inne nabożeństwa. Pewną dozę przeżyć kulturalnych dawały im zabawy taneczne. Zabawy takie były organizowane w mieszkaniach prywatnych przy udziale jednego domorosłego i miejscowego muzykanta, który tyrlikał na skrzypeczkach i drugiego wtórującego mu na malutkim bębenku. W pierwszym czterdziestoleciu istnienia Majdanu głównym tańcem na zabawach był mazur tańczony na różne sposoby. Uważam, że niektórzy majdaniacy byli w prostej linii potomkami Mazowszan i Mazurów. Ponadto na zabawach grano i tańczono polki, oberki i walce. Z powodu braku świetlicy na wsi majdaniacy grupami organizowali schadzki na wieczorynki. Starsi zabawiali się grą w karty, w tak zwanego durnia, woza i sześćdziesiąt sześć, opowiadali różne anegdotki, bajki, baśnie. Młodzież organizowała grę w loterię fantową, przy której kawalerka zdobywała całusy od wybranych przez siebie dziewczyn, ale tylko wtedy, kiedy padała prawidłowa odpowiedź na zadane pytanie. W przeciwnym razie musiał zaśpiewać jakąś piosenkę lub odbyć inną wymierzoną karę, jak na przykład obiegnięcie trzykroć mieszkania, w którym odbywa się wieczorynka lub odśpiewaniem koguciego kukuryku, siedząc pod stołem. Oczywiście kary były wyznaczane stosownie do osobowości i kondycji umysłowej danego delikwenta. Poza tym na omawianych wieczorynkach śpiewano piosenki o motywie i zabarwieniu romantycznym. Zapamiętałem tylko urywki kilku starodawnych majdańskich piosenek, które od czasu do czasu były nucone przez moich rodziców, a mianowicie: Hej, przeleciał ptaszek w kalinowy lasek i tu przy mnie stoi mój kochany Jasiek… W ciemnym lasku ptaszek śpiewa, w ciemnym lasku ptaszek śpiewa, tak Kasieńka trawkę zbiera. Nazbierała, nawiązała, nazbierała, nawiązała, jeszcze Jasia zawołała. Chodź mi Jasiu, trawkę zadaj, chodź mi Jasiu, trawkę zadaj, tylko do mnie nie gadaj. Jeszcze trawka nie zadana, jeszcze trawka nie zadana, a już Kasieńka obgadana. Obgadana i obśmiana, że w Jasieńku zakochana… Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną, ty zakwitniesz różą, ty

zakwitniesz różą a ja kaliną… Wygnałam wołki na bukowinę, pasłam je pasłam, aż pogubiłam, cóż ja nieszczęsna będę robiła i chodzę i płaczę, gdzie ja swoje siwe wołki zobaczę… Rodzicom podczas przypływu pogodnego nastroju i lepszego humoru zapewne przychodziły na myśl ich dawne młodzieńcze lata, spędzone w gronie majdaniaków. Bywały również okazje szczególne przy kielichu, kiedy mężczyźni, którzy odbyli służbę wojskową w armii rosyjskiej, a czasem z udziałem w wojnie japońskiej czy krymskiej intonowali piosenki wojskowe w języku rosyjskim, jak np. Nasz baraban gromko biot, nasza rota strojno idiot. Nasze chatki biełyje pałatki (namioty), naszie siostri szaszu (szable) ostrije… Oj, nie spieca nie driemicea i son mienia bie bieriot, paszołby ja diewczonki no sam nie znaju gdie żiwiot… Czasami śpiewano dla żartów sprośne piosenki ukraińskie, np. Hej, tam w polu żenci żniat, a popid horoju, jarom, dołynoju Kozaki idut, po pieredi zahajdacznyj prodaw swoju żinku za titiun za lulku (za tytoń i fifkę) neobacznyj… U susieda chata biła, u susieda żinka myła… I inne, których z braku odwagi nie mogę powtórzyć. Wypada zaznaczyć, że namiastka kultury w formie nabożeństw kościelnych, zabobonów i przesądów, sporadycznych i większych zabaw tanecznych, wieczorowych schadzek to jakby preludium do oblicza wiejskiej rzeczywistości gospodarczej Majdanu. Cała gospodarka majdańska była oparta li tylko na uprawie ziemi, hodowli bydła i owiec oraz na rękodzielnictwie dla własnych potrzeb. Do uprawianych zbóż należały głównie: żyto, proso i gryka; z roślin okopowych ziemniaki i brukiew, a roślin warzywnych kapusta, ogórki, dynie, marchew, cebula i czosnek, zaś pomidory zaczęto uprawiać dopiero w latach trzydziestych, ponadto uprawiano dość dużo konopi i lnu. Z uwagi na duże obszary pastwisk (serwitut) i łąk prowadzono na dość szeroką skalę hodowlę bydła i owiec. Hodowano również trzodę chlewną (słoninowo-mięsną), lecz raczej dla skromnych potrzeb własnych danej rodziny. Drzew owocowych nie uprawiano. Większość gospodarstw posiadało w zagrodach koło domu kilka różnych drzew owocowych tylko na własne potrzeby. Technologia uprawy gleby była bardzo prosta. Orka odbywała się przy pomocy drewnianej sochy, którą dopiero w latach trzydziestych zaczął wypierać pług żelazny jednoskibowy. Do bronowania uprawnej ziemi używano samodziałowych bron wykonanych z drewna. Siłę pociągową przy uprawie roli stanowiły woły lub krowy, które w latach trzydziestych zaczęto powoli zastępować końmi. Urodziłem się w 1920 roku i pamiętam, że widziałem człowieka jeszcze orzącego sochą i dwie krowy, zaprzęgnięte w drewniane jarzmo. Przez cały okres istnienia Majdanu nasiona zbóż i innych roślin wysiewano ręcznie z płachty, chodząc wzdłuż zagonów na piechotę. Żniwa odbywały się tylko przy pomocy sierpa, zaś ziemniaki wykopywano motykami, a konopie i len wyrywano ręcznie z korzeniami i wiązano w małe snopki. Omłotu zbóż dokonywano cepami na klepisku w stodole. Nasiona z prosa i lnu wygniatano również na klepisku w stodole bosymi stopami. Młockarnie poruszane kieratem konnym zaczęto stosować przy omłotach na szerszą skalę dopiero w latach trzydziestych. Przemiał zboża na mąkę razową odbywał się na prymitywnych żarnach poruszanych ręcznie i stosowany był parę dziesiątków lat do czasu uruchomienia młyna w Werchach. Przed świętami Bożego Narodzenia i Świętami Wielkanocnymi wożono zboże na przemiał do Mielnicy, miejscowości położonej ponad 40 km od Majdanu. Chodziło przede wszystkim o pozyskanie tak zwanej mąki białej do wypieku jaśniejszego chleba oraz wypieku ciast na okresy świąteczne. Mąkę pszenną nazywaną pytlowaną rzadko kto i kiedy kupował na święta, chyba tylko czasami niektórzy z okazji urządzanego wesela. Technologia pozbawiania łusek z ziaren prosa, by otrzymać kaszę jaglaną była bardzo prymitywna i pracochłonna. Do tego służyły urządzenia w postaci tak zwanej stępy i stępora. Stępa to wydrążony otwór w grubym i twardym klocu drewna o długości ok. jednego metra i średnicy ok. pół metra. Otwór ten stopniowo zwężał się ku dołowi stojącego kloca aż do jego dna, zupełnie tak samo jak w zwykłym szklanym kieliszku. Obróbka zewnętrzna kloca nadawała omawianej stępie z wyglądu kształt ogromnego kielicha. Natomiast stępor to dużych rozmiarów wałek – tłuczek o długości 1,2 metra kończący się owalnie zgrubioną buławą o średnicy około 10 cm. Urządzenie takie było zupełnie podobne do dzisiejszego moździerza kuchennego, który w stosunku do stępy i stępora różni się swoimi miniaturowymi wymiarami. Zatem, aby pozbyć się łusek z ziarna prosa, najpierw suszono je w piecu chlebowym, następnie umieszczano na dnie stępy w ilości od dwóch do czterech kilogramów, po czym trzymając oburącz stępor w pozycji pionowej, wahadłowo unosząc w górę, a następnie opuszczając z przyciskiem w dół, tłoczono stęporem w dno stępy ziarna prosa aż do skutku pozyskania kaszy jaglanej. Jednorazowa porcja takiej obróbki wymagała od dwóch do czterech godzin pracy wykonywanej na zmianę przez 2-3 osoby. »»»

»»» Dopiero w latach trzydziestych zaczęto stosować obróbkę ziaren prosa poprzez uciekanie się do młynów. Trzeba jednak przyznać, że kasza jaglana po obróbce z młyna i stępy różniły się pod względem smaku, te ze stepy były smaczniejsze. Z włóknistej kory łodyg konopi pozyskiwano włókno, z lnu również włókno, a obok tego siemię, z którego wytłaczano w olejarniach olej lniany na własne potrzeby. Do miażdżenia wysuszonych łodyg konopi i lnu używano urządzenia zwanego ternicą, którą konstruowano z twardego drewna grabu w postaci dwóch deszczułek wkomponowanych równolegle w górne końce dwóch słupków stojących w konstrukcji drewnianych kozłów. Na całej długości deszczułki była szpara, w którą zagłębiała się obrobiona trzecia deszczułka umocowana w jednym końcu obrotowo na drewnianym bolcu, zaś drugi jej koniec był zakończony wydłużoną rękojeścią. Na takim oprzyrządowaniu, trzymając w jednym ręku sporą garść łodyg konopi lub lnu i podkładając je między nieruchome deszczułki a trzecią deszczułkę ruchomo trzymana za rękojeść, drugą ręką, którą naciskając wahadłowo z góry w dół, jakby nożycami, łamano paździerze i wyłuskiwano je z włókien. Po otrzymaniu włókna z ternicy poddawano je dalszej obróbce, ponieważ drobniutkie cząsteczki paździerzy pozostawały nadal w środku między włóknami. Do kompletnego pozbycia się drobiazgu paździerzy z włókna trzepano je trzepaczką drewnianą bardzo podobną do zwykłego miecza. Dalsza obróbka włókien, już na przędzę, polegała na długotrwałym gnieceniu ich bosymi stopami na podłodze, a najlepiej na klepisku, do tego stopnia, by duży pęk włókien zmechacił się i zmienił w pakuły do stanu kłaczkowatego puchu. Następnie masę tych kłaków czesano i rozdrabniano z równoczesnym rwaniem długich włókien dla ich skrócenia na bardzo dużym drewnianym grzebieniu zwanym myką, jego długie zęby skierowane były ku górze. Nadziane włókna na dużym grzebieniu, rozczesywano drugim ręcznym grzebieniem z drewna, rwąc je na krótsze włókna, a na koniec przeczesywano i wygładzano dużym pączkiem szczeciny, pochodzącej przeważnie z dzika. W końcowej obróbce włókna nadziane i pozostające w uzębieniu myki miały wygląd wielkiej brody, którą po zdjęciu i odpowiednim złożeniu do przechowywania, nazywano myczką, nadającą się do przędzenia nici. Natomiast włókna lniane w dalszej obróbce przeczesywano na gwoździach gęsto ponabijanych w deszczułkę od spodu o wyglądzie kolczatki, a następnie czesano i wygładzano pękiem twardej szczeciny. Po tych już ostatnich operacjach otrzymywano czyste włókna z konopi lub lnu zwane przędziwem. Skoro jestem przy sprawach włókienniczych trzeba również dodać, że z hodowli owiec pozyskiwano spore ilości wełny. Owce były ręcznie strzyżone dużymi nożycami wykonanymi z blachy stalowej. Po wypraniu i wysuszeniu wełnę oddawano do gręplarni, z której otrzymywano puszyste włókna gotowe do przędzenia nici. Prawie wszystko co było potrzebne w gospodarstwie domowym majdaniaków pochodziło z ich własnego rękodzieła. Z klepek drewna robiono własnoręcznie duże beczki do przechowywania, mniejsze beczułki do kiszenia kapusty i ogórków, przechowywania słoniny i mięsa; balie do kąpieli i prania, beczułeczki na trójnogu do moczenia i ługowania samodziałowej odzieży oraz wiadra do dojenia krów i na wodę. Drążono w drewnie niecki różnej wielkości do zagniatania ciast, oddzielnie do mycia się, koryta i żłoby do nakładania pokarmu dla bydła, koni, owiec, świń i drobiu. Większość majdaniaków w swoim gospodarstwie potrafiło samodzielnie zrobić wóz. W początkowym okresie na osiach drewnianych i kołach bez obręczy metalowej, zaś później na osiach żelaznych i kołach z obręczami, które były już dodatkiem pracy postronnego kowala, ponieważ takiego w samym Majdanie nigdy nie było. Potrafili również sami zmajstrować sanie na własne potrzeby gospodarskie, a płozy do nich były wykonywane z drewna grabu. Prawie każdy gospodarz miał w pobliżu domu studnię wykonaną sposobem gospodarczym. Za wykładzinę ścianek wewnątrz studni służyły ociosane klocki dębowe lub deski. Czerpanie wody ze studni odbywało się przy pomocy wiadra zawieszonego na haku z sęka lub gwoździa wbitego przy jednym końcu długiej tyczki. Niektórzy do czerpania wody ze studni posiadali tak zwanego żurawia. Większość mebli i innego sprzętu domowego pochodziło z własnego rękodzieła. Szafy, szafeczki, kufry, regały, półki, krzesła, taborety, stołki, łóżka o twardych spodach z desek, wrzeciona drewniane do przędzenia nici, warzochy a nawet łyżki z drewna, którymi posługiwano się przy jedzeniu majdaniacy tworzyli sami na własne potrzeby. Robili te wszystkie rzeczy jakby na kolanie, bez posiadania jakiegoś specjalnego warsztatu, przy użyciu piły poprzecznej i młotka. Poczynając od lat trzydziestych, niektórzy zaczęli stopniowo wyposażać mieszkania w meble pochodzące z zakupu, jak szafy, kufry i krzesła, które przeważnie stanowiły wiano dla młodej pary małżeńskiej. Od tychże lat stopniowo wchodziły do użytku kupowane łyżki aluminiowe do jedzenia, zamiast drewnianych. Jeszcze

w latach dwudziestych majdaniacy ubierali się na co dzień w okrycia (spodnie, spódnice, koszule) pochodzące tylko z tkanin samodziałowych, konopnych i lnianych (zgrzebne) i były szyte ręcznie przez kobiety dla wszystkich domowników. Kaleson i podkoszulek nie noszono, a kobiety okrągły rok – wiosna – lato –jesień – zima – chodziły bez majtek, ale z okryciem na głowie w postaci chustki. Wierzchnie ubrania mniej lub więcej ocieplane stanowiły kurtki o różnej długości. Mężczyźni orali i siali przeważnie żyto lub robili podorywkę, aby przygotować glebę pod zasiewy wiosenne zbóż jarych. Kobiety po wydobyciu badyli konopi i lnu z wody, celem dokładnego ich wysuszenia, rozścielały je na łąkach i ugorach, aby skruszały, a powierzchniowe włókna straciły swoją przylepność do paździerzy. Po niedługim czasie wyschnięte i skruszałe badyle zbierały i wiązały w snopki. Następnie zwożono je i składano w suchych miejscach zabudowań pod dachem. Mniej więcej od drugiej dekady miesiąca listopada, z powodu przestawienia zwrotnic, zamierał ruch i praca na polach, natomiast odradzał się w zagrodach i domach majdańskich. Ożywienie to dawało o sobie znać rozlegającym się blekotem, przytłumionym chrzęstem i potrzaskującym szorowaniem w zakątkach zagród gospodarskich. Oczywiście odgłosy te rozlegały się z powodu pracy ternic, którymi kobiety łamały, kruszyły i wytrącały źdźbła paździerzy z włókien konopi i lnu oraz w wyniku trzepania włókien trzepaczkami , przy dalszej obróbce tego materiału przeznaczonego na przędzę. Jednocześnie przy stodołach i w stodołach następował również wzmożony ruch i miarowy łomot cepów, gdyż mężczyźni dokonywali już intensywnego omłotu zbóż. Ze stodół rozlegały się odgłosy jedno-, dwu – i trzytaktowych uderzeń cepami po snopkach młóconego zboża. Z częstotliwości rytmicznych uderzeń można było łatwo rozpoznać, ilu mężczyzn młóci w danej stodole. W przeszłości, mając naście lat, osobiście brałem udział w tego rodzaju pracy i wiem, że najraźniej młóci się w trzy lub cztery cepy. Rozpoczęta praca intensywnych omłotów trwała do mniej więcej przedostatniego tygodnia świąt Bożego Narodzenia. I po około dwutygodniowej przerwie praca ta, już o mniejszym nasileniu, w dalszym ciągu była głównym zajęciem mężczyzn na całą zimę aż do wiosny. Poza tym prócz omłotów w okresie zimy do obowiązków mężczyzn należało karmienie koni, bydła i owiec, zaś karmienie trzody chlewnej i drobiu należało do kobiet. Ponadto mężczyźni, którzy mieli trochę wolnego czasu i nie tylko w zimie, dorywczo pracowali w lasach państwowych albo prywatnych dla zdobycia pieniędzy lub drewna na opał. Od początku omawianego sezonu, przez całą zimę, aż do rozpoczęcia prac wiosennych w polu, kobiety zajmowały się głównie przygotowaniem przędziwa, po czym przędły na wrzecionach z drewna. Na krosnach tkały sukna, ręczniki, płótna na bieliznę, nadając im kwieciste, różnokolorowe desenie oraz robiły na drutach trykotarze: swetry, skarpety, pończochy i rękawice o jednym palcu. Prządki majdańskie przeszły z wrzeciona na przędzenie kołowrotkiem dopiero w latach trzydziestych. I tak lata mijały i zabierały ze sobą wciąż powtarzające się z roku na rok te same troski i trudy majdaniaków. Wyrażało się to między innymi tym, że wśród majdaniaków nie było ani jednej osoby otyłej lub narzekającej na tak zwaną chorobę otyłości. Ale tak samo nie spotykało się tam osób cherlawych. Stąd wnioskować można, że majdaniacy nie po to żyli, żeby jeść, lecz po to jedli, aby żyć. Oczywiście trzeba powiedzieć, że majdaniacy, dla zapewnienia sobie na co dzień żywności, nie zabiegali zbytnio a nawet nie myśleli o wzbogaceniu wiktu jakimiś specjałami czy smakołykami, aby nimi objadać się. Pod tym względem prowadzili również twarde i skromne życie. Odżywiali się prawie wyłącznie tymi artykułami spożywczymi, które były produkowane we własnych gospodarstwach rolnych. Stąd też głównymi produktami do przyrządzania posiłków były: żytnia mąka razowa i gryczana, ziemniaki, kasza jaglana i gryczana, groch i fasola, kapusta i ogórki kiszone, buraki ćwikłowe, mleko, słonina i mięso, masło i ser. Mąka żytnia, wiadomo, to razowy chleb powszedni. Spożywano go na Majdanie bardzo dużo, gdyż wszystkie inne potrawy były do niego jakby dodatkiem. A więc jadano chleb z różnymi zupami, ze słoniną surową, gotowaną lub podsmażoną wraz z tłuszczem, z kiszoną kapustą ukwaszoną olejem lnianym, z ogórkami kiszonymi, ziemniakami, z mlekiem i serem, z masłem i olejem lnianym, z jagodami itp. Ponadto z żytniej mąki razowej smażono bliny, gotowano tak zwane zacierki na mleku a bez mleka z dodatkiem zasmażki słoninowej, dodawano ją do leniwych pierożków z domieszką gotowanych ziemniaków i sera. Taką samą pozycję jak chleb w spożyciu zajmowały ziemniaczki, które były przyrządzane jak chleb w różnej postaci, gotowane bez i z obierkami (w mundurkach), pieczone w piecu chlebowym, w popiele w ognisku na wolnym powietrzu. Spożywano je po ugotowaniu w całości lub gniecione na miazgę (łukmacze) z dodatkiem skwarek i tłuszczu ze słoniny. Poza tym jedzono ziemniaki z chlebem, kapustą i ogórkami kiszonymi, »»»

»»» z bigosem, z mlekiem świeżym i zsiadłym. Czasami jedząc ziemniaki, popijano je tylko sokiem z kiszonych ogórków. Gotowano zupy ziemniaczane, tak zwane bulony, na zasmażce słoninowej z cebulką, ponadto dodawano je do innych potraw i pieczono placki kartoflane. Kasza jaglana zajmowała również miejsce szczególne pod względem ilości jej spożywania. Gotowano z niej tak zwane krupniki, podawano kaszę z gęstym sosem, najpierw z dodatkiem mleka, a następnie z domieszką śmietany lub masła, podpiekano w piecu chlebowym, gdzie po ostatnim już zabiegu kulinarnej sztuki, otrzymywano gęstą masę podobną do tortu. Tego rodzaju specjał przyrządzany był również z kaszy gryczanej, którą także używano do gotowania różnego rodzaju zup z mlekiem i bez mleka, a z mąki gryczanej gotowano zacierki i wypiekano bliny. Kapusta kiszona to prawie nieodłączna strawa, szczególnie do obiadów, przeważnie w postaci barszczu – kapuśniaku z dodatkiem grzybów suszonych i zasmażki. Tego rodzaju barszcz gotowano również na mięsie, boczku lub słoninie. Kapustę kiszoną przyrządzano także na gęsto, przez duszenie jej na tłuszczu do bezpośredniego spożycia lub do pierogów nadziewanych względnie zawijanych i podpiekanych w piecu chlebowym. Buraki ćwikłowe to oczywiście barszcz czerwony podawany do spożycia przeważnie na obiad, ponadto sporządzano z nich sok pitny. Groch spożywano w różnej postaci, poczynając od świeżego, zielonego, a po ugotowaniu jedzono na sucho i w postaci zupy grochowej. A fasola była przeważnie dodatkiem do przyrządzania innych potraw bezpośredniego spożycia. Mięso spożywano w bardzo małych ilościach, jakby przez ostrożność i raczej tylko gotowane. Było zarazem okrasą do zup w postaci wywaru. Niski stan spożycia mięsa wynikał przede wszystkim z niedoboru jego zasobów, który był dyktowany względami natury ekonomicznej poszczególnych gospodarstw majdańskich. Potwierdzały ten stan rzeczy następujące fakty. Przeciętna rodzina majdańska, dla własnego spożycia, ubijała w roku kalendarzowym tylko dwa tuczniki, jednego na Wielkanoc, a drugiego na Boże Narodzenie. Waga tych tuczników prawie zawsze wynosiła ponad dwieście kilogramów. Zatem trzoda chlewna przeznaczona do własnego uboju była tuczona nie na mięso, lecz przede wszystkim dla pozyskania jak największej ilości słoniny, którą dłużej można było przechowywać w stanie nadającym się do spożycia. Ponadto ubijano rocznie po kilka baranów lub owiec i trochę drobiu, ale przeważnie z konieczności, ponieważ zależało bardziej na pozyskaniu skór owczych i pierza niż mięsa. Rodzina majdańska liczyła przeciętnie około ośmiu osób i gdyby każda z nich otrzymywała do spożycia choćby dziesięć dekagramów mięsa dziennie, rocznie spożycie żywca wynosiłoby łącznie około trzystu kilogramów. A więc z tego prostego rachunku wynika, że majdaniacy nie przejadali się ani mięsem, ani słoniną. Sztuki wędzenia mięsa tam nie znano lub nie chciano znać. Zatem przechowywano je w tak zwanych bedniach (beczułeczka z klepek drewnianych) w stanie ugotowanym i pokrojonym na kawałki, które układano dość luźno i zalewano smalcem wytopionym ze słoniny. Tak samo przechowywano słoninę, również w bedniach, lecz jej kawałki surowe układano bardzo ściśle, by przedwcześnie nie zjełczała. Zbyt niskie spożycie mięsa tłumaczy się i tym, że większość hodowanej i tuczonej trzody chlewnej z konieczności przeznaczano na sprzedaż, którą dyktowały względy ekonomiczne gospodarstw. Tak samo nadwyżki bydła, hodowane ponad potrzeby własne (mleko i obornik) z góry przeznaczano na sprzedaż. Wołów czy krów nie ubijano z uwagi na dużą masę mięsa, a jeżeli tak, to tylko z okazji urządzanego wesela albo z konieczności podyktowanej poważnym okaleczeniem bydlęcia lub chorobą rokującą jego padnięcie. Natomiast mleko i jego przetwory były zagospodarowywane tylko dla własnego spożycia, gdyż w samym Majdanie, jak i jego okolicach, nie było punktów skupu z powodu braku mleczarni. Jak wynika z przedstawionych pobieżnie głównych artykułów spożywczych i kulinarnej sztuki w przyrządzaniu pokarmów, majdaniacy odżywiali się skromnie, a ich codzienne posiłki były bardzo zbliżone do jarskich dań. Mimo to, wszystkie składniki pokarmowe były dla majdaniaków jadalne. Jednak nie znaczy to, że były one jednakowo traktowane pod względem ich zapotrzebowania i smaku, skoro krążyły na ten temat przebarwione humorem i sarkazmem powiedzonka: wtedy dostaniesz chleba, jak podskoczysz do nieba; chleb jaczny (jęczmienny) nie smaczny aby był; kartofle czortofle, żeby tak bliny; dostaniesz wtedy masła, kiedy krowa nasra; kasza nasza babcin barszcz, itp. Przyrządzane posiłki podane na stół jedli majdaniacy bardzo prosto i bez żadnych ceregieli. Rodzina zasiadała wokół stołu i spożywała wszelkie potrawy z jednej dużej miski glinianej lub emaliowanej. Przy jedzeniu posługiwano się tylko łyżkami . Do picia mleka świeżego lub zsiadłego, kawy zbożowej i cykorii na mleku słodzonych sacharyną oraz do picia innych płynów używano kubków fajansowych lub blaszanych. Dopiero w latach trzydziestych zaczęto podawać do

nakryć stołowych talerze, widelce, noże, szklanki ze spodkiem i łyżeczki. Ale czym by się nie odżywiali i jakim sposobem, trzeba przyznać, że majdaniacy, za wyjątkiem okresu pierwszej wojny światowej nigdy nie głodowali ani dziadowali i pod względem przyrostu naturalnego bujnie się rozwijali. Przedstawione w ogólnym zarysie obrazy z życia majdaniaków nie mają co prawda wyrazów, które by mogły pobudzać dzisiejszych potomków majdańskich do dumnych refleksji, ale tak samo nie dają one istotnych powodów do ich odbioru ze zbytnim rozczarowaniem. Przecież wiadomo, że sytuacja życia majdaniaków prawie w niczym nie różniła się w porównaniu z trybem życia chłopów na terenach rdzennie polskich, tak w okresie, kiedy Polska była pod rozbiorami, jak i w czasach międzywojennych drugiej Rzeczypospolitej (1920-1939), za wyjątkiem terenów Wielkopolski, gdzie gospodarka wiejska i kultura stały na nieco wyższym poziomie. Na dodatnie konto rodowitych majdaniaków mimo wszystko należy dopisać ich długowieczność, którą się cieszyli, a ci którzy żyją, cieszą się z tego powodu do dzisiaj. Ocalona od zagłady resztka rodowitych majdaniaków przeżyła niewyobrażalną w dzisiejszych czasach gehennę w okresie drugiej wojny światowej, mimo to większość z nich przed swoją śmiercią obchodziła ponad osiemdziesiąt razy datę swych urodzin. Moja siostra stryjeczna, Wiktoria Szlachciuk, którą wymieniłem już poprzednio w swoich wspomnieniach, umarła w marcu 1991 roku, mając 89 lat. Na początku maja tegoż roku postanowiłem policzyć wszystkich rodowitych majdaniaków, którzy na swoim koncie mają już od 70 do ponad 80 lat. Z rachunku tego wynika, jeżeli kogoś nie pominąłem, to jest ich 27. Z tego 13 osób ma już ponad 80 lat życia. Gdzie zatem szukać i w czym tej długowieczności? Moim zdaniem przyczyn było wiele, lecz kojarzą mi się tylko trzy i to chyba zasadnicze. Po pierwsze, na długowieczność osób urodzonych na Majdanie miały niebagatelny wpływ produkty i artykuły żywnościowe oraz kuchnia majdańska i kulinarna sztuka majdanianek, czyli racjonalne odżywianie się. Po drugie, jak już wcześniej napisałem w relacji o Polesiu, zdrowy klimat i niczym nie skażone środowisko naturalne w dobie współczesnej dla majdaniaków. Teraz prawdopodobnie sytuacja na Polesiu pogorszyła się w tym względzie. Po trzecie, selekcja naturalna, której przebieg obejmował głównie niemowlęta i dzieci z powodu braku opieki lekarskiej. Kobiety rodziły u siebie w domu, czasami z pomocą upatrzoną tak zwanej babki, to jest kobiety nieco doświadczonej w sprawach porodowych i pochodzącej z miejscowego środowiska. Toteż w takich warunkach mogły utrzymać się przy życiu tylko najsilniejsze noworodki. Jeden lekarz, choć płatny, z «dyplomem» felczera na kilkanaście wiosek w gminie Soszyczno nie mógł być czynnym strażnikiem zdrowia swoich podopiecznych. A więc majdaniacy przyzwyczaili się i musieli godzić z tym stanem rzeczy, a gdy dziecko zmarło, wzdychając mówili: Bóg dał, Bóg zabrałi nic na to poradzić nie można. W związku z tym ci majdaniacy, którzy w początkach swego życia posiadali silne organizmy, byli i są w wieku dorosłym zdrowi, silni i długowieczni. Z kolei na selekcję naturalną wpływało wiele czynników, które w różnym stopniu decydowały o jej przebiegu wśród majdańskich rodów, rodzin i ich potomków. Były w Majdanie takie rodziny, których omawiana selekcja nie dotknęła. Ale na przykład była i taka rodzina, w której na jedenaście urodzin czworo dzieci zmarło, z tego troje tuż po urodzeniu, a jedna w osiemnastym roku życia. Inaczej pod tym względem przedstawiała się sprawa w rodzinie moich dziadków, Onufrego i Michaliny Kozakiewiczów, gdyż wszystkie ich narodzone dzieci przeżyły swoje dziecinne i młodzieńcze lata, w okresie dojrzałości każdy z nich założył własną rodzinę i przeżył swój wiek w pełni zdrowia, sił i sprawności fizycznej. Stąd wniosek, iż trzech moich stryjów, ciocia i ojciec dziedziczyli genetyczne cechy dziadków. Taki wniosek ma swoje uzależnienie wynikające z domniemań samych majdaniaków, którzy mawiali, jaka mąka taki młyn, jaki ojciec taki syn, jaka matka takaż córka Agatka. Co do babci, można się tylko domyślać, że miała ona bardzo dobre zdrowie. O dobrym zdrowiu dziadka świadczy niepowtarzalny fakt, o którym już nadmieniłem, że czasami w porze zimowej wychodził on z domu na bosaka do swojej pasieki. W takich sytuacjach niekiedy sąsiedzi robili mu psikusy, prowokując go do rozmowy na ulicy, aby przekonać się jak długo może wytrzymać boso na śniegu. Dziadek podobno zatrzymywał się i rozmawiał z nimi, przestępując z nogi na nogę. Jak już wspomniałem, moi dziadkowie powiększyli swoją rodzinę do sześciorga dzieci.

Jak się żyło w Majdanie w dwudziestileciu międzywojennym

Zastosowane różnego rodzaju środki, mozolna praca oraz zapobiegliwość mieszkańców Majdanu, gajówki Hucni i Krasnego Boru spowodowały, że w kilka lat po wojnie ich gospodarstwa zostały odbudowane i wróciły do normalnego stanu. A na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych Majdan pod względem gospodarczym, społecznym, »»»

»»» kulturalnym i bytowym wydźwignął się już na wyższy poziom w porównaniu do czasów przedwojennych. Przy tym wypada dodać, że niebagatelną siłą napędową dla do podnoszenia poziomu życia, pod wymienionymi względami, stanowili osadnicy wojskowi. Oni bowiem choć wywodzili się z tej samej warstwy społecznej stanu rolniczego jak majdaniacy, to jednak, przeważnie jako rdzenni Polacy, przede wszystkim w sposobie bycia i racjonalnego prowadzenia gospodarstw rolnych. Stąd też majdaniacy z biegiem lat mieli gotowe wzory do naśladownictwa podczas odbudowywania swych gospodarstw. Pierwsza dziesięciolatka po wojnie była okresem przechodzenia z gospodarki zacofanej na bardziej nowoczesną w owym czasie. A coraz nowocześniejszy styl pracy i życia wypierał stare, zacofane nawyki, pełnił zarazem kulturę osobistą majdaniaków. Wtenczas Majdan przybrał wygląd prawdziwej wioski, daleko schludniejszy niż wioski ukraińskie. Poszerzyły się granice jego zabudowy, przybyło sporo nowych budynków mieszkalnych i gospodarczych. Toteż Majdan znów tętnił życiem i uporczywą pracą jego mieszkańców, stąd wokół ich siedziby roztaczały się szerokie łany zbóż oraz uprawy innych ziemiopłodów. Ponadto wszystkie majdańskie obory, owczarnie, chlewy, stajnie i kurniki zostały zapełnione żywym inwentarzem. I jak przystało na prawdziwą wieś, wtedy można było znów słyszeć pianie kogutów, porykiwanie krów, bełkot owiec, rechot świń, rżenie koni a na dodatek beztroskie poszczekiwania psów w zagrodach i na pastwiskach. W omawianym dziesięcioleciu został rozwiązany jeszcze jeden bardzo poważny problem wynikający z braku szkoły podstawowej na Majdanie. Problem ten istniał od założenia wsi prawie siedemdziesiąt lat, aż do roku 1922. W tym okresie, będąc pod panowaniem carskiej Rosji, nawet nie marzyli o możliwości powstania oficjalnej szkoły polskiej na Majdanie. Dopiero po wojnie w 1922 roku, w wyniku starań mieszkańców, powstała tam czteroklasowa szkoła podstawowa z jednym nauczycielem etatowym. Początkowo przez kilka lat lekcje odbywały się w prywatnych domach u niektórych mieszkańców Majdanu, którym warunki mieszkaniowe pozwalały wydzielić i użyczyć na określony czas całej izby do dyspozycji nowo organizującej się szkoły dla miejscowych dzieci. Posyłanie dzieci do szkoły podstawowej było obowiązkowe, a w razie niespełnienia tej powinności rodzicom groziły kary. W tej sytuacji nikt na Majdanie nie ważył się zabraniać swym dzieciom, jak to bywało w przeszłości, słowami: «nie pójdziesz do szkoły, bo ona nie da ci chleba». Stąd też dobrowolnie czy pod przymusem wszystkie miejscowe dzieci w wieku szkolnym uczęszczały do swej szkoły. Mimo wszystko ta szkoła nie rozwiązywała do końca problemu oświaty dla młodzieży, gdyż w rezultacie nie dawała pełnego wykształcenia podstawowego. Tymczasem odległość z Majdanu do miejscowości, w której istniały szkoły siedmioklasowe wynosiła 5 km do Werchów i 12 km do Soszyczna. A więc w takiej sytuacji wina leżała po stronie miejscowych rodziców, którzy nie pokusili się do zorganizowania zbiorowego dowozu swych dzieci do wymienionych szkół. Co prawda nie wypada bezwzględnie ich za to winić, ponieważ w swych domniemaniach uważali, że skoro dzieci nauczą się czytać i pisać w miejscowej szkole, to już nic więcej do szczęścia im nie trzeba. Mimo istnienia szkoły, z powodu braku motywacji do zdobywania wiedzy ponad jej program nauczania, zaledwie kilka osób na Majdanie posiadało pełne wykształcenie podstawowe. W każdym razie istniejąca wówczas szkoła, choć nie dawała w pełni wykształcenia podstawowego, to jednak miała zasadniczy wpływ na wydobywanie majdaniaków z wieloletniej ciemnoty umysłowej i zacofanego sposobu życia. Zatem była ona dla społeczności majdańskiej ośrodkiem postępu oraz krzewicielem oświaty i kultury. Za pośrednictwem tej szkoły ucząca się młodzież wyzbywała się typowych dla Majdanu gwary i dialektu, które zaśmiecały polski język narodowy. A po jej ukończeniu dorośli młodzieńcy majdańscy w czasie odbywania służby wojskowej znów mieli sposobność do dalszego przyswajania poprawnej mowy z języka narodowego. A sposobność wynikała z tego, że majdaniacy odbywający służbę wojskową przebywał prawie dwa lata w środowisku braci żołnierskiej pochodzącej z terenów centralnej Polski i posługującej się raczej poprawnie językiem polskim. A więc żołnierz z Majdanu, podczas rozmów w tym środowisku, musiał bardzo dbać o to, by nie wplatać w swe wyrażenia słowne majdańskiej gwary przesyconej dialektem, gdyż w przeciwnym razie byłby wyśmiewany i lekceważony. Na dowód, że takie zjawiska występowały, może posłużyć epizod, chyba nie jeden, jaki przeżył mój najstarszy brat Wacław, podczas odbywania służby wojskowej w latach 1928-1929. Pewnego razu, w czasie wolnym od zajęć, brat będący ze swymi kolegami na sali w koszarach wojskowych zorientował się, iż zapodziała się gdzieś jego szabla ułańska. Przeszukał więc wszystkie kąty sali i jej nie znalazł. Wtedy koledzy przynaglali go, by nadal ją poszukiwał. A on na to zareagował następującymi słowami: «ja skroś szukałem i nie znalazłem». I ta wypowiedź brata, w której znalazł się wyraz «skroś», zamiast

słowa «wszędzie», wywołała burzliwy i gromki śmiech wśród żołnierzy będących na sali. Od tamtego czasu brat na zawsze przestał posługiwać się słowem «skroś», zaczerpniętym z gwary majdańskiej. I tak upływały lata trzydzieste dwudziestego wieku. A więc lata okresu przejściowego, w którym majdaniacy poprawiali swe warunki życiowe pod względem gospodarczym, społecznym i kulturalnym. Toczącym się przemianom w tych dziedzinach życia nie przeszkodził nawet wielki ogólnoświatowy kryzys gospodarczy, który panował w latach 1929-1933. Majdan bowiem w ciągu siedemdziesięciu lat swego istnienia był jakby zamkniętym organizmem trudu rolniczego i zawsze liczył tylko na swe siły. Podczas minionego dziesięciolecia Majdan wybrnął ze swej niedoli podyktowanej wojną oraz ze swego zacofania, które trwało poprzednio długie lata. A zatem już na początku lat trzydziestych stał się nie takim Majdanem, jakim go przedstawiałem w moim wcześniejszym zapisie o jego dziejach w poprzednich dziesięcioleciach. Jednocześnie w tym zapisie wskazywałem co, jak i kiedy zmieniło się w życiu mieszkańców Majdanu na lepsze i od razu odnosiłem to do czasów lat dwudziestych lub trzydziestych. Dlatego teraz, w dalszych moich wspomnieniach, nie będę w szczegółach powtarzać tych informacji, choć mimo wszystko dla przypomnienia być może wypadnie wrócić do ich ogólnego zaakcentowania.

Majdan w latach trzydziestych jako wieś typowo rolnicza już prawie w niczym nie różnił się od innych wiosek istniejących na terenach Polski centralnej. Jego gęsta zabudowa ciągnęła się ponad pół kilometra szerokim pasmem po obu stronach ulicy. Budynki mieszkalne i gospodarcze oraz podwórka z zagrodami miały schludny wygląd. Płaszczyzna ulicy na całej długości Majdanu była nieco podwyższona, a po obu jej stronach istniały kanaliki do odprowadzania wód deszczowych. Panoramę Majdanu ożywiały mieszana zabudowa starymi i nowymi budynkami oraz białe kominy wystające ponad dachy domów mieszkalnych. Obowiązek białkowania kominów wynikał z zarządzenia ówczesnego premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego. Dawniejsze budynki mieszkalne na Majdanie były niskie, wąskie i długie, natomiast nowe budynki od fundamentów w górę miały kształt zbliżony do kwadratu i od tamtych dużo wyższe. Pierwszy taki dom został zbudowany na Majdanie tuż po wojnie, przez brata mojej mamy, Bronisława Paszkowskiego. Toteż inni majdaniacy, którzy budowali mieszkania, czerpali wzory z jego budynku. Podstawowym materiałem w nowym budownictwie było nadal drewno, jako najłatwiej dostępne i stosunkowo najtańsze. Nowe budynki wyróżniały się i tym, że ich elewacje łącznie z narożnikami były całkiem gładkie i wyglądały tak, jakby oszalowane deskami. A więc już wtedy ich wygląd zewnętrzny był całkiem podobny do dzisiejszych domków jednorodzinnych, istniejących na terenach wiejskich typowo rolniczych. Korzystne zmiany nastąpiły również pod względem umeblowania mieszkań. Podstawowe meble, takie jak: szafy, komody, kredensy, stoły i łóżka pochodziły z zakupu w sklepach meblowych. Meble pochodzące z rękodzielnictwa samych majdaniaków przestały być modnymi i użytecznymi meblami. W pomieszczeniach kuchennych nadal pozostawały piece do wypieku chleba, a przy nich murowane kuchenki przykryte żeliwną płytą z fajerkami. Chleb wypiekano z mąki mielonej w młynach, ponieważ żarna stały się już nieprzydatne i zostały przez mieszkańców polikwidowane. Pokoje mieszkań były ogrzewane murowanymi piecami z cegły, a niektórzy majdaniacy posiadali już piece kaflowe. Do oświetlania mieszkań używano tylko lamp naftowych ze szklanym kominkiem. W tym dziesięcioleciu Majdan, pod względem prowadzenia gospodarki rolnej, był na takim samym szczeblu rozwoju jak każda przeciętna wieś na terenie Polski. Uprawa ziemi odbywała się przy użyciu żelaznych pługów, radeł, sprężynówek i bron. A dawne sochy i inne tego rodzaju narzędzia oraz orka krowami lub wołami przeszły do historii dziejów Majdanu. Do uprawy ziemi i w ogóle na gospodarstwach używano tylko koni, a ci majdaniacy, którzy posiadali po jednym koniu użyczali ich do cięższych robót w polu. Rodzaje uprawianych zbóż nie uległy zmianie. Nadal w zasiewach występowały głównie żyto, jęczmień, owies, proso i gryka. A z roślin okopowych uprawiano przede wszystkim ziemniaki, kapustę, buraki pastewne i brukiew. Natomiast bardzo znacznie zmniejszyła się uprawa roślin włóknistych: lnu i konopi, które przeważnie były przeznaczane tylko na sprzedaż. W czasie żniw majdaniacy ścinali zboża kosami, gdyż dawniejsze sierpy przestały być w tej pracy użytecznym narzędziem. Tym samym kobiety zostały wreszcie wyzwolone od sezonowego, bardzo uciążliwego zajęcia. Niestety, te same majdanianki, nawet w latach trzydziestych jeszcze nie zostały wyzwolone z podobnej pracy sezonowej polegającej na kopaniu ziemniaków motykami. Jednak mimo wszystko miały one dużą ulgę w tym, że prócz sporadycznych przypadków, nie musiały tyrać tygodniami późną jesienią przy ternicach, dla pozyskania włókien z paździerzy lnu i konopi na przędzę. W związku z tym niewiele czasu poświęcały »»»

»»» przędzeniu nici na kołowrotkach i tkactwu na domowych krosnach. Zatem majdanianki mogły poświęcać więcej czasu na wychowywanie swych dzieci oraz na inne zajęcia i rozrywki kulturotwórcze. Mężczyznom w latach trzydziestych niewiele się zmieniło w wykonywaniu swych obowiązków na gospodarstwie. Tak samo musieli orać, bronować, siać i sadzić ziemiopłody, kosić zboże i łąki. Następnie zwieźć to wszystko do swych zagród. W porze jesiennozimowej mieli tylko tyle ulgi, że nie musieli wywijać cepami w stodołach, by wymłócić zboże. Wtedy były już na Majdanie młocarnie, którym obroty nadawały kieraty w konnym zaprzęgu. Stąd też wśród zabudowy ucichły charakterystyczne łomoty cepów na klepiskach stodół. A w zamian tych odgłosów następowały co kilka dni w jesieni charakterystyczne wycia młocarń, którymi majdaniacy dokonywali omłotu zbóż. W więc zastosowanie mechanicznych omłotów dawało mężczyznom więcej wolnego czasu w porze zimowej na przemyślenie i odpowiednie przygotowanie frontu robót na rok następny. Ten dodatkowo wolny czas zimową porą pozwolił im przede wszystkim na staranniejsze doglądanie inwentarza żywego oraz na utrzymywanie swych budynków mieszkalnych i gospodarczych w należytym stanie technicznym, jak też porządków w zagrodzie. Szczególnie w latach trzydziestych upowszechniła się na Majdanie hodowla krów rasy nizinnej, które tamtejszemu środowisku naturalnemu najbardziej odpowiadało. Stan posiadania krów, owiec i trzody chlewnej przedstawiał się różnie w poszczególnych gospodarstwach, gdyż jego wynik kształtowały upodobania i zainteresowania rolników, którzy do prowadzenia hodowli na szerszą skalę wybierali raczej tylko jeden z wymienionych rodzajów zwierząt. A majdańskie warunki do prowadzenia hodowli były pod każdym względem bardzo dobre. Gromadzone w gospodarstwach zasoby materialne pochodzenia roślinnego i zwierzęcego były przeznaczone tak na użytek własny do spożycia, jak i na sprzedaż dla pozyskania środków pieniężnych. A tego rodzaju środki były coraz bardziej potrzebne i konieczne, ponieważ w latach trzydziestych wystąpił wielki wzrost zapotrzebowania na zakupy niezbędnych przedmiotów i urządzeń gospodarczych oraz odzieży i innych materiałów pochodzących z produkcji przemysłowej. Zatem uprawa ziemiopłodów i hodowla inwentarza żywego były głównym zapleczem dla mieszkańców Majdanu, którzy pod każdym względem żyli już na znacznie wyższym poziomie niż w dawniejszych dziesięcioleciach i czuli się bez mała tak, jak «chłop w zagrodzie równy wojewodzie». Przy tym zasługuje na uwagę i taki fakt, że w Majdanie w omawianym czasie nie było gospodarstw karłowatych. Produkty żywnościowe na własne potrzeby mieszkańców były zapewnione w efekcie ich pracy na swych gospodarstwach. Podobnie jak w dawniejszych latach byli pod tym względem samowystarczalni. Nawet przybył im jeszcze jeden dodatkowy produkt żywnościowy w postaci pomidorów, które zaczęli uprawiać dopiero w tym dziesięcioleciu i wszyscy mieszkańcy już przyzwyczaili się do ich spożywania. Do posiadanych z własnej produkcji głównych środków żywnościowych potrzebowali tylko przypraw na przyrządzanie odpowiednich potraw do bezpośredniego spożycia. Stąd też w celu nadania przyrządzonym potrawom odpowiednich wartości pod względem smakowym i zapachowym, kupowali w miejscowym sklepie u Żyda Jaśka takie przyprawy jak sól, cukier, pieprz, liście laurowe, cynamon, wanilia, olej lniany, esencja octowa, herbata, kawa zbożowa, cykoria itp. Głównymi składnikami pokarmowymi, z których majdaniacy przyrządzali sobie potrawy do spożycia, były produkty roślinne oraz mleko i jego przetwory. Natomiast niewiele spożywano mięsa i tłuszczów zwierzęcych, gdyż te składniki pokarmowe przeważnie stanowiły tylko dodatek dla okrasy potraw przyrządzanych z produktów roślinnych. Bardzo duże postępy w omawianym dziesięcioleciu poczynili majdaniacy w sprawie zachowania przy stole. Starodawne zwyczaje polegające na tym, że cała rodzina siedząc wokół stołu czerpała wszelkie potrawy z jednej misy tylko łyżkami były już uważane za niestosowne i nietaktowne formy spożywania posiłków. Stąd też już wtedy posługiwali się podczas jedzenia talerzami, łyżkami, widelcami i nożami stołowymi. Do napojów używano szklanki z podstawkami i łyżeczki, natomiast rzadko kto używał kubki fajansowe lub metalowe. Od początku lat trzydziestych już wszyscy mieszkańcy Majdanu unowocześnili się, nawet pod względem swego ubioru i w ogóle noszonej przez nich odzieży. W owych czasach nikt by się nie odważył z jakichkolwiek przyczyn paradować w łapciach (postołach) plecionych z łyka łozy. Młodsze pokolenia majdaniaków, poczynając od lat trzydziestych, stopniowo przestawały trudnić się wyrobem odzieży samodziałowej, gdyż zajęcia te były bardzo żmudne i pracochłonne. W końcu upowszechniła się zasada noszenia ubioru pochodzącego z przemysłu obuwniczego, odzieżowego i tekstylnego. Ogólnie rzecz biorąc, majdaniacy w omawianym czasie wcale nie różnili się pod względem noszonej odzieży od przeciętnych wieśniaków żyjących obecnie w Polsce. Poza tym dorosła i dorastająca młodzież w tym

czasie posługiwała się językiem polskim bardziej poprawnie niż dzisiejsi wieśniacy województwa radomskiego czy rzeszowskiego. Młodzież ta zaczęła coraz dalej wynurzać się poza opłotki Majdanu na rowerach, które w tamtych czasach stawały się bardzo modnym środkiem lokomocji. Przy szkole miejscowej istniało koło Związku Harcerstwa Polskiego. A chłopcy w wieku przedpoborowym do wojska też mieli swoją organizację zwaną Związkiem Strzeleckim. Natomiast mężczyźni po odbyciu służby wojskowej, według swego uznania, należeli do Związku Rezerwistów Wojskowych. Przynależność do tych organizacji dawała poczucie godności obywatelskiej, a to z kolei miało wpływ na kształtowanie się odpowiedniej atmosfery wśród społeczności majdańskiej. Do rozwoju kultury życia przyczyniły się również w bardzo dużym stopniu aparaty radiowe, które wreszcie pojawiły się w tym dziesięcioleciu pod niektórymi strzechami mieszkańców Majdanu. Ponadto w miejscowej szkole została uruchomiona biblioteka czyli wypożyczalnia książek. W związku tym rozwinęło się czytelnictwo, szczególnie takich autorów książek jak: A. Mickiewicz, J. Słowacki, H. Sienkiewicz, S. Żeromski, B. Prus i inni. Zatem audycje radiowe i czytelnictwo wydatnie pomogły majdaniakom w ich wychodzeniu z poleskiego zaułka na szeroki świat oraz otwierały przed nimi niezwykłe horyzonty lepszego życia w przyszłości i zarazem były budulcem do poszukiwania i organizowania rozrywek kulturalnych. Tymczasem z wiadomych przyczyn majdaniacy nie mogli nawet marzyć choćby o pójściu do kina. Ale pojawiło się wtedy nieoczekiwane wyjście z tej sytuacji, gdyż nauczycielka wyczuwając i doceniając istniejące ciągotki do rozrywek kulturalnych zorganizowała amatorski zespół artystyczny przy miejscowej szkole. Tworzenie takiego zespołu nie nastręczało zbyt wielkiego wysiłku. Majdaniacy wykazali się wielkim zapałem do występowania przed miejscową publicznością na widowni i popisywania się na scenie graniem powierzonej roli w danej sztuce. Nauczycielce też nie brakowało pasji w oddawaniu się pracy reżyserskoinscenizacyjnej oraz w wystawianiu utworów z takich gatunków sztuki teatralnej jak komedie i dramaty, które były grane na scenie przez jej amatorski zespół artystyczny. Scena występu zespołu była budowana z przenośnych elementów podobnych do dużych stołów, które po szczelnym ich zestawieniu tworzyły podłogę – podium w największej sali miejscowej szkoły. Przedstawienia odbywały się kilka razy do roku, przeważnie w zimowej porze. Niekiedy spektakle były powtarzane, ponieważ nie wszyscy chętni majdaniacy mogli naraz być podczas pierwszego przedstawienia z powodu braku wolnych miejsc na widowni. Oprócz odbywających się od czasu do czasu przedstawień zespołu artystycznego, tak samo dużo przyjemnych wrażeń i emocjonalnych przeżyć, lecz częściej, dostarczały majdaniakom miejscowe zabawy taneczne, a raz w roku bale sylwestrowe. To już nie były, jak w dawniejszych latach, pokątne potańcówki przy jednym muzykancie, który tyrlikał na swych skrzypeczkach. Bowiem od około połowy lat trzydziestych zabawy taneczne odbywały się w dużej sali miejscowej szkoły, a do tańca przygrywała czteroosobowa orkiestra, czyli akordeonista, klarnecista, skrzypek i perkusista. W orkiestrze grywali majdańscy domorośli muzykanci, którzy za swe usługi w Majdanie nie pobierali opłat, a więc wstęp na zabawy taneczne był wolny. Młodzież gremialnie brała udział w tych zabawach. Uczestniczyli w nich również matki i ojcowie, a nawet bacie i dziadkowie, którzy dla rozrywki przychodzili posłuchać muzyki tanecznej i popatrzeć jak bawią się ich dzieci i wnukowie. A więc pod koniec lat trzydziestych w umysłach mieszkańców Majdanu było już ugruntowane podświadome zapotrzebowanie na rozrywki kulturotwórcze, którym poświęcali czas z zainteresowaniem tak samo, jak sprawom gospodarczym w swoich zagrodach. Mieszkańcy Majdanu w ciągu dwudziestu lat powojennych wynurzali się z mroków dawnego sposobu życia, unowocześniali swoją wieś polską i wreszcie urządzali swój byt na znacznie wyższym poziomie. Dla porównania jeszcze warto dodać, że wioski ukraińskie nadal pozostawały w swym zacofaniu na niezmiennym poziomie i w pewnym sensie miały taki wyraz, jak chwasty wokół kwitnącego Majdanu. Gdy majdaniacy już oddychali pełną piersią, wtedy znów zaskoczyła ich, tym razem druga wojna światowa, która na początku rozgorzała na całym terytorium drugiej Rzeczpospolitej wskutek hitlerowsko-niemieckiej napaści w dniu 1 września 1939 roku. W tej krótkotrwałej wojnie na terenie Polski brało bezpośredni udział około dziesięciu mężczyzn, pochodzących z Majdanu, w tym pięciu Kozakiewiczów. Podczas walki w kampanii wrześniowej mój rodzony brat Janek odniósł rany na polu bitwy, razem ze stryjecznym bratem Józefem zostali zabrani do niewoli i wywiezieni do Niemiec.

Tekst wspomnień przepisany z rękopisu przez Klaudię Matuszewską, Patrycję Walczak, Malwinę Talarczyk, Weronikę Sawa, Krystynę Jagodzińską. Opracowanie redakcyjne – Jerzy Osypiuk. Korekta – Krystyna Jagodzińska.

Izabela Grelowska

Z KOSSAKÓWKI DO BIAŁOWIEŻY: DROGA DO SZCZĘŚCIA

Ponoć rozumiała mowę zwierząt. Zaprzyjaźniła się z dzikiem, w jej łóżku spał ryś. 30 lat spędziła w ukrytej w głębi puszczy leśniczówce, ale nie odcięła się od świata. Została profesorem, prowadziła lubiane programy radiowe, kręciła filmy przyrodnicze i pisała książki. Sama zapracowała na swoje nazwisko, choć to nazwisko znali wszyscy w Polsce. O Simonie Kossak opowiada Anna Kamińska, autorka książki «Simona. Opowieść o niezwyczajnym życiu Simony Kossak».

Izabela Grelowska, Styl.pl: «Simona...» to opowieść o buntowniczce. Przeciwko czemu buntowała się Simona?

Anna Kamińska: – Przeciwko mieszczańskiej obłudzie i kindersztubie, w jakiej została wychowana. Matka uczyła ją siedzenia od linijki, uśmiechania się i całej gry pozorów związanej z tzw. dobrym wychowaniem. Kiedy tylko Simona przeprowadziła się z Krakowa do Białowieży, natychmiast zrezygnowała z tych zachowań. Mówiła to, co myśli. Na przykład jeśli kogoś nie akceptowała, nie ukrywała tego. Dla niej najważniejsza była prawda.

Buntowała się przeciwko rodzinie?

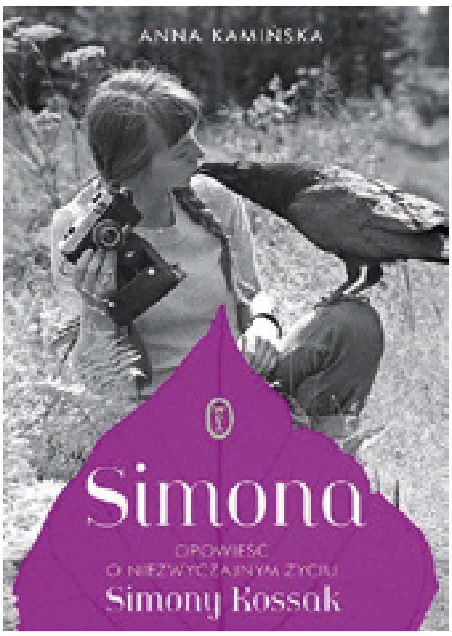
– Buntowała się przeciwko temu, co reprezentowała jej matka, ale na pewno nie przeciwko rodzinie jako takiej. Ceniła twórczość ojca, dziadka i pradziadka.

– Szanowała postawę kobiet, które dbały o dom w latach świetności rodziny, kiedy panowie zamykali się w pracowni lub wyjeżdżali na plenery. Uwielbiała twórczość swojej ciotki, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, miała w pokoju jej akwarele, kochała jej wiersze. Mniej lubiła drugą ciotkę, Magdalenę Samozwaniec.

– W młodości Simona bardzo się szarpała. Chciała działać artystycznie, jak wszyscy w jej rodzinie. Zdawała do szkoły teatralnej, na polonistykę, a nawet na historię sztuki, żeby być bliżej tego świata. Ale w końcu odnalazła swoją drogę. Poszła za tym, co jej w duszy grało.

– Po latach w każdej wypowiedzi, którą kierowała do młodzieży, podkreślała, że warto iść za swoim głosem wewnętrznym. Radziła młodym ludziom, żeby robili to, co lubią. Nieważne ile pieniędzy na tym zarobią, ani co inni o tym powiedzą. Ważna jest wyłącznie wewnętrzna potrzeba, to by ją usłyszeć, a potem podążać tą drogą.

To, co było naprawdę smutne w tej historii, to relacje Simony z matką. Wydaje się, że naznaczyły ją na całe życie...



– Tak, te relacje chyba nie mogły być gorsze. Simona przez wiele lat walczyła o akceptację ze strony matki, Elżbiety, która była zafascynowana domem Kossaków i tradycją artystyczną rodziny. Elżbieta chciała urodzić syna, który kontynuowałby tę tradycję. Tak się nie stało i chociaż Simona przez wiele lat próbowała sprostać oczekiwaniom matki, były to próżne wysiłki.

– W końcu zorientowała się, że już nic nie zrobi, że nie jest to od niej zależne. Wiedziała, że matka nigdy nie zaakceptowała tego, że nie miała syna.

Ten brak akceptacji był daleko posunięty. Elżbieta niemal zagłodziła dziecko po urodzeniu.

– Nie można wykluczyć tego, że cierpiała na depresję poporodową, którą nasiliło jeszcze poczucie, że po raz kolejny rozczarowała męża. Simona, tak jak teraz ja, starała się usprawiedliwić jakoś zachowanie matki i znaleźć jego przyczynę.

Po wojnie Elżbieta zrobiła wiele, żeby ocalić dziedzictwo rodziny, zachować Kossakówkę w nienaruszonym stanie, ze wszystkimi pamiątkami. W tym czasie jej dzieci niedojadały i miały po jednej zmianie odzieży. Chroniła spuściznę ich kosztem.

– W zaufanym gronie Elżbieta otwarcie przyznawała, że nigdy nie miała instynktu macierzyńskiego. Chciała to zrobić dla męża – urodzić mu syna. Być może chłopcem potrafiłaby się lepiej zająć?

To nie mogło pozostać bez wpływu na Simonę. Obrazy, lampy, filiżanki okazywały się ważniejsze niż one – dzieci. Jaki był stosunek

Simony do pamiątek rodzinnych i w ogóle do rzeczy materialnych?

– Z jednej strony ceniła pamiątki rodzinne i bolało ją serce, kiedy widziała, że jej siostra, Gloria, te rzeczy rozdaje, sprzedaje, oddaje.

– Z drugiej – kompletnie nie przywiązywała wagi do rzeczy materialnych, jeśli nie miały wartości sentymentalnej. Nawet kiedy została profesorem, nadal chodziła w takiej samej zielonej kurtce, w jakiej chodzili wszyscy w Hajnówce i wciąż jeździła tym samym zielonym maluchem. Ubierała się w sklepach z tanią odzieżą. Nie miała wygórowanych potrzeb materialnych.



Dla sarenek Simona była jak matka /fot. Lech Wilczek /materiały prasowe

No i mieszkała w leśniczówce bez prądu.

– To nie była nawet jej własność. Przez 30 lat mieszkała w wynajętym mieszkaniu w środku puszczy. Nie zabiegała o to, by się czegoś dorobić.

Myślisz, że kroiło jej się serce, kiedy widziała, co się dzieje z pamiątkami rodzinnymi, czy kiedy widziała, co się dzieje z jej siostrą?

– Trzeba wziąć pod uwagę, że Simona od dzieciństwa nie miała dobrych relacji z siostrą. Gloria sprawiła Simonie (i to chyba nie raz) krzywdę, a jednocześnie była faworyzowana przez matkę. To w Simonie zostawiło ślad, ten konflikt nigdy nie wygasł.

– Starała się za to jak mogła, zająć się dziećmi Glorii. Joanna była u niej na wakacjach co roku, Simona miała na nią ogromny wpływ. Żałowała nawet, że jej nie adoptowała.

W jednym z wywiadów Joanna Kossak opowiada, że macierzyńskiej troski doznała ze strony Simony, bardziej niż ze strony własnej matki. Simona nie miała dzieci, ale spełniła tę rolę wobec dzieci siostry

– Tak, na pewno wobec Joanny. Z Dagmarą miała mniejszy kontakt. Simona tłumaczyła siostrę w jakimś wywiadzie, że Gloria nie miała dobrego wzorca, bo ich matka była pozbawiona uczuć macierzyńskich.

Simona też nie miała wzorca, ale potrafiła nieźle zająć się dziećmi siostry.

– Tak. Pod jej opieką były zadbane, najedzone i szczęśliwe.

Widziała w siostrze kopię matki?

– Widziała w niej destrukcyjną siłę działającą na dom, jego tradycje, dziedzictwo.

Simona różniła się charakterem od innych członków rodziny?

– Bardzo różniła się od mamy i siostry. Jej mama i siostra bardzo lubiły życie towarzyskie. Lubiły bywać i zapraszać. Były kobietami dystyngowanymi, w eleganckich sukniach, z makijażem. Przykładały do tego wagę. Simona chodziła w rozciągniętym swetrze, pluła sarkazmem, okazywała, że nie chce brać udziału, w tym, co się dzieje w domu. Odcinała się od tego już w czasie studiów. Robiła to, o co matka ją prosiła, ale nie reprezentowała tego, co one. To nie był ani jej styl ani sens życia.

Po studiach Simona ucieka do Białowieży. Prowadzi nowe życie, robi to, co lubi. Zostaje profesorem, jej filmy przyrodnicze są nagradzane i ukazują się jej książki np. «Saga Puszczy Białowieskiej». I w pewnym momencie wydaje się, że realizuje program, który zadano jej jeszcze w dzieciństwie. Przecież Gloria miała zostać malarką, a Simona pisarką. Koło się zamyka.

– Simona wychowała się w domu



Jerzy Kossak ponoć strzelił do obrazu, kiedy dowiedział się, że znowu urodziła się córka /fot. archiwum rodzinne Kossaków /materiały prasowe



Elżbieta Kossak była kobietą elegancką i dystyngowaną /fot. archiwum rodzinne Kossaków /materiały prasowe



Matka odwiedzała Simonę na Dziedzince /fot. Lech Wilczek /materiały prasowe

otwartym, przez który przewijało się mnóstwo ludzi. Siostra nadużywała alkoholu, matka była osobą toksyczną. To nie było dobre miejsce do życia i pracy. To nie było miejsce, do którego chciało się wracać. Simona żyła tam w napięciu. Zrywała się na każdy krzyk matki, która wołała ją bardzo nieprzyjemnym głosem, waląc przy tym w podłogę kulą.

– Wyjeżdżając do Białowieży Simona odcięła się od wszystkich negatywnych wpływów. Miała dom, w którym mogła spokojnie spać. Miała wokół siebie życzliwych ludzi. Poznałam osoby, które były z nią zaprzyjaźnione z Białowieży – to są fantastyczni,



Simona i jej oswojony ryś /fot. Lech Wilczek /materiały prasowe

serdeczni, życzliwi ludzie. Simona miała ogromne szczęście, że się akurat tam znalazła. Mogła żyć spokojnie w zdrowym otoczeniu. Miała pracę, perspektywę awansu. W tych warunkach mogła się rozwijać, stawiać sobie kolejne cele.

– Jej podstawowe potrzeby były zaspokojone, ale wciąż niezaspokojone było ego. A ego zawsze miała duże, to powtarzali nawet jej znajomi z Krakowa... Simona miała ambicje i chciała sama zapracować na nazwisko, nie chciała tylko odcinać kuponów. W Białowieży mogła zrealizować siebie i życie, o jakim marzyła.

W Białowieży zapisała się do Koła Łowieckiego, chociaż publicznie potępiła polowania – rozrywkę, którą uwielbiali jej ojciec i dziadek. Jaki był tak naprawdę jej stosunek do polowań?

– Simona miała zagrodę z sarenkami, nad którymi prowadziła badania potrzebne do doktoratu. Kiedy koło zagrody zaczął kręcić się ryś, Simona uznała, że potrzebna jest jej broń, żeby chronić sarenki. I żeby ją zdobyć, zapisała się do Koła Łowieckiego.

– Tymi sarenkami Simona opiekowała się jak własnymi dziećmi, ale oprócz tego ciekawiło ją wszystko, co się dzieje w puszczy. Jak działają naukowcy i myśliwi. W późniejszym czasie, kiedy miała już spory autorytet, starała się aktywnie wpływać na poczynania takich osób – tu przynależność do Koła Łowieckiego też się przydawała.

– Była zdania, że jeśli ktoś poluje, by wykarmić swoje dzieci, albo by regulować stan zwierzyny – to w porządku. Ale była zdecydowaną przeciwniczką polowań służących rozrywce. Takich, w jakich uczestniczyli jej ojciec i inni przodkowie.

«W pewnej chwili zrozumiałam, że przekroczyłam kordon i znalazłam się po stronie drzew i zwierząt.» – to słowa Simony. Kochała przyrodę, rozumiała mowę zwierząt. A jak było z ludźmi? Była odludkiem?

– Nie. Simona uważała, że zwierzęta nie są obłudne. Jeśli da im się ciepło, jedzenie, to będą lgnąć do człowieka. Oswoiła dzikiego rysia, dzikiego osła, dzika, mieszkała z nimi pod jednym dachem. O ludziach nie miała aż tak dobrego zdania, wiedziała, że człowiek zawsze może zdradzić i zawieść.

– Ale chociaż Simona nie wchodziła w głębokie relacje, to była życzliwa i serdeczna. Pomagała finansowo wielu ludziom. Potrafiła podarować

pieniądze osobie, o której wiedziała, że jest w trudnej sytuacji, mówiąc «Proszę mi nie oddawać, ale też komuś kiedyś pomóc».

– Kiedy dowiedziała się, że człowiek, z którym była w konflikcie nie ma na bilety lotniczy, by odebrać ważną nagrodę, bez wahania postanowiła mu przekazać brakujące zdaje się 3 000 zł. I to w taki sposób, by nie wiedział, że pochodzą od niej. Potrafiła docenić talent bez względu na konflikt i nie chciała stawiać drugiej osoby w kłopotliwej sytuacji.

– Nie była małostkowa. Nie obrażała się. Toczyła zażarte spory z myśliwymi, ale kiedy ci próbowali później zwracać się do niej przez chłodne i oficjalne «pani profesor», mówiła: «Przestań, to że się kłócimy nie oznacza, że nie mamy się odwiedzać i sobie pomagać» i przynosiła im do domu kubełek malin.

– Nigdy nie wpadała w depresję, szybko podnosiła się po porażkach i znowu podejmowała działanie. Była silna, twórcza, miała w sobie pęd do życia, ambicje, zawsze chciała więcej. Po pracy w instytucie zajeżdżała na Dziedzinkę z siatami zakupów, karmiła zwierzęta. Jak mówią jej znajomi: «robota od razu szła».

Na Dziedzince poznała Lecha Wilczka. Ten związek również wygląda na toksyczny.



Na Dziedzince Simona stworzyła dom, w którym była szczęśliwa /materiały prasowe

– Lech Wilczek sam przyznaje w swojej wypowiedzi, która znalazła się w książce, że Simonę «terroryzował» ... Zostańmy przy tym, że ta ich relacja to nie była bajka...

Od toksycznych relacji z matką uciekła, z nim została...

– Byli razem, ale daleko od siebie.

Dawali sobie przestrzeń?

– Dużo, dużo przestrzeni. Ona jemu na pewno.

Nie wybrali się. Połączyło ich zrządzenie losu.

– Tak. Wynajęli dwie części tej samej leśniczówki. Proszę zwrócić uwagę, że Simona w każdym wywiadzie mówiła o Leszku «towarzysz życia». Nigdy nie powiedziała «mój ukochany», «mój mężczyzna», «kochany Leszek». To jest znaczące.

Ten dystans potwierdza układ domu: dwa osobne mieszkania z wybitym drzwiami.

– Jak się kłócili, to każde spało w swojej części. Rysica, którą hodowali, była wtedy kompletnie zdezorientowana – pół nocy spała z Simoną , pół nocy z Leszkiem.

– Aranżacja wnętrz też była inna w obu częściach. U Leszka były plastry drzewa służące za stół, niedźwiedzie skóry, zegary, mnóstwo rozrzuconych zdjęć i wieczny bałagan – jednym słowem było po męsku. U Simony były kwiaty na stole, porcelana, lustra, obrazy na ścianach i tapeta w różyczki. I Simona była tam szczęśliwa. Kochała ten dom. To miejsce pozwoliło jej uzyskać spokój, zadowolenie i harmonię.



Zaprzyjaźnić się z dzikiem? Tylko Simona potrafiła takie rzeczy! /fot. Lech Wilczek /materiały prasowe


Historia jest świadkiem czasów,
światłem prawdy, życiem,
pamięcią, nauczycielką życia.
Cycero